



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1607

A H E L S K A

WSPOMNIENIA REWOLUCJONISTKI

M. FRUCHTMAN • WARSZAWA

WSPOMNIENIA
REWOLUCJONISTKI



TEJŻE AUTORKI:

1. *Łódzki Przemysł Włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy*, r. 1927.
2. *Praca dzieci i młodocianych*, r. 1928.
3. *Praca kobiet w przemyśle współczesnym*, r. 1932.
Wydawnictwa Instytutu Gospodarczego społecznego w Warszawie.
4. *Ochrona macierzyństwa robotnicy w przedsiębiorstwach państwowych polskich*, r. 1928, wyd. Polskiego Komitetu Międzynarodowej Konferencji Opieki na Dzieckiem.
5. *Ochrona pracy w Polsce*, r. 1928, w zbiorowym dziele „Na froncie gospodarczym“, wyd. „Drogi“.
6. *Czynnik ludzki w produkcji*, r. 1931, w zbiorowym dziele „Pięć lat na froncie gospodarczym“, wyd. „Drogi“.
7. *Praca młodzieży a zadania służby społecznej*, r. 1930, w kwartalniku M. P. i O. S.
8. *Przeobrażenia w rodzinie współczesnej i roli kobiety*, r. 1932, w zbiorowym dziele „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna“. Wyd. Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie.
9. *Życie bezrobotnych* (współ-autor Stefan Pruss), r. 1933, wyd. Instytutu Spraw Społecznych w Warszawie.

1607

leg. 812

HALINA KRAHELSKA

WSPOMNIENIA REWOLUCJONISTKI

WARSZAWA 1934

WYDAWNICTWO M. FRUCHTMANA

Prawa autorskie zastrzeżone

Zakł. Druk. F. Wszyński i S-ka, Warszawa

P A R E S Ł Ó W W S T Ę P U

Zamierzając napisać pamiętnik, musiałam przyjąć pewną metodę. Odrzuciłam sposób kolejnego opisywania całego życia, wszystkich wypadków, wychodząc z założenia, że taka spowiedź zazwyczaj nuży czytelnika. Zresztą odległość czasu, z jakiej opisuję wypadki swego życia, uniemożliwia dokładne pamiętanie wszystkich zdarzeń w ich szczegółach i ich kolejności, skoro się nie stosowało zapisywania „na gorąco“. Przyjęłam zaś za pewnik, że pamiętnik z domieszką fantazji, choćby podświadomej, nie ma już wartości dokumentu.

Dla tych przyczyn obrałam formę zobrazowania w postaci odrębnych i samodzielnych rozdziałów okresów życia i momentów, któremi pamięć zaopiekowała się dokładnie i niezawodnie.

I tu nabrnęłam na interesujące psychologicznie zagadki, tajemnice i niespodzianki w procesie zapamiętywania. Naogół pamięć moja utrzymała lepiej, a czasem doskonale, różne zdarzenia o charakterze masowym i dynamicznym. Przeżycia samotne, indywidualne, jak np. pewna sześciodniowa głódówka w więzieniu kijowskim, przeprowadzona w zupełnym odosobnieniu w pojedynczej celi, stały się tak doszczętnie w mojej pamięci, że musiałam je poprostu pominąć: nie mogłabym nic powiedzieć ponad stwierdzenie, że napewno był taki fakt. Jest to przyczyną, że umknęły z tej książki ciężkie przeżycia osobiste w więzieniu, związane np. z zupełnym oderwaniem od rodziców, odciętych przez wojnę, z niepokojem o matkę, która przechodziła w tym czasie zakażenie krwi, od której nie miałam żadnej wiadomości.

Niewątpliwą przeszkodą w zapamiętywaniu zdarzeń w okresie rewolucji było wielkie ich bogactwo, wielka płynność, bystre zmiany nie tylko w faktach, ale w reakcji psychicznej na fakty, w ustosunkowywaniu się do zmiennych przejawów życia społecznego. Można by to nazwać prosto improwizacją rewolucji, ową szybkością, zmiennością, niespodziewane skoki i zakręty, jakie cechowały w tym okresie życie i — z konieczności — stosunek do życia. Psychika ludzka musiała się naginać, wywijać, nastawiać na różne pozycje zależnie od przebiegu i rozwoju wypadków, a był to widocznie proces bardzo męczący i pochłaniający nadmierną ilość mózgowej energii.

Przytoczę garść dowodów z okresu przewrotu październikowego, świadczących o tem, jak daleko i głęboko musiała sięgać taka improwizacja.

Parę dni przed przewrotem październikowym ukazała się broszurka Lenina p. t. „Czy bolszewicy utrzymają władzę w swych rękach?“ (Dosłownie: Udierzą li bolszewiki swoją własną?), w której ukrywający się wówczas Lenin wypowiedział szereg wątpliwości na temat, zawarty w tytule broszury, wychodząc ze znanych założeń: małego uprzemysłowienia Rosji, stosunkowej słabości proletariatu i t. p.

Inni wybitni przywódcy bolszewików — Łunaczarskij, Kamieniew, Zinowjew — w noc przewrotu wahali się, czy objąć proponowane już im stanowiska w rządzie rewolucji październikowej.

Do paradoksów należy, że podczas gdy przedstawiciel P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej (Sekcji Petrogradzkiej) opowiedział się w tę noc bez wahań za poparciem przewrotu, przedstawiciel P. P. S. Lewicy — Lewinson-Łapiński trzy razy zgłaszał i odwoływał swój akces do przewrotu.

Starałam się przypominać i podawać te zdarzenia, które mają znaczenie bardziej ogólne, mniej osobiste. Niewątpliwie

w życiu i działalności innych, wybitniejszych rewolucjonistów, było więcej takich zdarzeń i bardziej interesujących. Ale pamiętnikarstwo ruchu rewolucyjnego jest u nas jeszcze słabo rozwinięte i nie piszą ludzie, którzy powinni pisać...

Może pamiętnik mój — w szeregu innych — spełni rolę drobnego przyczynku.

I. POLSKA PARTJA SOCJALISTYCZNA
W ODESIE (R. 1908—1911)

W Rosji, jak wiadomo, mieszkało bardzo dużo Polaków. W wielu miastach Rosji Polacy łączyli się w dość silne liczebnie grupy, zwane „kolonją polską“. W największych miastach, jak Petersburg, Moskwa, Kijów, Odesa, kolonje te bywały bardzo liczne. Gdy chceć określić je od strony struktury społecznej, sędzę, że należy je uznać za pewnego rodzaju organizację zamożniejszych warstw ludności polskiej, zamieszkałej w danym ośrodku. Nie znaczy to, ażeby w pewnych momentach nie spotykały się tu ze sobą różne warstwy na terenach, gdzie skupiała ich polskość, albo — dokładniej — katolickie wyznanie: kościół bywał uczęszczany nie mniej licznie przez biedotę jak przez zamożnych; — towarzystwa dobroczynności (w swej nazwie nie zawierające wyrazu „polskie“, tylko „katolickie“) miały za zadanie świadczenie wszelkiej biedocie i opiekę nad nią. Nie wynikało stąd jednak, ażeby rzemieślnik, terminator, żołnierz lub służąca, którzy się modlili w kościele lub pobierali świadczenia w towarzystwie dobroczynności, mieli tem samem należeć do kolonji. ¹⁾ Należeli oni niewątpliwie do ludności polskiej w danym ośrodku, ale do „kolonji“ należał tylko ten, kto mógł zająć w niej odpowiednie miejsce. Możliwości zaś „zajęcia miejsca“ —

¹⁾ W poszczególnych miastach, jak np. w Petersburgu, bywały instytucje polskie, które skupiały sfery nieposiadające i pracujące fizycznie: taką instytucją był „Promień“. Zachodziła tu wtedy izolacja tych sfer od inteligencji, która tkwiła zawsze raczej przy zamożniejszych grupach społeczeństwa polskiego.

Inny charakter miała w Odesie placówka myśli radykalnej, Dom Polski, o którym dalej podaję sporo informacji.

zgóry przesądzone bywały przez to, że ludzie ubodzy, a przytem — wywodzący się z innej sfery nie mogli lub nie umieli prowadzić życia na odpowiedniej stopie, przyjmować u siebie, bywać, łożyć na toalety i t. p. Ton kolonji nadawało zamężne ziemiaństwo, w zimie, zwłaszcza — w karnawale — „spędzające czas“ w mieście, — pozatem — przedstawiciele zawodowej inteligencji, zwłaszcza o ile się dorabiali majątku, lub też — drogą ożenku, koligacyj, łączyli się z kołami ziemiaństwa. Przewaga i znaczenie ziemian w kolonjach polskich na Kresach wynikało stąd, że majątki ziemskie należały tam w przeważającej liczbie do Polaków.

Odeska kolonja polska była dość bogatą, urzędowała (przy udziale paru domów katolickich, a nie polskich) najpiękniejszy w Odesie bal — „bal katolicki“, utrzymywała piękny lokal rozrywkowy, „Ognisko“. W lokalu tym grywano w karty, spotykano się na rozmówki, urządzano wieczorki i przedstawienia. Dla celów rozrywkowych bywała tam nieraz młodzież studencka: mundur i młode nogi, zdolne do tańca, otwierały dostęp. Bardzo dobrze widziane bywało na wieczorach deklamowanie wierszy patryjotycznych (oczywiście — nie narażających!), a w takich wypadkach student mógł nawet mieć mundur o wyszarzanych łokciach i to mu uchodziło. Jak rodzynki w cieście, tkwiły w takich zebraniach sylwetki ludzi o wyzwolonych, radykalnych poglądach, ludzi, związanych bezpośrednio lub choćby pośrednio z ruchem rewolucyjnym, z czynną walką. Z czynnych pepesowców w Ognisku bywał niekiedy Adam Żołyński, człowiek o szczęśliwie-konspiracyjnym wyglądzie, upodabniającym go do „burzuj“. Bywali też tam bracia Dłuscy, od lat młodzieńczych w kontakcie z pracą konspiracyjną. Ale próżno by tam — poza nimi — wśród tych zamożnych panów i pań szukał kto pomocy w takich wypadkach, jak zbiórka na robotników

zlokautowanych w Łodzi, jak inne potrzeby ruchu rewolucyjnego polskiego. Nikomu z nas nie przyszłoby do głowy prowadzić na teren Ogniska ludzi, przybywających z kraju z informacją o wypadkach, o przebiegu walk o niepodległość i t. p.

Oblicze oficjalnej kolonji, reprezentowanej nazewnątrz w Ognisku w kilku zamożniejszych domach bywało z reguły ugodowe; napewno — jest to zjawisko wspólne dla wszystkich ośrodków, gdzie powstawały i rozwijały się t. zw. „kolonje“ polskie. Przemoczne i przeważające wpływy Narodowa Demokracja miała w tych kolonjach. Prenumerowano pisma endeckie, składano się na rzecz tej partji. Że było tak, a nie inaczej — wydaje mi się to bardzo zrozumiałe. Bo któż to, po ostatecznej utracie niezawisłości Polski, wyjeżdżał z kraju do Rosji i umocowywał się na różnych stanowiskach? Przeważnie ludzie, którzy pragnęli w tej obszernej i niewyzyskanej Rosji spróbować swych sił i których jedynem pragnieniem było dorobić się majątku. W małym tylko odsetku w kolonjach tych tkwiły przymusowo wyprowadzone do Rosji z kraju „niebłagonadiożnyje“ elementy: wysłańcy lub ich potomstwo. Ale i ci często — oderwani od walki, od towarzyszy, od pobudek ideowych w życiu, — wsiąkali głęboko w mieszczaństwo ducha i niejednokrotnie potem bali się poprostu cienia własnych czynów. (Taką sylwetkę powstańca doskonale opisał w swej powieści „W młodych oczach“ Piotr Chojnowski).

Okresowe ożywienie składu i życia kolonij polskich spowodowała młodzież, licznie przybywająca do szkół i uniwersytetów rosyjskich w związku z bojkotem uczelni w kraju. Wewnątrz kolonji oczywiście były jeszcze różne podziały. W niektórych domach, kiedy syn chciał wprowadzić kolegę, musiał liczyć się z tem, że wcale nie może wprowadzić chłopca, nie

pochodzącego ze szlachty. Różne panie z ziemiaństwa spotykały się wprawdzie na terenie Ogniska lub w towarzystwie dobroczynności z bardziej „mieszanem“, jak się to mówiło, towarzystwem, ale do siebie mogły prosić tylko ludzi swojej sfery. Przyczem stosowało się różne stopnie uprzejmości, uśmiechu, różne sposoby podawania ręki i t. p.

Naturalnie, dziś bardzo dużo osób pragnie (dla rozmaitych celów) przedstawiać te same sprawy w innem świetle. Więc np. usiłuje się dziś sugerować, jakoby kolonie polskie w Rosji miały przeważnie charakter patryjotyczny, dodatni stosunek do spraw walki o niepodległość Polski. Jest to wręcz nieprawdą. Tak samo jak nieprawdą jest, jakoby poczucie polskości odrzucało przedstawicieli takiej kolonii polskiej od ruchu rewolucyjnego w Rosji, powiedzmy — później — od komunizmu; w przytłaczającej ilości wypadków był to jedynie strach przed zmianami społecznymi, przed wywłaszczeniem z posiadanego majątku lub jego ograniczeniem.²⁾ Identycznie taki sam strach i wstręt odczuwało bardzo wielu Polaków w Rosji na wieść o powstaniu Rządu Lubelskiego. Doskonale pamiętam, jak spotkałam w Odesie, w Komitecie Wykonawczym połączonych organizacji polskich, w końcu r. 1918, paru Polaków, którzy z pianą na ustach dowodzili mi, że się niepotrzebnie cieszą z utworzenia się tego rządu, że nic z tego; że nie dadzą się im w Polsce szarogęsić, — że taki rząd trzeba zwalić!...

Nie przeczę, że kolonja polska, wytwarzając warunki współżycia Polaków pomiędzy sobą, współdziałała w tem środowisku z utrzymywaniem ducha polskości. Byli pozatem i wśród ugodowców porządni ludzie, ofiarnie łożący na oświatę polską, na podtrzymywanie rodzin po umarłych niezamożnych

²⁾ Oczywiście, nie stosuję tego do peowiaków.

Polakach i t. p. Ale wszystko to nie miało przecie nic wspólnego z czynną postawą walki o niepodległość.

Organizację Polskiej Partji Socjalistycznej w Odesie założył w r. 1908 Michał Sulkiwicz, który w tym celu przybył do Odesy w towarzystwie Mecha.

Oczywiście, charakter działalności organizacyj P. P. S. poza krajem był zasadniczo różny niż charakter organizacyj w kraju. Te pierwsze miały zgóry zakreślony charakter „pomocniczy“. Organizacja taka pełniła funkcje łącznika pomiędzy poszczególnymi ośrodkami partji poza krajem, gromadziła i przewoziła broń i bibułę, usiłowała chronić robotników — Polaków od wynarodowienia i wpływów polskiej ugody i reakcji, miała za zadanie przygotowywać ludzi do czynnej pracy w kraju. I wpływy i zasięg działania organizacyj w mniejszych ośrodkach bywały bardzo małe. Odeska organizacja miała jednak pewne wpływy i w środowisku robotniczym i wśród pracującej inteligencji i wśród młodzieży. Akt założenia organizacji i całe dalsze jej kierownictwo odbywało się na terenie mieszkania Marjana Scheitza, który istotnie był duszą partji.

Pierwszą piątkę członków partji stanowiło — wraz z Scheitzem, trzech studentów uniwersytetu i jeden robotnik. Byli to Józef Śleszyński, Sławomir Sikorski, Józef Grabianka i Władysław Snopkowski. Z całej tej pierwszej piątki pepesowców odeskich żyje dziś i pracuje w Polsce tylko jeden: Józef Śleszyński. ³⁾ Ta pierwsza „jaczejka“ P. P. S. składała

³⁾ Sikorski zginął pod Kaniowem; dzielny ten, rozumny i przedsiębiorczy kiedyś rewolucjonista, dużo wcześniej już odbył niesamowitą ewolucję poglądów, gdyż z socjalisty i bezwyznaniowca stał się jeszcze przed wojną zażartym i praktykującym katolikiem. Józef Grabianka i Marjan Scheitz umarli już w Polsce. Snopkowski pozostał w Rosji.

Brat mój Józef Śleszyński w r. 1911 był wydalony z uniwersytetu

się z ludźmi, już zaangażowanych w ruchu rewolucyjnym, jakkolwiek bardzo młodych: Śleszyński i Grabianka mieli wówczas po lat dwadzieścia. Ci dwaj i Sikorski brali czynny udział w ruchu rewolucyjnym studenckim, Grabianka był przez pewien czas w bojowej organizacji partji Socjal-Rewolucjonistów. ⁴⁾ Snopkowski należał do P. P. S. jeszcze przed przyjazdem do Odesy. ⁵⁾

Wstąpiłam do tej organizacji w ostatnich dniach r. 1908, prawdopodobnie jednocześnie z innymi osobami z grona pracowników instytucji społeczno-oświatowej „Dom Polski“, w której skupiał się cały odeski polski radykalizm i w której wymienieni wyżej pepesowcy mieli znaczne wpływy. Na jesieni r. 1909 dostałam polecenie prowadzenia kółka, złożonego z członków partji-robotników: zajęcia w tem kółku prowadziłam jakiś czas wspólnie z Eugenjuszem Medyńskim, do czasu wysłania go przez partję na kurs strzelecki w r. 1910. Wiosną r. 1911 zostałam już wysłaną administracyjnie z Odesy za udział w rozruchach studenckich, poczem w r. 1912, już w Kijowie, wstąpiłam do partji S. R.: praca więc moja w P. P. S. była bardzo krótkotrwała.

Temniemniej żywe są moje wspomnienia o pepesowcach

odeskiego i wyjechał do Kijowa. Później mieszkał znów w Odesie i w r. 1917 należał do odeskiej organizacji P. O. W.

⁴⁾ Mąż mój Józef Grabianka już w r. 1909 musiał uciekać z Odesy w związku z poważnemi „wsypami“ wśród odeskich eserowców, z którymi uprzednio bliżej się stykał. W r. 1905 siedział już był w więzieniu za zbrojny opór policji: w utarczce z „czarną seciną“ został wówczas zabity eserowiec-student Wiktor Adler.

⁵⁾ Snopkowski w r. 1919 wraz z Heleną Wimutówną, Grzesiakiem i innymi odszedł do komunistów.

Drugi z najstarszych członków organizacji odeskiej — robotnik, Stanisław Gregorek, wrócił do Polski i, jak sądzę, odszedł od życia politycznego.

odeskich z tego okresu. Tak się jakoś złożyło, że wśród ludzi, czynnych w polskim ruchu rewolucyjnym tego okresu, nie było osób piszących lub lubiących pisać, gdyż nie spotykałam dotychczas żadnych o tych czasach i ludziach wspomnień. ⁶⁾ Tymbardziej więc pragnęłabym tę lukę wypełnić.

Marjan Scheitz należał niewątpliwie do nieprzeciętnych jednostek.

Gdy teraz, z tak wielkiej odległości, wspominam tego, bliskiego mi dawniej, człowieka, — zdaje mi się, że najpiękniejszą jego cechą była niezwykła serdeczność. Wogóle był to człowiek mocny, dzielny i wartościowy; miły, nietylko przystojny, ale i bardzo ujmujący. Znałam bardzo dobrze jego pierwszą żonę, z którą kolegowałam na wyższych żeńskich kursach w Odesie: tę kobietę, o duszy, obarczonej jakby dziedzicznym smutkiem, cechowały niezwykle żywe zainteresowania umysłowe, wielkie zamiłowanie piękna, duża wrażliwość na dzieła sztuki z jednej, na niedolę ludzką — z drugiej strony. Za życia Emilji Scheitzowej przesiadywałam u tego małżeństwa długie godziny i doskonale pamiętam szeroki horyzont, zasięg zainteresowań umysłowych i społecznych tej pary. Między tymi ludźmi zachodził taki stosunek, że on — pogodny i wesoły — jakby odtrutką był na zasadniczy smutek jej duszy, — ona znów — jakby pogłębiała wszystkie jego przeżycia.

W tym wysoce kulturalnym i głębokim człowieku — Mili Scheitzowej — łączyło się kilka odrębnych kultur: matka jej była żydówką, — umysłowość Mili w latach szkolnych kształtowała się pod wybitnymi wpływami rosyjskiej kultury; w charakterze swym natomiast miała cechy raczej polskie.

⁶⁾ O Marjanie Scheitzu bardzo ładne wspomnienia i wierną charakterystykę jego sylwetki dał w jednodniówce „Przełom“ z r. 1925 p. Krzysztof Siedlecki, pisząc o P. O. W. nad Czarnem Morzem.

Mila umarła na dyfteryt po paru latach pożycia małżeńskiego (w r. 1908), a w kilka lat później Scheitz ożenił się po raz drugi z p. Anną Skrobiszewską, długoletnią urzędniczką jego biura (Scheitz miał biuro handlowe). P. Anna Scheitzowa włożyła w ten stosunek bardzo dużo serca, szlachetności, dobroci i ofiarności, gdyż na okres jej małżeństwa wypadła już ciężka i długa choroba Scheitzza. W latach 1917—1918 p. Anna była czynną w pracy P. O. W. w Odesie, gdy znów o mieszkanie i osobę Scheitzza — już chorego — opierała się i ta praca. ⁷⁾

W latach 1908—1911 przez biuro handlowe Scheitzza, umieszczone przy mieszkaniu (przy ul. Greckiej w Odesie) przeszło bardzo dużo ludzi z P. P. S.: emisariuszy, łączników, bojowców. Istnienie tego biura ułatwiało Scheitzowi utrzymywanie szerokich stosunków konspiracyjnych bez zwracania nieczyjej uwagi. Życie na stopie zamożnego, zajmującego się handlowymi sprawami, człowieka, stwarzało to uprzywilejowane stanowisko, w którym człowiek niełatwo staje się „podejrzany“ dla dozorczy domu, posterunkowego i t. p. Bywał w Odesie u Scheitzza w tym czasie i Walery Sławek, i Mech, zwany „Purchawką“; był i Tytus Filipowicz. Z przyjazdem Filipowicza do Odesy wiąże się dla mnie bardzo zabawne wspomnienie. Po załatwieniu spraw poufnej natury, kierownictwo odeskiej organizacji uznało za stosowne urządzać na terenie Domu Polskiego luźniejsze zebranie członków partji i sympatyków ruchu niepodległościowego, na którym ktoś z „Królestwa“ miał zreferować nastroje i położenie w kraju. Tym kimś był właśnie Tytus Filipowicz, figurujący oczywiście pod innym nazwiskiem. W ciągu zebrania, gdy już wolno

⁷ Fotografja p. Anny Scheitzowej i wzmianka o roli jej w odeskiej organizacji P. O. W. znajduje się w drugim wydaniu książki Ignacego Ziemiańskiego „Kobiety w P. O. W. Wschód“, na str. 79.

było zadawać pytania prelegentowi, wynikił zabawny incydent: obecny na zebraniu stary „sokół“ i były zesłaniec, Wacław Rożałowski⁸⁾ zainteresował się nazwiskiem prelegenta, pytając go, „jak godność“, gdyż nazwiska (bąkanego!) nie dośłyszał. Powstało zakłopotanie; większość zebranych rozumiała, że cała rzecz przebiega w warunkach konspiracji, — Scheitz i inni odpowiedzialni członkowie partji czuli się niezręcznie w stosunku do Filipowicza, starali się zagadać to pytanie. Staruszek jednak nie dawał za wygranę i zadowolnił się dopiero wtedy, gdy mu wymieniono wyraźnie jakieś „ski“...

Marjan Scheitz, niezależnie od pochodzenia z Niemców tyrolskich, był nietylko Polakiem, ale człowiekiem, poprostu fanatycznie do Polski przywiązanym. Pozatem miał on niezwykle czynny charakter, usposobienie społecznika z natury: wybitny, bujny, temperament społeczny; prócz pracy w konspiracji, oddawał się bardzo wydatnie pracy społeczno-oświatowej we wspomnianym już Domu Polskim.

Ów Dom Polski był założony w Odesie w pierwszych latach stulecia przez proletarjatezka Andrzeja Kalenkiewicza⁹⁾, człowieka o prawym charakterze i nieugiętych przekonaniach. Powstanie Domu Polskiego poprzedził wielki wiec polski w Odesie, zwołany w „wolnościowym“ roku 1905 z inicjatywy Kalenkiewicza: na wiec ten przybył do Odesy proletarjatezyk, dziś komunista Feliks Kon. Zatarły się już w pamięci szczegóły tego wieceu, na którym starli się przedstawiciele dwu odłamów myśli, psychiki, kierunku: ugodowcy wszelkiego gatunku i zwolennicy czynnej walki rewolucyjnej. Kalenkiewicz i Feliks Kon, już wówczas ludzie starsi, obaj pozbawieni daru krasomówstwa, obdarzeni od natury cichym

⁸⁾ O Wacławie Rożałowskim patrz „Niepodległość“, tom IX, zeszyt 1 (21) r. 1934, Eljasz Czajkowski, „Proces Sokoła Odeskiego“, str. 18.

⁹⁾ O Andrzeju Kalenkiewiczu wzmianki p. „Niepodległość“ jak wyżej.

i wąłym głosem, zdawali się nam, rewolucyjnie usposobionej dzieciarni, upostaciowaniem bohaterskich idei, które musiały zwyciężyć.

W Domu Polskim pepesowcy wkrótce opanowali teren, obsadzili swymi ludźmi (lub sympatykami) radę i skompletowali z rewolucyjnej młodzieży sekcję biblioteczną, która prowadzić miała oświatowo-społeczną, propagandową niepodległościową pracę wśród czytelników i członków Domu Polskiego. W latach 1908—1911 w radzie Domu Polskiego było kilku socjalistów; z partyjnych pepesowców — Marjan Scheitz i Tytus Bobrowski, przybyły z Warszawy; dr. Ludwik Narkiewicz i Edmund Zacharzewski, później — peowiak, — byli wówczas bliżsi jak mi się zdaje, socjał-demokracji. W Radzie były trzy kobiety: Anna Chmielewska, Helena Iwanowska, Celina Krzeczowska; dwie pierwsze były sympatyczkami P. P. S.

W sekcji bibliotecznej była przeważnie studenterja. Dużo osób przeszło przez tę sekcję, ale z osób, które tam były przez czas dłuższy i dużo pracowały nad rozwojem czytelnictwa i kultury w Domu Polskim, wymienię: Zofję Stempkowską, Janinę Szwagierkównę, Marję Chońską (dziś Kirstową); był to jakby stały ośrodek, koło którego narastało szersze grono współpracowników sekcji. Nie pamiętam już dziś wszystkich nazwisk, ale nazwę jeszcze parę: Henryk Nowicki ¹⁰⁾, Marjan Rapczewski, Aniela Holecka ¹¹⁾, Anna Skro-

¹⁰⁾ Henryk Nowicki był jednym z najdawniejszych członków P. P. S. w Odesie, a później należał do P. O. W. Cichy ten, małomówny człowiek, bardzo prawego charakteru, był już w owym czasie dużo poważniejszym wewnątrznie od młodego, studenckiego środowiska sekcji.

¹¹⁾ Kuzynka straconej peowiaczki Janiny Holeckiej, w latach 1908—1911 jeszcze dziecka.

biszewska (Scheitzowa), Kazimierz Przemyski, Feliks Paschal-ski, Jerzy Otto, Konrad Patek, Józef Pomianowski, Eugenjusz Medyński, Tytus Bobrowski, Edmund Zacharzewski. Z sekcji bibliotecznej droga prowadziła nieraz do rady Domu Polskie-go: tą drogą weszli do rady i Zacharzewski, i Bobrowski. Na walnych zebraniach członków Domu Polskiego, które wybie-rały radę, umieliśmy, młodzież studencka, rozwijać doskonałą propagandę za naszą listą i walczyliśmy bardzo zapamięta-le z „prawicą“ Domu Polskiego, złożoną z ugodowo-narodo-wych, klerykalnych rzemieślników lub drobnych kupców i urzędników. Prawicy tej w latach 1908—1911 przywodził niejaki Roczek, klerykał i reakcjonista, — zamieszany póź-niej przez prowokatora do spraw peowiackich i stracony przez bolszewików w r. 1920 razem z Kwitkową i in.

Naogół jednak udawało się nam wsadzać do rady ludzi o nastawieniu radykalno-rewolucyjnem. Poza sekcją biblio-teczną mieliśmy poparcie wśród uczestników sekcji teatral-nej. W tej ostatniej odgrywali w tych latach większą rolę Stanisława Szczepaniakówna, obecnie Borkowska (wdowa po straconym przez bolszewików w Kijowie radykalnym socjali-ście i peowiaku, Piotrze Borkowskim), — dwaj bracia Post-kowie, Jan i Karol, obaj pepesowcy z Królestwa, robotni-cy. — Trzeba przyznać, że nasi wysłańcy do rady miewali po-tem z nami zmartwienia, gdyż często, gdy się nam co nie po-dobało w ich postawie, wypominaliśmy im, iż weszli do rady tylko dzięki sekcji. Były to, oczywiście, koleżeńskie i przyja-cielskie porachunki.

Ażeby uwydatnić charakter pracy w Domu Polskim, zazna-czę, że wszelkie czynności i prace w radzie i w sekcji były oczywiście bezpłatne. Praca społeczna, rozwijana w Domu Polskim, zasługuje napewno na dobre wspomnienie. Inne in-stitucje polskie w Odessie służyły tylko rozrywce: klub „Ogni-

ska“, gdzie skupiała się zamożna, ugodowa część kolonji i trochę zawodowej inteligencji; „Lira“, gdzie zamiłowany w teatrze dr. Stanisławski z żoną stworzył amatorski zespół artystów. (Stanisławski był potem w Polsce, w Łodzi kierownikiem urzędu sanitarno-obyczajowego i jest niekorzystnie znany ze swego procesu ze Stanisławem Rapalskim). — Dom Polski zaś wiernie i czynnie budował myśl niepodległą polską w oparciu o szerokie warstwy i młodzież studencką, — prócz rozrywki był dla swych członków placówką oświaty i propagandy ruchu niepodległościowego, rewolucyjnych walk o wyzwolenie. Dom Polski uzyskał — w r. 1910 — filję własną przy ul. Stepowej, w robotniczej dzielnicy miasta. Lokal ten, bibliotekę i czytelnię ufundował z własnych pieniędzy Marjan Scheitz. Biblioteka, nieduża, ale świetnie dobrana, miała już całkiem określony charakter placówki myśli niepodległościowej, socjalistycznej i rewolucyjnej i zawierała sporo dzieł, zabronionych przez cenzurę. Straż nad tą placówką pełniło grono osób zaufanych, dyżurowały tam przeważnie dwie siostry, nazwiskiem Szewczykówny; porządkowe czynności w lokalu spełniał również zaufany człowiek, którego żona była Rosjanką: przy najmniejszym alarmie lub podejrzeniu wynosił on książki zabronione i przechowywał w swym nie bardzo odległym mieszkaniu. Czytelnia przy Stepowej skupiała już wyraźnie rewolucyjny element robotniczy i studencki i niejednokrotnie na tym terenie odbywały się nasze nielegalne zebrania, spotkania, porozumienia.

Historję Domu Polskiego w Odesie powinien napisać ktoś, kto miał z nim nieprzerwaną styczność przez cały okres 1908—1918; ja ograniczam swe wspomnienia do wymienionego wyżej krótszego okresu, gdyż w ciągu tych czterech lat

byłam sama członkiem sekcji bibliotecznej i stałam blisko wszystkich spraw tej instytucji.¹²⁾

W łonie sekcji bibliotecznej ścierały się również dwa prądy. Nie było tam wprawdzie miejsca na przedstawicieli reakcji czy ugody politycznej lub społecznej, ale różnice wpływały w innej płaszczyźnie. Większość z nas, mieszkając i pracując w Odesie, w ruchu akademickim rewolucyjnym, była w kontakcie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym¹³⁾ i nie widziała powodów do bronienia się przed wprowadzaniem niektórych rosyjskich książek do biblioteki. Chodziło nam o książki treści społecznej i o zaznajamianie naszych członków z rozwojem myśli rewolucyjnej w postaci wydawnictw legalnych lub półlegalnych. Inni natomiast koledzy, przybyli z Warszawy w związku z bojkotem uniwersytetu warszawskiego przez Polaków lub w związku z akcją w organi-

¹²⁾ W parę lat później Dom Polski przeniósł się do własnego gmachu przy ul. Gradonaczalniczeskoj. Sprawę budowy tego gmachu popchnął głównie Aleksander Popowski, jeden ze współzałożycieli instytucji.

¹³⁾ Np. w latach 1910—1911 do kierowniczego ciała ruchu rewolucyjnego akademickiego należało dużo Polek i Polaków. Od grupy słuchaczek wyższych kursów żeńskich socjal-demokratek wchodziła do tej rady Polka, Filipina Stachórska, dziś Józefowa Śleszyńska (siostra Marjana Stachórskiego); ja reprezentowałam tam grupę połączonych eserów i pepesówek-kursistek; z chłopców wchodził tam brat mój Józef i dwóch jeszcze polaków niesocjalistów, którzy w owym czasie dotrzymywali nam wiernie kroku w ruchu rewolucyjnym: Bohdan Czarnocki i Edmund Kozarzewski.

Nie od rzeczy tu będzie zaznaczyć, że pomiędzy partją Socjal-Rewolucjonistów a P. P. S. istniał wtedy stały kontakt i wzajemna sympatja: wspólność metod walki (uznawanie teroru), przyzwoite traktowanie kwestji narodowościowej w programie S. R. Napewno w związku z tem odsetek Polaków wśród eserowców zawsze był znaczny. Aktywniejsze natury często pociągały do partji S. R. szersze możliwości pracy rewolucyjnej, niż w organizacjach pepesowskich w Rosji.

zacji rewolucyjnej w kraju, przywozili ze sobą daleko idące zastrzeżenie w stosunku do wszelkiego „bratania“ się z Rosjanami, — np. przeciwstawiali się wprowadzaniu do biblioteki książek rosyjskich i stawiali całą kwestję prosto na ostrzu noża. Bywało to zresztą odbiciem starć i walk z socjaldemokracją w kraju. Szczególnie zapalał się w takich wypadkach dobroduszny wogóle Kazimierz Przemyski, — szczególnie nieubłagany w swej linii postępowania bywał Tytus Bobrowski.

Tytus Bobrowski był to drugi wybitny pepesowiec na gruncie Odesy, w której egzystował „pod nadzorem“ policji ¹⁴⁾. Bobrowski nie mógł w Odesie przyczyniać się poważniej do spraw konspiracyjnych, ze względu na ów fakt „nadzoru“; udzielał się natomiast dużo Domowi Polskiemu, raczej — sekcji biblioteczej.

Była to jednostka bardzo wybitna i niesłychanie charakterystyczna. Określiłabym go jako typ polskiego rewolucjonisty o psychice nawskroś szlacheckiej, — o charakterze twarym, silnym, — umysłowości arbitralnej, kapryśnej, wykluczającej prosto wszelką tolerancję, — o wielkiem zato oddaniu sprawie: organizacji bojowej P. P. S. Bobrowski bardzo cierpiał w oderwaniu od Polski i od roboty, do której przylgnął był całą swoją, rogatą, duszą. Śmierć Mireckiego, którego jakoś wyjątkowo kochał i wielbił, spowodowała w nim głęboki uraz. Cierpienie to ukrywał najczęściej pod kpinaми: rzadko — z siebie samego, częściej — z innych; zresztą również — pod maską nudy, pseudozblazowania i t. p. Bar-

¹⁴⁾ Bobrowski został w r. 1933 (a więc w przeszło 20 lat po śmierci) odznaczony krzyżem niepodległości z mieczami za swe czyny bojowe, o których patrz u Ryngmana, zeszyt IV „Niepodległości“ z r. 1931, gdzie mylnie podane jest „Stanisław“ zamiast „Tytus“ Bobrowski.

dzo dużo ludzi nie poznawało się na tem, że były to raczej metody zmagania się z cierpieniem, z tęsknotą za krajem i za pracą dla rewolucji, która go nie opuszczała. Człowiek ten był — dla wspomnianych metod i cech charakteru, bardzo często nienawidzony przez ludzi. Nienawidził go esdek Pomianowski, któremu szpetnie dokuczał, nie lubił go spokojny i kulturalny dr. Narkiewicz, który nie uznawał ani kpin z innych, ani wogóle brutalnego postępowania. Nie lubił go, początkowo nie znosił — miły, serdeczny, kochany chłopak, Geniek Medyński, którego Bobrowski oblewał zimną wodą za jego wielką uczuciowość.

Moje stosunki z Bobrowskim ułożyły się odrazu dobrze. Zresztą traktował kobiety z pewną kurtuazją, obowiązującą w środowisku, z którego wyrósł; pozatem — wzruszał go mój nieukrywany entuzjazm dla bojowej pracy. Zawdzięczam osobiście Bobrowskiemu bardzo wiele, gdyż udzielał mi dużo czasu, opowiadał bardzo szeroko o ruchu rewolucyjnym w kraju, nawet — wbrew swej zasadzie — sporo o własnych przejściach. Dlatego też chętnie przechodziłam do porządku dziennego nad mniej miłymi cechami jego charakteru (pewną egotycznością, zarozumiałością, nietolerancyjnością): poza maską zaś wyczuwałam wyraźnie niewygasające cierpienie. Muszę jednak przyznać, że i dla mnie utrzymywanie przyjacielskich stosunków z Bobrowskim nie było łatwe. Był to dziwny człowiek!

Potrafił, naprzykład, przeszkodzić mi pójść z kolegami na jakąś wycieczkę czy zabawę, zjednywując mnie argumentem, że się czuje wyjątkowo źle i chce podzielić się ze mną jakąś wiadomością. Gdy zaś — nie zważając na złość i miny kolegów, a nawet rodzzonego brata, zostawałam z nim w bibliotece, potrafił mi nic nie powiedzieć i istotnie doświadczał mej

cierpliwości rozmaitemi żarcikami i figielkami, doprowadzając mnie w końcu do gniewu albo i łez.

Robił to np. tak. Miał na czole głęboką i długą bliznę; ponieważ wiedziałam, w jakich bywał przeprawach, nigdybym go o pochodzenie tej blizny nie pytała. Ale zaczynał sam: „Pani, oczywiście, chciałaby wiedzieć, skąd mam tę dziurę w czole, ale dobrze wychowanej panience nie wypada pytać... i t. d. Jeżeli odpowiadałam na to: „ale, skąd znów! wiem, że mi Pan nie powie! ani mi się śni o to pytać!“ — śmiał się zadowolony i odrazu opowiadał, jak mu strażnicy „łeb“ rozwalili, jak p. Daniłowska, Gustawowa Daniłowska, własnymi rączkami „łeb“ przewiązywała... I wiele jeszcze innych spraw, nawiązując jedno do drugiego, wspomnienia, wryte w duszy na całe życie. Ale niewiadomo w jakiej chwili przerywał opowiadanie, zaciął się i zaraz dodawał: „e, wierz też pani takim bujdom! Kobita mi to rozwaliła kociubą, gdym się do niej za blisko przystawiał...“ i t. p. Niesłuchanie mnie tem drażnił! Inni nie tylko że się nie chcieli zdobywać na tyle cierpliwości i wyrozumiałości, ale nie dostrzegali poza temi grymasami żadnego cierpienia, tylko zwykłe komedjanctwo i megalomanję. Trzeba przyznać, że istotnie Bobrowski najczęściej bywał dla ludzi przykry, mało udzielający się, a nawet mało uprzejmy, często bardzo arbitralny w swych sądach i wyniosły lub opryskliwy w obejściu.

Raz jeden tylko widzieliśmy go w postawie „na baczność“, w jakiejś dziwnie „uciszonej“ i pokornej formie, a było to w obecności Józefa Piłsudskiego. Teraz, po ogłoszeniu historii bezdańskiej, wiemy, że to po Bezdanych oparł się Józef Piłsudski o Odese.

Pewnego wieczora, około godziny 6—7-ej, zebraliśmy się jak zwykle, w bibliotece Domu Polskiego. Tego wieczora dyżur w bibliotece miała, jak się zdaje Marja Chońska

(Kirstowa). Wpadł do biblioteki, ażeby zostawić u nas palto i kapelusz, Zacharzewski, już wtedy członek rady, którego proszono dyżurować tego dnia w Domu Polskim. Nie wypadł mu z rozkładu ten dyżur, więc można było przypuszczać, że ma być tu jakieś zebranie lub spotkanie, wobec którego dogodniej jest mieć całkiem „swego“ członka rady na dyżurze. Zacharzewski, zawsze zaaferowany, odpowiadający monosylabami, zakręcił się po bibliotece i wyszedł. Po niedługiej chwili, gdy wyrzaliśmy do korytarza, spostrzegłyśmy już tam, w głębi, Bobrowskiego, który wprowadzał ze sobą jakiegoś pana: domyślna Marusia Chońska od razu zgadła, że musi to być wielka ryba konspiracji, gdyż Bobrowski miał całkiem nieswojsko-wzruszony i potulny wygląd. Nie wstąpił też Bobrowski do nas do biblioteki, co zwykle czynił, tylko jął się przechadzać po korytarzu, tam i z powrotem, mimo drzwi bibliotecznych, wraz z tamtym tajemniczym panem. Nikt nam wtedy nie powiedział, kim był ten człowiek, przed którym tak kornie wyglądał deprymujący nas wszystkich wielkością Bobrowski.

Widocznie oczekiwali tu Scheitza lub jeszcze kogo innego, wkrótce znikli nam z oczu. Dopiero później i nie pamiętam przy jakiej okazji — dowiedzieliśmy się, że był to Józef Piłsudski.

Bobrowski na terenie Odesy zżył się potem bliżej z Zacharzewskim (jakkolwiek mu często dokuczał i wymyślał od esdeków) i z Scheitzem. Tego ostatniego, jak się zdaje, bardzo nawet polubił. Scheitz natomiast, człowiek bardzo uczuciowy, przywiązał się do Bobrowskiego bardzo głęboko. Widziałam po raz ostatni Bobrowskiego, kiedy przyjechałam do Odesy w końcu r. 1911, już z Kiszyniowa, gdzie odbywałam pierwsze, administracyjne zesłanie „za priediely gradonaczalstwa“. Bobrowski mieszkał wtedy ze swym młodszym

bratem, Tomaszem, wówczas uczniem gimnazjalnym. Odwiedziłam go w jego mieszkaniu, ale nie był to już ten sam człowiek, zjadała go ciężka choroba, od której wkrótce potem zginął. Gdy patrzę na fotografię Bobrowskiego — z rozciętem czołem — myślę, że jest to jeden z bardzo charakterystycznych typów rewolucjonistów polskich z *przed ćwierć wieku*. Każda epoka przecie wyrobi i wysunie swoje typy rewolucjonistów, ludzi niepodległej myśli.

Wśród młodzieży pepesowskiej jaskrawą sylwetką — z najmłodszych — był Eugenjusz Medyński. Chłopiec ten po śmierci pozyskał już miejsce w naszej literaturze, bo Kaden-Bandrowski w „Piłsudczykach“ poświęcił mu parę pięknych kart. Towarzysze Geńka z odeskiej organizacji P. P. S., czytając te karty, widzieli w nich Geńka jak żywego. Tak bardzo „pasowała“ do niego i ta jego śmierć ze śpiewem na ustach, w ataku, — i to jego wcześniejsze życie i studja studenckie: jego entuzjazm dla książek, wieczne zaabsorbowanie jakąś myślą, — niesłychanie czynna, ożywiona praca jego mózgu. I nawet ta wieczna „narzeczona“, od której list przy nim znaleziono: nie jedna i ta sama, a dziesiąta, piętnasta w ciągu tych paru młodzieńczych lat jego życia! (Nie chciałabym, rzecz jasna, dotknąć żadnej tem wspomnieniem!). Geniek Medyński zaczął chodzić do biblioteki w Domu Polskim gdzieś około 1907 roku. Pracujące najwięcej w bibliotece pp. Szwagierkówna, Stempkowska i Chońska zauważyły odrazu tego chłopaka, który z niebywałą szybkością pochłaniał i wybierał przeważnie książki o treści społecznej, ciążąc zdecydowanie ku dziełom polskiego radykalizmu społecznego. Żywe, inteligentne oczy tego chłopca, wielka bystrość umysłu, trafność jego uwag o książkach — zwróciły na niego wkrótce uwagę skupiających się koło biblioteki socjalistów: tą drogą trafił Geniek do P. P. S. i do rąk Marjana Scheitza.

Było to dziecko rodziny robotniczej, przywiązane do swej rodziny i obdarzone wysokiem poczuciem godności osobistej i robotniczej. Przez Dom Polski przewijało się dużo rozmaitych typów i niemało znaleźliśmy tam robotników, których całą treścią wewnętrzną było „czapkowanie przed panami.“ Geniek Medyński od najmłodszych lat odcinał się jaskrawo od robotników tej struktury psychicznej: było to u niego naturalne, nie wyrozumowane; istotnie bogactwo materjalne, wysoka stopa życiowa, nie imponowały mu.

Prócz żywości umysłowej, zainteresowań szerokich i nieprzeciętnych, Geniek odznaczał się wieloma pociągającymi cechami charakteru: wielką koleżeńskością, usłużnością, słownością. Wśród cech jego osobowości wybitne miejsce zajmowała wspomniana już jego niebywała kochliwość. Chłopiec ten stale, uporczywie w kimś się kochał! Typ jego kochania był tego rodzaju, że musiał koniecznie mocno idealizować przedmiot swej miłości. Stąd — prędzej czy później — wynikały różne, mniej lub więcej gorzkie, rozczarowania i — finał miłości. „Bezkrólewie“ jednak nie trwało nigdy dłużej nad parę tygodni i Geniek znów w kimś się kochał, kogoś prowadził do tearu, kogoś odwoził do domu i t. p.

Śród „miłości“ Geńka pamiętam jedną dokładnie: była to t. zw. Marusia Murawska, — z nazwiska męża — Umanskaja. Był to niewątpliwie interesujący typ ludzki. Jako małe dziecko, odkrył ją w odeskiej szkółce katolickiej stary proletarijczyk Kalenkiewicz. Deklamowała bowiem bardzo ładnie jakiś wiersz Konopnickiej. Przez długie lata Kalenkiewicz zajmował się tem dzieckiem, gdyż jej robotnicze pochodzenie, talent pisarski (pisała wiersze), temperament, zdolności umysłowe podbiły całkiem bezinteresowne, szlachetne serce tego starego idealisty. Mała Marusia chodziła do Kalenkiewiczów,

dostawała tam książki do czytania. Kalenkiewicz przezwiał ją „dziecko-słońce“.

Marusia bardzo wcześnie została socjalistką - marksistką; mając lat szesnaście studjowała już Kapitał Marksa, wyowiadała krytyczny sąd o Kautskym i wstąpiła do socjal-demokratycznej partji (bolszewików). W życiu partyjnem spotkała się z jednym z wybitniejszych odeskich socjal-demokratów, studentem uniwersytetu, żydem, z którym zawarła pierwsze swe małżeństwo. (Jakób Umanski). Wkrótce wybrany jej osiadł w więzieniu: Marusia chodziła z wielkiem powodzeniem koło jego spraw, dostawała z nim widzenia, dostarczała mu różnych rzeczy, książek do nauki i t. d. Mała ta figurka, z niebrzydką, całkiem dziecinną jeszcze twarzączką o dużych niebieskich oczach, umiała wszędzie przejść i pokonywała wszystkie przeszkody.

Działo się to jakoś całkiem naturalnie: brała za serce wszystkich, nawet zajadłych, zasuszonych biurokratów i ustępowano jej tam, gdzie nikt by nic nie uzyskał. Miała głosik—srebrny, dźwięczny, dziecinny, którym potrafiła się umiejętnie posługiwać. Oczywiście, niepoślednią rolę musiała odgrywać tu i ta okoliczność, że Marusia umiała sobie radzić z mężczyznami. Więzienie męża przedłużało się zbyt długo,—Marusia nie mogła czekać, spotykała innych mężczyzn. Wśród kolegów - mężczyzn, którzy zresztą bardzo chętnie z nią przedstawiali, mówiło się dużo o wielkiej „łatwości“ Marusi, w sposób często dla niej bardzo niekorzystny. Nie mówiło się natomiast o głębokiej treści wewnętrznej, umysłowej i duchowej, jaką posiadała. Osobiście sędzę, że liczne przygody uczuciowe lub zmysłowe, przez jakie przechodziła Marusia, należy rozumieć inaczej: miłość zajmowała mało miejsca w jej życiu, w sensie wagi gatunkowej w stosunku do zadań życia; brała

przytem te rzeczy z wielką prostotą, bez balastu wielu przybudówek psychicznych.

Była to w każdym razie, pomimo młodziutkiego wieku, kobieta już wyrobiona i doświadczona, kiedy poznał ją Geniek Medyński. Geniek zakochał się w niej na swoją modłę: omdlewał ze wzruszenia, kiedy siadała przy nim, przystrajając ją w cechy, jakich mieć nie mogła; nie doceniał natomiast tych, które niewątpliwie posiadała. Z miłości tej wynikło dla Geńka nowe rozczarowanie, a wiem, że interesował się nią mocniej, niż innemi kobietami i trudniej mu było to odejście od niej przetrwać.

Scheitz, Bobrowski, Medyński — to w moich wspomnieniach najjaskrawsze sylwetki pepesowców odeskich. Przytem zdaje mi się, że tworzą oni niewątpliwie charakterystyczne typy pepesowskie, naturalnie z epoki walk rewolucyjnych P. P. S. z caratem.

W gronie pozostałych pepesowców były wprawdzie jednostki wybitne i interesujące,¹⁵⁾ ale w świadomości mojej i wspomnieniach nie posiadali oni cech charakterystycznych dla typu polskiego rewolucjonisty.

Wiosną r. 1911, jak już wspomniałam, zostałam po raz pierwszy aresztowana i po 2 miesiącach więzienia wysłana z Odesy. Rok 1911 spędziłam więc „pod nadzorem“ w Kiszyniowie, gdzie pepesowskiej organizacji nie było. Na jesieni r. 1912 przyjechałam do Kijowa. Tam udałam się (podług podanego mi przez brata mego i Scheitza adresu) do Józefa Warchałowskiego, który należał do czynnych w kijowskiej P. P. S.

¹⁵⁾ W liczbie nielicznych „ludzi na stanowisku“ należał do partji inż. Adam Żołyński. Jak sądzę, należał on do organizacji kijowskiej jeszcze przed utworzeniem odeskiej. Zajmował on w Odesie poważne stanowisko u Siemensu i niewątpliwie mocno wspomagał partję.

(kierownictwie partji) i miał skierować mnie do roboty. Tam jednak spotkał mię zawód.

Odniosłam wrażenie, że Warchałowski był w kłopotcie, co ma ze mną robić i wołał raczej nawiązać kontakt towarzyski, ponieważ mieliśmy wspólnych dobrych znajomych w Odesie. Sprecyzowałam mu tedy wyraźnie, o co mi chodzi: wyjazd z domu, samodzielne życie w Kiszyniowie dopomogły mi do wyraźniejszego sformułowania sobie własnych dążeń. Prosiłam tedy o kontakt z robotnikami - Polakami w Kijowie i chciałam zająć się propagandą w robotniczym środowisku. Ku mojej przykrości Warchałowski powiedział mi, że P. P. S. nie prowadzi już w Kijowie żadnej propagandy socjalistycznej, gdyż cała energia jest skierowana wyłącznie na działalność w kierunku irredenty.

Do dziś dnia nie wiem, czy tak było w istocie, czy też po prostu sam Warchałowski tak już wtedy rozumiał (w r. 1912) zadania P. P. S. w Rosji. Dość, że roboty nie dostałam.

Wkrótce potem zetknęłam się w Kijowie z kolegami z odeskiego uniwersytetu, którzy pracowali już na gruncie kijowskim w organizacji eserowskiej. Przez nich trafiłam do partji S. R. (socjal-rewolucjoniści), za należność do której zostałam w listopadzie r. 1914 skazana na pozbawienie wszystkich praw i bezterminowe osiedlenie w Syberji.

II. PIERWSZE WIĘZIENIE

Rok 1910 — 1911 zaznaczył się w całej Rosji dużą falą ruchów akademickich. Zewnętrznych powodów do strajków, wieców i manifestacyj dostarczyły takie wypadki jak śmierć Lwa Tołstoja, jednego z największych pisarzy rosyjskich, śmierć przewodniczącego pierwszej o radykalnej większości Dumy — profesora Murowcewa, postępowca, — wypadki w katorgach politycznych i ruch dążący do amnestji dla politycznych przestępców.

Nie były to ruchy głębiej sięgające w społeczeństwo, protestowała i demonstrowała, a potem — ponosiła konsekwencje tych wypadków—sama młodzież ¹⁾). Ruch rewolucyjny w społeczeństwie miał w tym okresie przetrzącony stos pacierzowy, gdyż jedna z dwu potężnych partij rewolucyjnych — socjal-rewolucjoniści — świeżo przeszła przez straszliwą (fizyczną i psychiczną) masakrę Azefiady. W warstwach robotniczych część energii społecznej odprowadzano do ruchu spółdzielczego, oświatowego, prasy robotniczej legalnej. Nietylko wśród socjal-demokratów odbywała się pokaźna praca w tym kierunku (równoległe do pracy konspiracyjnej), ale i w obozie socjal-rewolucyjnym — secesja ludowych socjalistów (wogóle t. zw. „narodniki“) zajmowała się wyłącznie legalną pracą. Straszliwe przejścia partji w związku z prowokacją odrzucały od życia konspiracyjnego bardzo poważne koła społeczeństwa.

Zresztą, gdy idzie o szersze koła społeczeństwa, przeżywały

¹⁾ Nie były jednak tak płytkie i tak pozbawione wszelkich ideowych pobudek, jak to widzi M. Płochocki, p. Lata podziemia w Polsce, Moskwa, r. 1933, wyd. „Stary bolszewik“.

one zdecydowaną reakcję po latach 1905 — 1906, kiedy w politycznym ruchu wolnościowym brało udział i mieszczaństwo i zawodowa inteligencja i nawet część ziemian, część administracji. Rozgrywka rządu w stosunku do tego całego okresu, bujna zapłata krwią, życiem, więzieniem, zesłaniem, w jakiej brały pewien udział, prócz proletariatu i włościan, i te „pośrednie“ warstwy, była ponad stan duchowy tych sfer, musiała wywołać niechęć, rozczarowanie, reakcję.

Wszystko to razem stwarzało bardzo niesprzyjające tło dla rozwoju ruchów akademickich w tych latach i z konieczności — nadawało im charakter płytki, powierzchowny. Jeżeli chodzi o teren akademicki, to tu również napotykalismy już w tym okresie na pewien zorganizowany opór sił wstecznych. Znany po rewolucji 1905 r. Związek Ludu Rosyjskiego (Sojuz Russkawo Naroda) i Związek Michała Archaniola (Sojuz Michaiła Archangiela), subsydjowane przez władze bezpieczeństwa i wspomagane przez zamożne sfery społeczeństwa, rozwinęły działalność swą i na terenie akademickim, miały skonsolidowane bojówki i „jacejki“. Nie pamiętam, ażeby do tych organizacyj należał w Odesie choć jeden ze studentów Polaków.

Ale bynajmniej nie wszyscy koledzy, Polacy i Polki, brali udział w ruchu rewolucyjnym i nawet — protestacyjnym, ogólnie - wolnościowym. Kilkunastu „złotej“ młodzieży, synów zamożnych rodziców, kilkunastu pieczeniarzy, ludzi bez przekonań, którzy się kręcili koło tych „złoty“, mających na hulanki, młodzieńców, — stało na uboczu, nie popierając czarnej seciny studenckiej, ale i nie podtrzymując nas w walce z nimi.

Płytkość ruchów akademickich, o której wspomniałam, wiąże się z naszym osamotnieniem w tej kwestji w społeczeństwie. Młodzież w wyższych uczelniach rosyjskich miała zawsze tra-

dycje przodowania ruchom, reagowania na wszystkie ważniejsze zdarzenia polityczne — przez dziesiątki lat była w Rosji „głosem sumienia społeczeństwa“. Do lat 1910 — 1911 daje się jak najbardziej zastosować to właśnie określenie młodzieży. Nasze demonstracje, wiece, strajki, masowe uwięzienia, relegowania z uniwersytetów i zesłania — przemawiały jednak i w tym okresie, kiedy ruch wolnościowy był już gruntownie zduszony, kiedy zwycięska reakcja święciła niezamącone, jak się zdawało, triumfy.

Jeżeli chodzi o psychoanalizę ówczesnej młodzieży akademickiej (mówię tu o tej aktywnej jej części), nie powiedziałabym bynajmniej, ażeby gnał nas do tej akcji młodzieńczy entuzjazm, lub naiwne przekonanie, że odpowiada nasza akcja nastrojom społeczeństwa. Pamiętam, że trzeźwo ocenialiśmy sytuację. W Radzie Koalicyjnej, która była politycznym przedstawicielstwem wyższych uczelni (w Odesie podobnie jak we wszystkich miastach), zasiadali wraz z młodszą bracią ludzie starsi, uczestnicy rewolucji 1905 roku, którzy wspólnie potrafili porównywać i wyciągać wnioski. Z takich, doświadczonych już wtedy rewolucjonistów, pamiętam socjaldemokratę Gruzina, Grzegorza Łordkipanidze i socjal-rewulucjonistę — Ukraińca, olbrzymą nazwiskiem Dachno.

Raczej podejmowaliśmy nasze wysiłki z przekonania, że taką jest misja dziejowa młodzieży uniwersyteckiej w Rosji. Pół-wieku wstecz, podobną postawę musieli mieć studenci moskiewskiego uniwersytetu, przeciw którym mobilizowano rzeźników.

Ruch akademicki w Rosji miał silne i sugestywne tradycje...

— — — — —
Znalazłam się na liście notowanych przez władze bezpie-

czeństwa, gdyż jako członek odeskiej Rady Koalicyjnej (kierownictwa całego ruchu akademickiego) musiałam czynnie się krzątać koło organizacji wyżej wspomnianych wystąpień, koło ich masowości i powodzenia.

W końcu areszt, jak to zwykle bywa, wypadł jednak niespodzianie. Było to w lutym r. 1911. W nocy zjawiła się u mnie rewizja z nakazem bezwzględneho aresztu. Rewizja była przeprowadzona tylko w moim pokoju, który zajmowałam wówczas razem z koleżanką z kursów, Marją Czułajewską, zaproszoną do nas przez moich rodziców. Oczywiście, nakazu rewizji u mego ojca, profesora uniwersytetu, policja nie miała.

Pamiętam, że nocy tej spałam ze szczególną przyjemnością, gdyż był to okres wielkiego załatania i przemordowania w sprawach organizacyjno-rewolucyjnych. Czułajewskiej nie wzięli, nakaz dotyczył tylko mnie. Byłabym zresztą bardziej niespokojna, gdyby ją aresztowano, bo ona właśnie w tym samym okresie uczestniczyła w pracach laboratoryjnych przy fabrykacji rozmaitych, nie śmiercionośnych, ale dotkliwych pocisków do celów t. zw. chemicznej obstrukcji, przeprowadzanej w stosunku do łamistrajków. (W tej pracy uczestniczyli koledzy: Nisenman, Gold, Bryszkin, a prócz Czułajewskiej jeszcze jedna Polka: Filipina Stachórska. Szczęśliwie — całe to grono uszło jakoś uwadze władz i aresztom).

Pożegnanie z rodzicami było bardzo przykre, bo rodzice moi wzięli to bardzo do serca. Matka wyraźnie niepokoiła się i bała o mnie, dla ojca — sama rewizja i brutalność policji była nie do zniesienia: był bardzo nerwowym człowiekiem.

Rodzice moi mieli w Odesie piętrowy domek, który zamieszkiwała nasza liczna rodzina. W malutkim pokoiczku przy schodach, prowadzących na piętro, mieścił się dozorca, który jednocześnie pełnił w naszym domu czynności służącego.

W tym czasie był nim młody chłopak, dopiero co po odbyciu służby wojskowej, który się okazał prawdziwym „morowcem“. Wieczorem, niczego się nie spodziewając, dałam mu do odniesienia list do jednej z wtajemniczonych w szczegóły naszej akcji koleżanek, którą powiadamiałam o tem, gdzie nazajutrz miała się stawić i co robić. Prosiłam dozorcę o odniesienie tego listu bardzo wczesnym rankiem. Kiedy policja przyszła, przypuszczałam, że list ten u dozorczy znaleziono i że nastąpią z mojej winy dalsze areszty. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedziałam się, że chłopak list zataił, na wszystkie pytania policji odpowiadał rozmyślnie jak dureń, a raniutko list pod wskazanym adresem dostarczył.

Po wyjściu z domu, oficer policyjny, który dokonał rewizji i już znudził się całą tą hecą, kazał dwum policjantom odwiedzić mnie do cyrkułu, sam zaś poszedł spać. Ci dwaj natychmiast zaproponowali mi, jeżeli mam pieniądze, jechać dorozką; zwracali się do mnie per „barysznia“ i byli zdania, że nie wypada mi iść piechotą ulicami pod eskortą policji.

Zresztą nie taili wogóle swej sympatji do studentów i współczucia z powodu przykrości, jakie nas spotykają. Wypytywali mnie nawet ciekawie, kto to był Muromcew, dlaczego studenterja tak czci jego pamięć, za co rząd nie lubi Tołstoja i t. p. Wielkim kontrastem do tej przyjacielskiej rozmowy była postawa, jaką przybrali, podjeżdżając do cyrkułu: twar- da, służbowa, nieprzychylna dla aresztanta.

W cyrkułe spotkałam już kilkanaście aresztowanych studentek (ogółem w Odesie aresztowano wtedy około czterdziestu studentek). Witałyśmy się wesoło, wyglądając, kogo jeszcze przyprowadzą. Obchodzono się z nami całkiem poprawnie i ten „pierwszy chrzest“ nie wypadł wcale ciężko. Nie siedziałyśmy długo w cyrkułe: nad ranem przewieziono nas do więzienia i umieszczono po dwie w celi.

O tem pierwszym więzieniu nie mam wcale (poza jednym momentem dalej opisanym) ciężkich wspomnień.

Przedewszystkiem — ani chwili nie siedziałam sama. Partnerką moją była miła i wesoła dziewczyna, Dasza Berdycewska. Nie tkwiła ona głęboko w ruchu rewolucyjnym, ale była dobrym, solidarnym towarzyszem: dobrze się z nią siedziało. Odeskie więzienie — przynajmniej jeżeli chodzi o oddział dla kobiet — było stare, po staroświecku urządzone. Nie miało więc urządzeń dla udręczania aresztantów: łóżek, zamykanych na dzień do ściany, taboretów w kształcie wsiubowanego bokiem do ściany, metalowego kwadratu. Korzystałyśmy więc z łóżka przez cały dzień, mogłyśmy na niem siedzieć lub leżeć. Pozatem — nie byłyśmy traktowane jako specjalne przestępczynie: nie groziła nam nawet żadna sprawa sądowa, tylko najwyżej administracyjne zesłanie. W związku z tem nie robiono nam żadnych ograniczeń w korzystaniu z więziennej (bardzo dobrej!) biblioteki, w korespondencji, widzeniach z rodziną, dostarczaniu nam żywności.

Samopoczucie psychiczne było więc naogół dobre. Za nami była świadomość wykonanego obowiązku, przed nami — młodość. Pozbawienie swobody na dwa miesiące bardzo mało dawało się we znaki, gdy po całych dniach miałyśmy towarzystwo, na spacerach — spotykałyśmy inne koleżanki, życie w celi — dzięki książkom, kajetom i widokom prędkiego wyjścia — było nienajgorzej zorganizowane.

Może zresztą w tym okresie przymusowe ograniczenie wrażeń w więzieniu wyrównywało w naszych systemach nerwowych nadmiar wrażeń — i to wrażeń ostrych — z dni ostatnich. Na kilka dni przed moim aresztem, podczas jednego z wieców na uniwersytecie został zastrzelony przez czarnosecińców - studentów młodziutki chłopak, nazwiskiem Iglicki, żyd. Na nasz wiec kursistek, który równolegle odbywał się

w innym lokalu (żeńskich wyższych kursów), wkroczyła policja; demonstrując przeciw temu, nie chciałyśmy rozwiązać wiecu, szczególnie zaś szło nam o możliwość powzięcia rezolucji solidarności z akcją naszych towarzyszy - studentów. Przesiedziałyśmy tedy w sali cały dzień i całą noc, gdyż policja nie chciała ustąpić, a my nie uważałyśmy za możliwe wyjść bez tej demonstracji. W dzień, popołudniu, profesorowie na żądanie władz bezpieczeństwa, musieli wystąpić do nas z przemową, namawiając nas do opuszczenia sali i lokalu. Straszliwie przykro mi było zobaczyć razem z innymi profesorami mego ojca, którego koledzy prosili, ażeby też przemówił. Wiedziałam, że ojciec uważał wprowadzenie policji do uczelni za wielką zniewagę i odmawiał wykładów w tych okresach, kiedy policja obsadzała sale wykładowe. Rozumiałam więc, jak wielką ofiarą dla niego jest przemawianie do nas w obecności policji. Pozostał zresztą wiernym sobie, bo gdy inni profesorowie (von Stern, Lange) rozwodzili się nad bezużytecznością demonstracji i t. p., ojciec mój w bardzo krótkich słowach zwrócił się do nas z oświadczeniem, że rozumie nasze uczucia, ale nie widzi innego wyjścia, jak rozwiązanie obrad przez nas same w obliczu przemocy. Kiedy mówił, przyglądał mu się nieufnie oficer policyjny, dowódca oddziału, który zajął kursa.

Jak bardzo ciężko było memu ojcu mówić do nas i jak bardzo był zdenerwowany, świadczy o tem fakt, że w głosie odpowiadającej nie rozpoznał własnej córki. Musiałam odpowiadać profesorom, gdyż tak wypadło z podziału ról między członków Rady Koalicyjnej: musiałam im powiedzieć, że, niestety, nie możemy spełnić ich prośby i nie opuścimy sali, dopóki policja nie ustąpi, albo nie uda się nam powziąć właściwej uchwały. Być może zresztą, że i ja miałam głos zmieniony. W każdym razie było mi bardzo żal ojca. Wytrzymać do-

bę w warunkach głodu i zdenerwowania nie było łatwe w gronie kilkuset osób, tembardziej, że policja przez złość nie wypuszczała nas aż do wieczora do ubikacyj. Pod wieczór musiałyśmy zwolnić i wyprawić do domu wszystkie kobiety w ciąży, z choremi nerkami i t. p. Drzemałyśmy, siedząc w ławkach. Do rana przygotowałyśmy sobie plan działania i wybrawszy chwilę, ogłosiliśmy napisaną już w nocy rezolucję. Ponieważ chodziło o to, żeby policja nie wyławiała t. zw. „zacinszczyków“ (inicjatorów, prowodyrów), zrobiliśmy tak. Na dany sygnał (umówiony) kilkadziesiąt koleżanek wskoczyło na ławki, — ja zaś, stojąc na podłodze, dokładnie schowana między niemi, donośnym głosem przeczytałam rezolucję, którą przyjęłyśmy przez akłamację.

Kiedy sobie teraz przypominam swój ówczesny poziom wyrobienia, powagi i t. p., nie mogę inaczej wytłomaczyć tego, zaszczytnego dla mnie, wyboru, jak tem, że widocznie miałam silny głos. Udało się nam pierwszorzędnie: policja rzuciła się, oczywiście, ku nam, usiłując przerwać łańcuch i dotrzeć do wiecujących, ale ekipa umówionych koleżanek trzymała się tak dziarsko, że nie odsłoniła mnie przed zakończeniem czytania. Zresztą powstał taki hałas i krzyk przy głosowaniu i bójce z policją, że policja mogła się poprostu przestraszyć: ostatecznie doświadczenia w masowych bójkach z kobietami nie miała. Natychmiast też cały nasz potok runął na schody i ku wyjściu. Wyjść zresztą na ulicę bez zapisania nazwisk nie udało się. Przy wyjściu, w hallu, stał już rektor kursów, profesor von Stern i w jego obecności zostały sprawdzone i zapisane nazwiska wszystkich uczestniczek tej demonstracji. Potem z tej liczby aresztowano właśnie około dziesiątej części, wybierając naogół poomacku.

Po takich więc burzliwych dniach monotonia więzienna mogła stanowić chwilowe odprężenie.

Pierwsze to więzienie mogłoby mi się zatrzcć w pamięci, gdyby nie straszne zdarzenie, które w tym czasie zaszło na naszym korytarzu.

Zdarzyła się bowiem czyjaś — śmierć..

Nie wyczekiwałam w więzieniu na śmierć i nigdy — w latach jakie spędziłam w więzieniu, alternatywa śmierci nie wchodziła w rachubę dla mnie osobiście. Ale mam z czasów więziennych wspomnienie o grozie wyczekiwania śmierci. Pozostało wrażenie tak jaskrawe, jak gdyby było to wczoraj.

Było to jednego ze zwykłych wieczorów więziennych. „Powiedzka“² już przeszła i zabrała ze sobą, jak zawsze, na noc klucze od naszych cel do głównego kantoru. Zaczęło się to tak. Czytałyśmy; nagle doszedł nas słaby ni to krzyk, ni to jęk. Całe więzienie żeńskie przycisnęło się odrazu jak jeden człowiek, skupiając wszystko w słuchu: krzyk przeciągły, bez słów, jak gdyby zawodzenie, coraz głośniejszy. Porwałyśmy się na nogi: wszystkie cele, jak na komendę: wszystko runęło do drzwi, doskonale zamkniętych drzwi i — walić! walić w nie pięściami, stołkiem, czem kto mógł!... Bo nie wiedziałyśmy, co się dzieje, ale to wiedziałyśmy napewno, wszystkie jednakowo, że się coś dzieje z jedną z nas. Ogarnęło nas straszliwe przerażenie. Całe więzienie żeńskie było w drzwi, hałas był wielki, — lecz nie podchodził do nas nikt; żadna z dozorczyń nawet nie uchyliła „wołczka“³ w drzwiach; a tymczasem słyszałyśmy szybkie bieganie na miękkich bezgłośnych podszwach ich obuwia, przystosowanego do podsłuchiwania więźniów; słyszałyśmy kroki i głosy mężczyzn

²) Sprawdzenie obecności więźniów przez władze więzienne.

³) Małe okienko w drzwiach, t. zw. „judasz“.

na naszym korytarzu: przyszli więc dozorczy, starszy dozór; do nas nie zaglądnął nikt: nie mieli czasu, coś się działo...

Nieomylnym instynktem wiedziało już więzienie żeńskie, że jest coś złego, coś straszliwego i coś nie do ratowania... Pod tym względem bowiem intuicja więźnia jest zadziwiająca..

Zapewne, była to kwestja kilku minut zaledwie. Kilka minut, może trzy, cztery, najwyżej pięć trwał krzyk, zawodzący, jękliwy, słabnący i trwało nasze obłędne, rozpaczliwe, zbiorowe walenie w drzwi... Wzmogła się ilość kroków na kurytarzu, usłyszałyśmy brzęk kluczy, otwierano jakąś celę, buchnął czyjś krzyk mimowolny, pojedynczy: rozróżniłyśmy: „Christos!“⁴⁾ krzyknęła dozorczyni... Całe więzienie milczało teraz, jak grób... Nie waliłyśmy już w drzwi, jak tylko rozpoznałyśmy słuchem otwieranie celi. W naszych dziwnych, „więziennych“ nerwach i zmysłach powstała już świadomość tego co się stało: to była śmierć... Bo bardzo cicho, bardzo zakłopotanie, bez żadnej brawury, wycofała się cała banda stróżów więziennych z kurytarza; głosy jakby skrępowane, słowa: „ostrożno“, — ciężkie stąpanie z ciężarem... wreszcie — cisza i — wiadomość.

Straszliwsza ponad wszystko, co mogło się w więzieniu dziać. Dozorczyni uchyliła wreszcie okienko, — słowa pytania uwięzły nam na ustach. Mówiła sama: „To ta żydówka, z ostatniej celi, tam w rogu... Pewno zwarzjowała... To ta po wyroku już... Wylała na siebie z lampy naftę... a skąd miała zapalki, kto wie... Klucze w kantorze, — ani jej co pomóc... A wy walicie jak wściekłe!... ktoby tam dla was miał głowę... Paliła się cała jak świeca. — Nim starsza doleciała do kantoru, nim pomocnika ściągnęła... a i Starszej pod ręką nie

⁴⁾ Chryste!...

było... musiałam tej na dole przekazać żeby Starszej wołała... Teraz jej dobrze, bo po wszystkim... prędko poszło... już jej tam nikt nie robi... A człowiekowi tylko przykrości: bo skąd miała zapalki i że nie dopatryłam, jak się szykowała... Może teraz zabiorą mnie z kurytarza... Co?... Czemu ona?... To nie wiecie? wołała tak, niż jeszcze szmat godzin miała poczekać, aż...“ zrobiła wymowny gest ręką po szyi. „A wam co? toż nie wasza, nie polityczna... taki sobie człowiek z jednej takiej kompanji“...

Tej nocy nie spałyśmy wcale w więzieniu. Bo człowiek, żywy człowiek „wolał tak, niż poczekać, aż“... — Zapewne, nie był to „nasz“ człowiek... Ale istniała i poza gromadą więźniów politycznych, którzy tworzyli zawsze, abstrahując od sporów międzypartyjnych, — zbiorową, najbliższą, o najcudowniejszej spójni uczuciowej rodzinę, — wspólna solidarność wszystkich ludzi uwięzionych. Groza zaś śmierci i groza wyczekiwania śmierci była i jest ta sama dla każdego więźnia: bez różnicy pobudek czynu, za które został skazany, ta sama dla każdego żywego człowieka.

A może straszliwsza jest dla człowieka, któremu w chwili zgonu — kaźni nie przyświeca дума rewolucjonisty.

THE SOCIAL REVOLUTION IN RUSSIA

(1918-1919)

III. SOCJAL-REWOLUCJONIŚCI W KIJOWIE
(R. 1912—1913)

THE SOCIAL REVOLUTION IN RUSSIA

(1917-1918)

Rok 1912—1913, w którym wypadło mi zetknąć się z partją socjal-rewolucjonistów, był, jak wiadomo, okresem głębokiej reakcji, rozbitcia ruchu rewolucyjnego, dużego rozprężenia wewnątrz rewolucyjnych organizacyj. W szczególności, jak to już podnosiłam, partja S. R. przechodziła po r. 1908 okres bardzo ciężkiej depresji i dezorganizacji. Są to rzeczy znane i oświetlone już dziś w niejednym z przyczynków historycznych, w związku z osobą i sprawą Azefa.

W pierwszym rozdziale tej książki wspominałam już o związkach, jakie zachodziły pomiędzy partjami P. P. S. a S. R., o pewnej pokrewności, wspólności w ujmowaniu metod i środków walki z przemocą i oddziaływania na masy; okoliczność ta sprawiała, że wewnątrz partji S. R. znajdowało się zawsze sporo Polaków. Oczywiście, należy nadmienić, iż bliski związek pomiędzy polskimi a rosyjskimi rewolucjonistami datuje się od bardzo dawna, że już wspomnę chociażby o pertraktacjach pomiędzy „Proletarjatem“ w Polsce a „Narodną Wolą“ w Rosji, o udziale Kwiatkowskiego, Hryniewieckiego i innych w rewolucyjnych aktach, wykonywanych przez „Narodną Wolę“ (i wcześniej jeszcze — związek Polaków z dekabrystami, — z poprzedniczką „Narodnej Woli“ — organizacją „Ziemia i Wola“).

To też, jakkolwiek moje przystąpienie do partji S. R. było wynikiem przypadku, że organizacja P. P. S. w Kijowie nie zdradzała już wtedy większej ruchliwości, równie dobrze mogło się stać, że byłabym się znalazła odrazu w szeregach socjal-rewolucjonistów.

Ojciec mój, Jan Sleszyński, kolegował w czasach studenc-

kich z Żeliabowym ¹⁾ i bywał na zebraniach narodowolców w Odesie; czynnemu udziałowi jego w tej organizacji, prócz usposobienia naukowego badacza, nie polityka, stanął na przeszkodzie ten fakt, że ojciec mój był przeciwnikiem stosowania terroru. Kazimierz Dłuski, również kolega ojca z lat młodości, odwiedzał ojca przy okazji każdej bytności w Odesie; z rozmów, jakie wiedli ze sobą przy obiedzie, utkwił mi ten szczegół, że Dłuski wypytywał zawsze najskwapliwiej o nastroje w radykalnych kołach rosyjskiego społeczeństwa. Zapamiętałam to zapewne dlatego, że ojciec charakteryzował mu w tych rozmowach rozmaitych profesorów, docentów uniwersytetu i studentów od strony ich sympatyj i przynależności politycznej, a rzeczy te niezmiernie mnie interesowały.

Trzeba przyznać, że dla polskiej młodzieży atrakcyjność partji socjal-rewolucjonistów niewątpliwie wzrastała właśnie dzięki bojowej organizacji tej partji. Akty terrorystyczne, rozbrzmiewające na całą Rosję, niespodziewanie, jak gromy, wstrząsające aparaturą administracji carskiej, — sprawiały na nas wrażenie niepokonanej potęgi partji. Ofiarnictwo zaś, męczeństwo, całopalenie jednostki na ołtarzu idei, wykonywane czasem z takim napięciem i przesubtelnieniem, jak u Kaliajewa, Sazonowa, — budziło w głębi dusz polskiej młodzieży cześć, zapał i solidarność, tkwiące najmocniej w naszych najszlachetniejszych tradycjach narodowych. I jakkolwiek Polacy — bojowcy różnili się naogół od Rosjan bardziej trzeźwym, rozsądniejszym podejściem do praktycznej strony wykonywania aktu, — słusznie też uważali, że naprawdę udany jest dopiero ten akt terrorystyczny, w którym tero-

¹⁾ W rodzinie naszej przechowywano list Żeliabowa do mego ojca w jakiejś koleżeńskej sprawie.

rysta, po wykonaniu, ujdzie z rąk władz, — że idea zapłaty życiem za życie jest nonsensem, — temniemniej wyznawca tej idei — „Janek“ Kaliajew, syn Polki i Rosjanina, miał w naszych oczach nieskończony urok, — a swem zachowaniem na sądzie, pełnem dumy i temperamentu, zapisał się w naszej pamięci nieśmiertelnemi zgłoskami. Jeden ze starszych członków partji S. R. mówił mi, że Polacy bardzo licznie uczestniczyli w bojowych, terrorystycznych formacjach partji. To by się więc zgadzało najzupełniej z przeprowadzoną tu analizą atrakcyjności partji S. R. dla polskiej młodzieży.

W Kijowie, gdzie się osiedliłam na jesieni r. 1912, o styczność z eserowcami nie było trudno. Spotkałam bowiem wkrótce, przy próbach nawiązania przerwanej nauki uniwersyteckiej, odeskich kolegów, którzy, dla tych czy innych względów przenieśli się do uniwersytetu w Kijowie. Byli to: Gruzin, którego nazwiska zapomniałam i Rosjanin, Włodzimierz Słabiejew, medyk, — obaj eserowcy. Gruzin, zarozumiały i powierzchowny człowiek, nie tkwił poważniej w ruchu rewolucyjnym. Ale Słabiejew był w odeskiej organizacji od r. 1904, znał z tych czasów z bojówki eserowskiej Józefa Grabiankę, z którym od r. 1911 łączyły już mnie stosunki małżeńskie; „Marę“ (Warszawską), czynną eserówkę, Olesia Laskowieckiego i innych. W Kijowie Słabiejew nie przystąpił już do czynnej pracy w partji, ale utrzymywał stosunki z partyjnymi ludźmi i miał do nich dostęp, jako „swój“. Odejście od czynnego udziału było u wielu eserowców w tym czasie usprawiedliwione straszną masakrą moralną, jakiej partja doznała w r. 1908 po odkryciu Azefa. Pozatem ludzie, czynni w rewolucji 1905 r., patrzyli często z lekceważeniem na codzienne, drobne w skutkach, „dłubanie“ w pracy rewolucyjnej, zachowując się jakby w rezerwie do lepszych czasów.

Słabiejew odwiedził mnie kiedyś wraz z drugim kolegą z Odesy, którego znałam jako przedstawiciela t. zw. ludowych socjalistów (narodnyje socjalisty), pewnej umiarkowanej odmiany eserowców w legalnej postaci. Kolegę tego znałam z pseudonimu „Igor“, nazwisko jego było zdaje się Afońkin. Był to bardzo poważny, nieefektowny, porządny chłopiec. Opowiedziałam im o swem niepowodzeniu w stosunku do pracy w P. P. S.: że partja nie prowadzi obecnie socjalistycznej propagandy, zapytałam o możliwości pracy w organizacji eserów. Igor odrazu powiedział mi, że skomunikuje mnie z odpowiedzialszymi ludźmi z partji, którzy potrafią należycie mnie zorientować.

Rzeczywiście po kilku dniach dostałam od niego wiadomość, że w wiadomej sprawie przyjdzie do mnie dwu ludzi i że mogę im najzupełniej ufać.

Przyszli w istocie już tego dnia popołudniu. Byli to dwaj Rosjanie, a właściwie Rosjanin i Ukrainiec. Pierwszy nazywał się Nikołaj Iwanowicz Kudin. Pochodził z nad Wołgi i miał odrębną rosyjską wymowę. Był to człowiek małego wzrostu, blondyn z niewielką bródką, z szaremi, dobrymi i mądrymi oczami. Mówił bardzo cicho, patrzył uważnie, ale nie natrętnie, wnikliwie. Bardzo ładny był jego stosunek do ludzi: szanował prawdziwie w każdym, najmniejszym nawet człowieku, jego godność ludzką. Był to poważny i bardzo ofiarny działacz rewolucyjny. Ciężkie warunki materialne, w jakich przebywała cała jego rodzina (miał żonę i dzieci w szkołach), zmuszała go do wyczerpanej pracy zarobkowej (w jakimś urzędzie). Cały zaś swój wolny czas, bez reszty, oddawał pracy partyjnej. Ale nigdy nie robił z tego wielkiej rzeczy i nie wysuwał własnych zasług. Był to już wówczas człowiek starszy, lat około czterdziestu.

Drugiemu było na imię Anatolij Wasiljewicz Kazaczok.

Ten był brunetem, dużego wzrostu, o dość energicznym wyrazie twarzy, otoczonej niewielką bródką; nosił binokle, zpoza których wyzierały dość ciekawskie czarne oczy. Był to człowiek żywego temperamentu i bardzo ekspansywny. Nie wątpiwiście należał również do doświadczonych i zasłużonych działaczy partji. Zdaje się był to politechnik, ale z nieskończonym jeszcze wyższym wykształceniem.

Jeden i drugi byli dość typowymi rosyjskimi inteligentami. Zapoznanie się nasze było bardzo proste i krótkie. Rzecz dziwna, imię mego ojca — zdecydowanego przeciwnika terroru — otworzyło mi wstęp do partji, uznającej terror jako metodę działania. Powiedzieli mi odrazu, że znają grunt odecki i że nie będą zbierali o mnie żadnych informacji u osób, które wskazałam, gdyż wiedzą, co za człowiek jest mój ojciec i wystarcza im zupełnie, że jestem jego córką. Przyznam, że nie uczułam się bynajmniej skrępowana takim postawieniem kwestji, gdyż wiedziałam już przedtem, że ojciec mój cieszył się wielkim mirem w kołach wolnomyślniej inteligencji rosyjskiej. Zaskoczyli mnie pytaniem, jaka jest moja specjalność w pracy rewolucyjnej, jaki dział pracy chciałabym objąć. Wolałam powiedzieć szczerze, że nie roszczę sobie pretensyj do żadnych wyższych kwalifikacyj i postaram się porządnie wykonywać wszystko, co mi każą: techniczną czy też propagandową robotę. Otrzymałam na to odpowiedź, że kierownictwo organizacji zastanowi się nad kwestją odkomenderowania mnie do tej czy innej pracy, że tymczasem proszą mnie pisywać do legalnej eserowskiej gazety, jaką wydawała wówczas w Kijowie grupa wyodrębnionych w tym celu z pracy partyjnej eserowców, że wkrótce odbędzie się konferencja organizacyjna, na której poznam więcej towarzyszy i na której odbędą się wybory władz kijowskiej organizacji.

Pisywałam tedy małe artykuły i wiersze rewolucyjne do

owej gazety, która się zwała „Gołos truda“, podpisywałam je, zapożyczonym od nieżyjącego już wówczas Kaliajewa, (zabójcy wielkiego księcia Sergjusza) pseudonimem „Janek“; uczyłam się u jednego z towarzyszy — zecera czynności składania w małej, pełnej defektów nielegalnej drukarni; spełniałam zresztą wszelkie polecenia natury technicznej, jakie mi dawali towarzysze, do których zostawałam skierowywana.

Po paru miesiącach — w początku r. 1913 odbyła się zapowiedziana konferencja, na której władze organizacji popełniły niewątpliwie błąd, ustępując w pełnym składzie i składając organizację do wybrania komitetu podług ułożonej przez nich listy. Na liście tej z niekłamanem przerażeniem zobaczyłam swoje imię. Co do innych osób, umieszczonych na liście, nie znałam ich przed konferencją lub znałam całkiem zdaleka; nie mogłam mieć o nich żadnego sądu. Próbowalam w przerwie przed wyborami przekonać znanych mi towarzyszy z ustępującego komitetu (w którym byli obaj moi pierwsi znajomi, Kazaczok i Kudin), że nie czuję się bynajmniej jeszcze przygotowana do kierowania organizacją, że mam za mało doświadczenia, że nie znam dostatecznie terenu i t. p. Perswazje moje nic nie pomogły. Przyrodzona żywość temperamentu, która mnie popychała do wyrażania swego stanowiska w różnych kwestjach, poruszanych na konferencji i do wypowiedzania swych sądów, oddała mi tym razem (i nieraz!) niedźwiedzią przysługę, gdyż towarzysze odnieśli wrażenie, że właśnie dobrze się nadają do przewidywanych dla mnie czynności.

Tak więc zostałam członkiem kijowskiego komitetu partji S. R.

Członkowie ustępującego komitetu, widząc moje nieudawane obawy i wątpliwości, czy aby nowy komitet podola za-

daniom, wyjaśnili mi, że jest to „vis major“, że sytuacja wszystkich członków ustępującego komitetu stała się poprostu policyjnie niemożliwa, gdyż usilna, długa i w nielicznym gronie krętanina koło spraw partyjnych stwarza warunki niebezpieczeństwa nie tylko dla danych jednostek, ale i dla organizacji, dla samej sprawy; że skład komitetu w warunkach konspiracji musi być co pewien czas energicznie odświeżany i odnawiany; że, wreszcie, nie mają już sił dłużej tak orać, skoro w organizacji są już odpowiedni zastępcy, na których teraz przychodzi kolej.

Nie było tedy rady. Trzeba było udawać przed samym sobą dobrą minę i brać się do roboty.

Wszystkich nowowybranych członków komitetu nie pamiętam, a może było nas tylko kilku. W każdym razie czynną stale egzekutywę tego komitetu tworzyliśmy we trójkę: student z Lozanny, Grzegorz Smolianskij, urzędnik samorządu ziemskiego Sergjusz Polianin i ja. Smolianskij, zwany „Grisza“, dziś jest wybitnym pracownikiem Profinternu w Sowietach. Polianin — nie wiem, czy żyje: w jednej z książek „białych“ autorów rosyjskich, (ale nie pamiętam już — w jakiej mianowicie), wyczytałam, że został gdzieś w Rosji rozstrzelany — w latach ostrej wojny domowej — za udział w jakimś powstaniu czy planowanym zamachu przeciw władzy sowieckiej. Musiał tedy po rewolucji październikowej zająć stanowisko podobne jak Sawinkow i wielu dawnych eserów. Był to już człowiek starszy, w wieku Kudina.

Grisza był to człowiek bardzo młody wtedy, 22 czy 23 letni; bardzo zdolny, inteligentny, wykształcony i ocytany w teoretycznej literaturze socjalizmu. Była to bardzo sympatyczna i wartościowa jednostka. Bardzo miękki, delikatny, subtelny w stosunkach z ludźmi, oddany najzupełniej sprawie rewolucji, — chłopiec ten nie miał w sobie żadnych

niemiłych cech żydowskich, natomiast miał dużo dodatnich cech, właściwych żydom: przenikliwość umysłu, wielką pracowitość, żywość zainteresowań, niezmordowaną energję i temperament. Jeżeli mógł kiedy czem drażnić, to naprawdę tylko tem, że był, jak na możliwości przeciętnego człowieka i na warunki twardego życia „poprostu za delikatny. Przyjechał właśnie dopiero z Lozanny, bardzo polecony kijowskiej organizacji przez autorytatywnych towarzyszy z zagranicy, a zdaje mi się przedewszystkiem przez Michała Goca i Wiktora Czernowa.

W jego wyborze do komitetu nietrafne było tylko to, że, długo mieszkając zagranicą, nie znał warunków pracy konspiracyjnej w Rosji. Równoważyło się to w oczach innych przez fakt, że był idealnie „czysty“ policyjnie.

Polianin pochodził gdzieś ze środkowej Rosji, — był podobno parę lat w uniwersytecie, — nie skończył go; brał udział w bojowej organizacji S. R. w czasie rewolucji 1905 roku. Uchodził w organizacji za maksymalistę i nawet na tym gruncie miał przez pewien czas jakieś tarcia z kierownictwem partji. Tak nam przynajmniej mówił. Dlaczego wysunięto go w 1913 roku do władz kijowskiej organizacji, — tego nie wiem lub nie pamiętam. Była to niewątpliwie wybitna indywidualność t. zw. popularnie „szeroka“ rosyjska natura. Ogromny, żywiołowy temperament — zarówno w pracy politycznej jak w życiu osobistem, — silny charakter, prostolinijność decyzji i metod, — tęsknota za „prawdziwą“ (to znaczy — bojową) robotą, — nieobliczalność planów i propozycyj, które powstawały w głowie Polianina z dnia na dzień, w najmniej spodziewanych momentach i okolicznościach — oto jak wyglądał ten drugi członek komitetu kijowskiego.

Powierzchność jego przypominała stylizowanego Ilja Muromca. Wysoki, barczysty, niebieskooki, z dużą blond brodą,

z rysami twarzy, jakby wyciosanymi w twardym, nieustępliwym kamieniu, — w domu zawsze w rubaszce, w wysokich butach, — z wymową rosyjską na „o“, — stoi mi jeszcze w oczach jak żywy i wyobrażam sobie, że — jeśli go rozstrzelali, musiał wtedy brzydko kląć. Twardy to był człowiek!

Z nas trojga Polianin był niewątpliwie najbardziej doświadczonym i wyrobionym człowiekiem, jakkolwiek o usposobieniu i temperamencie, który określiłam jako „nieobliczalny“. Grisza był — również niewątpliwie — najlepiej przygotowanym teoretycznie człowiekiem, wprowadzonym przez zagranicznych towarzyszy w arkana konspiracyjnej organizacji, — doskonale wykształconym w kwestjach ekonomiki społecznej, historii ruchu rewolucyjnego, filozoficznych uzasadnień programu partji i t. d. W owych czasach te rzeczy miały wielką wagę. Ja — niestety — byłam tym najmniej odpowiednim z nas na członka komitetu. Nie znałam partji ani jej ludzi, nie znałam Kijowa, stykałam się dotąd tylko ze studenterją lub z robotnikami — Polakami w P. P. S. Charakter miałam niewyrobiony, umysł — całkiem w owych czasach nierefleksyjny, temperament bardzo impulsywny, — doświadczenie konspiratora — niewielkie.

Warunki pracy naszej w komitecie odrazu i do końca, który nadszedł niebawem (bo już w połowie lipca tegoż roku zostaliśmy aresztowani, ja i Grisza), były bardzo ciężkie. Może na kilka lat przedtem organizacja przedstawiała większą siłę, tak przynajmniej utrzymywali towarzysze. Odkrycie Azefa, a wślad za nim — Żuczenko i innych, spowodowało wielkie spustoszenie w organizacji kijowskiej, jak i w innych ośrodkach działań eserowców: spustoszenia te w dużej mierze były natury moralnej, gdyż miały tu miejsce samobójstwa, wypadki ciężkich załamań nerwowych, zupełnego zniechęcenia do pracy konspiracyjnej i t. p. W r. 1912—1913

organizacja eserowska w Kijowie miała wygląd dość opłakany. Mieliśmy trochę stosunków wśród proletariatu fabrycznego, wśród żołnierzy, wśród studenterji różnych uczelni i wśród chłopów w kilku ośrodkach wiejskich. Poważniej wyglądali niektórzy robotnicy i stosunki w wojsku, ale były to stosunki dość nikłe. Niebawem powstała konieczność pozyskania własnej drukarni dla wydawania odezw, ulotek w bieżących kwestjach, wiadomości partyjnych. Dwaj chłopcy — były student odeski, a wówczas politechnik kijowski, Wiaczesław Łaszkiewicz i żołnierz — dezertier Włodzimierz Sawczenko, zaproponowali nam siebie do pracy w drukarni. Łaszkiewicza znałam jeszcze z Odessy z rozruchów akademickich, w których również brał udział; nie był partyjnym eserowcem i sprzyjał raczej anarchistom. Ci ostatni widocznie w tych latach nic nie robili w Kijowie. Łaszkiewicz chciał pracować dla rewolucji i dlatego się zgłosił do nas. Doskonały to był chłopiec, Ukrainiec z pochodzenia, małomówny, zamknięty w sobie, skupiony w swem życiu wewnętrznem, bardzo mocny, zwarty, niezawodny. Miał przytem tak małe wymagania materjalne, tak sobie potrafił nic nie robić ze stałego niedojadania, złego odzienia, i t. p., że budził tem naprawdę podziw. Wyobrażam sobie, jak cennym okazał się taki człowiek później w Sowietach.

Sawczenko był zupełnie innym człowiekiem. Był w partji od szeregu lat, ale co i gdzie robił, jakie wogóle było jego życie poprzednie, — niepodobna było wiedzieć, nie dlatego, że konspirował, a dlatego tylko, że niesłychanie wiele kolo-ryzował. Trzeba zaznaczyć, że w rzeczach codziennych, mających styczność z podjętymi obowiązkami w partji, był zupełnie na miejscu i informował nas rzetelnie. Ale dość było wyjść poza bezpośrednie sprawy dzisiejszej pracy, zaczepić o jakieś wspomnienie, żeby fantazja tego człowieka rozrasta-

ła się bez żadnej miary. Znał go i polecił ktoś z poprzedniego komitetu. Sawczenko uciekł był z wojska i dlatego musiał egzystować nielegalnie, korzystając z partyjnego paszportu. Wogóle był to chłopiec, który musiał przechodzić w życiu przez rozmaite przygody. Życie wyszkoliło go pod wieloma względami, ale też przyuczyło do korzystania z każdej życiowej okazji i konjunktury, ażeby polepszyć swe warunki, użyć trochę życia, wypocząć i t. d. Sawczenko był obdarzony, nie bacząc na nieładną twarz, umiejętnością zdobywania kobiet i z tej umiejętności wcale szeroko korzystał. Przystojny Łaszkiwicz, jakby dla kontrastu, zupełnie nie dostrzegał kobiet i przez długie lata (nawet już na zesłaniu syberyjskiem) kobiety nie odgrywały żadnej roli w jego życiu.

I Łaszkiwicz i Sawczenko mieli niewątpliwie temperament rewolucyjny, byli to młodzi, zdolni chłopcy, którzy całkiem świadomie wzięli rozbrat z życiem oportunistycznym i chętnie ryzykowali życie. Sawczenko mawiał dowcipnie, że gdyby nie zamiłowanie do pracy rewolucyjnej, mógłby mieć każdego roku inną gospodę u jakiejś babiny, do którejby się go dził za: parobka sekretarza lub portjera, zależnie od jej kieszeni i zapotrzebowań; twierdził przytem, że w każdym wypadku od danej kobiety wyszłaby inicjatywa rozszerzenia jego czynności służbowych również na teren sypialni. A tymczasem niespokojny duch pędzi go z więzienia do więzienia i zapędzi prawdopodobnie na stryczek. To ostatnie, sądzę, że się nie sprawdziło, i że pracuje na jakimś odcinku w Sowietach. Łaszkiwicz był istotnie idealnym funkcjonariuszem partyjnym. Wkładał w pracę całą duszę, — nie miał poza tem nic droższego.

Tym dwum chłopcom powierzyliśmy drukarnię. Drukarnię sprowadziliśmy (czcionki) z Odesy od jednego z dawnych sympatyków eserowskich, niejakiego Kornsztajna, za pośred-

nictwem Słabiejewa, który go znał i podjął się przy okazji bytności w Odesie załatwić nam tę sprawę.

Ale przedtem trzeba było wynająć odpowiednie mieszkanie dla przyszłej drukarni. Zamieszkali tam Sawczenko i Łaskiewicz. Początkowo byliśmy w strachu, czy też niepospolita przedsiębiorczość i ekspansja erotyczna Sawczenki nie wysypie nam całej imprezy, gdyż wbrew zasadom konspiracji Sawczenko z miejsca nawiązał „kontakt“ z jakąś przystojną sąsiadką, do której wymykał się na noc, pozostawiając w wynajętym mieszkaniu Łaskiewicza. Potem okazało się jednak, że umiał godzić swe sprawy erotyczne z konspiracją i wcale drukarni nie naraził.

Z chłopcami z drukarni widywałam się z komitetu ja. Byli to jakby „moi“ chłopcy, gdyż za Łaskiewicza ręczyłam osobiście, Sawczenko też był moim znajomym. Wsypali się wraz z drukarnią w jakieś pół roku po nas; nie pamiętam już w jakich okolicznościach, ale wiem, że nie było w tem winy ich nieostrożności. Obaj pozostawili po sobie dobre wspomnienie.

Jeżeli powiedziałam, żeśmy mieli bardzo ciężkie warunki pracy, to dlatego że naprawdę musieliśmy sami załatwiać wszystkie partyjne potrzeby. Winię w tem cokolwiek naszych poprzedników z komitetu że tak zupełnie pozostawili nas samym sobie i odeszli całkiem od aktywnej partyjnej roboty. Ale gdy sobie pomyślę, że może i im wypadało pracować w nielepszych warunkach nie mogę mieć do nich żalu. Tak czy inaczej, jako dowód naszego nadnaturalnego przeciążenia (a raczej — braku ludzi do czynnej pracy w której trzeba było ponosić ryzyko), mogę przytoczyć, że np. po transport literatury musiał jeździć do Rygi jeden z nas, członków wysokiego komitetu: nie dlatego, żeby się to nam podobało, a pro prostu, że nie było kogo posłać w takiej misji.

Trzeba przypomnieć, że był to czas głębokiej reakcji w Rosji, wielkiego uszczuplenia zorganizowanych sił rewolucyjnych. Szeregi „amatorów“ osobistego ryzyka były dość szczupłe w każdej z partij rewolucyjnych. Tem się pośrednio tłumaczy zapewne i pośpiech, z jakim przyjęto mnie do partii i wcielono do komitetu. Drogi był każdy człowiek, nie nasuwający podejrzeń co do ideowości, który deklarował się nie jako sympatyk, a do czynnej pracy.

Ludzie, którzy dziś mają beczelność mobilizować sobie różne fałszywe alibi dla rzekomej byłej działalności rewolucyjnej (w celu wyciągania stąd korzyści dla ambicji lub kieszeni), zapominają o tem, że w tamtych czasach za taką drobną, technicznej natury czynność, jak przewiezienie literatury, dawano parę lat więzienia. W każdej organizacji, w każdym ośrodku ludzie, deklarujący się do czynnej pracy dla rewolucji byli nieliczni, — nigdy nie było ich za wielu, szczególnie w latach reakcji: znaliśmy się wszyscy dość zbliżeni, potrafimy się i dziś przeliczyć wśród zmarłych i żywych.

Wypadło mi raz jechać po taki transport. Było to jeszcze zimą, miałam porządny kostjum zimowy, sprawiony mi przez wujenkę; ze względów konspiracyjnych kalkulowało się raczej jechać kobiecie i to dobrze ubranej. Pamiętam, że bardzo mi zaimponowała organizacja w Rydze, co pośrednio dowodzi również wielkich braków w naszej kijowskiej organizacji.

W mieszkaniu, do którego miałam się zgłosić w Rydze, otworzyła drzwi młoda kobieta, o typie wyraźnym Łotyszki, z poważnemi oczami. Gdy wymieniłam podwójny parol (zapytanie, odpowiedź, zapytanie — ale treści nie pamiętam), twarz jej rozjaśniła się pocziwym uśmiechem i zaprosiła mnie do pokoju. Umówiliśmy się co do godziny popołudniu,

o której zabiorę przygotowany dla nas transport literatury, tak żeby jechać już z tem wprost na pociąg. „Paczka jest nie tu, w innym mieszkaniu“, powiedziała, „ale ja ją wam ściągnę do siebie, bo stamtąd nie tak wygodnie będzie wam zabrać. Wszystko będzie porządnie opakowane w pudle z cienkiej deski. Mamy towarzyszy stolarzy, którzy robią nam różnej wielkości i grubości opakowania: zależnie jak do czego. Nie udźwigniecie tego sama, ale znieście to wam nasza służąca, towarzyszka, wtajemniczona we wszystkie te sprawy. Nie powinniście więc jej dawać żadnych napiwków, bo ją by to uraziło: pracuje dla sprawy. W bramie zadzwonicie na dozorcę i poprosicie go o sprowadzenie dla was dorożki: nie obawiajcie się nic, bo dozorca jest też w naszej partji. Poda wam pudło do dorożki i jemu, ponieważ to będzie przy dorożkarzu, dacie napiwek. Jeżeli mu się uda znaleźć na najbliższej stacji dorożek kogoś z naszych ludzi, to wam takiego sprowadzi dorożkarza, — ale to już nie jest pewne, bo, wiecie, jak jest z dorożkami, ciągle ktoś woła. Dorożkarze tu u nas lubią gadać z przyjezdnymi. No, więc, na wypadek gdyby się interesował, sądzę, że to w tem opakowaniu może świetnie uchodzić za konfitury. Nie dziwcie się, że tak szczegółowo wam wszystko mówię, jak ma być, ale w naszej organizacji jesteśmy tak przyuczeni, wszystko przewidywać. Czasem z małego zaniedbania jakiejś informacji powstaje zamieszanie i ściąga się podejrzenia“.

Ta niezwykła solidność Łotyszy-eserowców (naogół Łotysze więcej lgnęli do socjal-demokracji), organizacja całej sprawy zrobiła na mnie niezwykle dobre wrażenie. Łotysze, pomimo często szorstkich form, miewali dużo delikatności uczuć, co potem obserwowałam i na zesłaniu w Syberji. Gdy więc przed wieczorem zjawiłam się znów po transport, znana mi już towarzyszka i jakiś mężczyzna, pracujący widocznie wraz z nią

przy tych transportach, bardzo delikatnie nadmienili, że instrukcje były może zbyt szczegółowe, że dałabym sobie na pewno rady bez nich, — ale widząc młodą niewiastę zamiast starszego pana, który zwykle przyjeżdżał, wolą przesadzić, niż czegokolwiek zaniedbać.

Rzeczywiście, wszystko poszło jak z płatka. Towarzysz-dozorca, Łotysz, z urzędową miną wyruszył po dorożkę i po chwili z nią wrócił; podał mi na dorożkę pudło, które dorożkarz (rzeczywiście rozmowny!) chciał wziąć do siebie, zapytując odrazu, co tam jest, czy tłucze się. Odrazu więc wypadło mi udzielić tej informacji, że owszem, tam są słoje z konfiturami; na dworcu zaś — już sam dorożkarz poinformował zawołanego tragarza, żeby nie walił pudłem, bo tam konfitury! Dozorca-towarzysz wziął napiwek nieskwapliwie i wstrzymał jeszcze na chwilę odjeżdżającą dorożkę, ażeby poprawić krzywo postawiony mój malutki neseserek.

Wracając do Kijowa, porównywałam organizację w Rydze i w Kijowie, słusznie przypuszczając, że załatwianie przez parę osób wszelkiej i wszelkiego rodzaju roboty konspiracyjnej musi walenie przyspieszyć naszą „wsypę“.

Zebrania naszego komitetu odbywały się zazwyczaj na t. zw. Podole, w mieszkaniu Polianina. Ten żył wówczas z kobietą, również już po trzydziestce, imieniem Marja Karłowna. Zdaje mi się, że była to urzędniczka tegoż biura, gdzie pracował i tam ją poznał. Wspominał, że ma gdzieś żonę, z którą się rozszedł. „Kobieta jest potrzebna nie tak jak buty, ale jak skarpetki“ mawiał, określając w ten sposób swój stosunek do całego problemu małżeństwa. Grisza, człowiek delikatny, uczuciowy i subtelny, nie lubił tych dowcipów. Polianinowi było na imię Siergiej Apołłonowicz, w partji miał pseudonim „Apołłon“. Myślę, że był to człowiek, który się spalił

w swej rewolucyjnej wartości podczas rewolucji 1905 roku. Wtedy musiał wkładać w robotę całą duszę. W czasie, kiedyśmy pracowali razem, zdaje mi się, że praca dla rewolucji nie pochłaniała go już tak niepodzielnie. Przynajmniej często miało się wrażenie, że nudził się lub też — że myślami był daleko od przedmiotu obrad. Czasem znów, jak to już wspomniałam, występował zniechęca z jakimś „sensacyjnym“ projektem, np.: „nie mamy dość pieniędzy w kasie partyjnej, — więc cóż, towarzysze? zrobmy eks!“ Wtedy Grisza srożył się, przypominając sobie widocznie to wszystko, co słyszał od ortodoksów o maksymalizmie Polianina i, nadając nieprzyjemny wyraz swym dobrym oczom (za binoklami), mówił oficjalnie: „Towarzyszu! stosunek partji do eksów jest do odwołania zdecydowanie negatywny, — nie możemy nawet obradować nad waszą propozycją!“ Polianin ustępował odrazu, mówiąc nie bez słuszności: „Nie? nie pozwalają nam? a ja myślałem, że skoro nie mamy dość pieniędzy na założenie drukarni, na robotę w wojsku, — to dlaczego nie poszukać tych pieniędzy w drodze rewolucyjnej?“ Ponieważ i on, i wszyscy w partji znaleźliśmy doskonale aktualny stosunek kierownictwa partji do ekspropriacji, wiedzieliśmy, że nie wpłyniemy na zmianę tego stosunku, — propozycje tego rodzaju robiły wrażenie chęci przerwania choć na moment monotoni codziennych, nie-bojowych spraw organizacyjnych. Człowiek ten wogóle miał zmienne i lotne nastroje, które utrudniały współpracę. Pamiętam, razu pewnego, mieliśmy wyznaczone spotkanie z ludźmi z wojska, na których nam bardzo zależało. Polianin miał iść na to spotkanie i nie poszedł. Jakoś przypadkiem dowiedziałam się o tem prawie natychmiast. Byłam tem bardzo przygnębiona. Jest nas trzy takie „służące do wszystkiego“ w komitecie: jeżeli jedna zastrejkuje? Postanowiłam, że pójdę sama do Apołłona po-

mówić z nim: Grisza i on — łatwo wpadali wzajemnie w rozdrażnienie, — ze mną stosunki były równiejsze. Zastałam go w domu, było to pod wieczór. Był sam, leżał wyciągnięty na łóżku, ubrany, zdrów. Marję Karłównę, jak powiedział, wyprowadził z domu, bo chciał być sam; przypuszczał, że ktoś z nas może przyjść; namyślał się właśnie, jak wyrzucić za drzwi tego, kto przyjdzie!

Niezrażona tym wstępem, spytałam go, jak mógł bez powodu opuścić tak ważne spotkanie, kiedy wie, że tylko na siebie możemy dziś liczyć, że nikt za nas nie robi. Milczał i w twarzy jego było jakby skrzywienie, grymas bólu. Z właściwą kobietom skłonnością do przeczuć już chciałam wywnioskować że cierpi z powodu swego zaniedbania, kiedy mnie zaskoczył krótką odpowiedzią: „Głupia dziewczyno“. („Głupaja dziewczonka“).

Teraz ja zaniemówiłam. Wsparł się na łokciu i zaczął mi klarować, że psu na buty ta cała robota się nie zda, że kierownictwo naszej partji tak spietrało się po sprawach Azefa i innych, że się boi własnego cienia, — że swoją bierną postawą i dziubaniem drobnej, codziennej propagandystycznej roboty przyczyniamy się tylko bardziej do szerzenia oportunistów, teńhorzostwa i reakcji; że wstyd mu iść do żołnierzy z niczem, z głupią gadaniną i t. p.

Wysłuchałam cierpliwie wszystkiego, siedząc przy nim na łóżku i cierpliwie znosząc to, że ze złości wbił mi do krwi paznogie w dłoń. Kiedy zamilkł, wstałam i powiedziałam spokojnie: „Wojskowi przyjdą jutro. Wy — bo nie Grisza, student z Lozanny, — nie ja — głupaja dziewczonka, — będziecie z nimi mówili. Od was zależy, żeby to było „do rzeczy“. Wiecie lepiej odemnie, że robicie dla rewolucji, nie dla kościoła, nie dla cmentarza. Jak wam przejdzie ten napad hysterji i porządnie z nimi sprawę załatwicie, dajcie mi

znać“. I wyszłam wcale się nie oglądając. Oczywiście, była to u mnie jedynie intuicja, że tak właśnie należy postępować z takim człowiekiem: świadomie nie potrafiłabym znaleźć tego wyjścia. Nie wiedziałam też czy pójdzie nazajutrz. Pośzedł i pierwszorzędnie wywiązał się z zadania.

Ale takimi właśnie napadami odznaczała się jego praca w tych latach. Jeżeli prawdą jest, że był potem i skończył u „białych“, to tłumaczyć to mogę tą samą nieobliczalnością skoków jego umysłowości, psychiki i temperamentu. I tą samą zasadniczą przyczyną: że się musiał właściwie „wypalić“ już w rewolucji 1905 roku. W r. 1913, 1917 — musiał to być już raczej ogarek, niż świeca.

Zrobiłam osobiście temu człowiekowi nieobliczalną krzywdę, gdyż powzięłam w stosunku do niego — już z więzienia — podejrzenie, uzasadnione przez fatalny zbieg okoliczności. Dałam znać z więzienia towarzyszom o faktach, które skłaniały mnie do takiego podejrzenia, — ale oczywiście w formie takiej, że muszą wszystko sami sprawdzić. Tymczasem, jak się później dowiedziałam na zesłaniu od Łaszkiewicza, nikt nie porządnie nie sprawdził i na Polianinie zaciążyło niesprawdzone podejrzenie, wskutek którego postarano się usunąć go od pracy. Po kilku miesiącach zresztą został i on aresztowany i wysłany gdzieś administracyjnie. Nigdy go więcej nie spotkałam.

Ponieważ omyłki tego rodzaju były w pewnym okresie po prostu tragedją w partji, więc opiszę, o co tu poszło.

Było to już przed samym moim aresztem, a więc 16 lipca 1913 roku. Miałam w tym dniu umówione spotkanie z Griszą na mieście, bo prosiłam go, żeby nie przychodził już więcej do mnie do domu. Grisza nie przyszedł na to spotkanie i nie dał mi znać. Znając Griszę, wiedziałam, że musiała zajść jakaś niezwykła przyczyna. Mignęło mi w głowie podejrzenie,

że go aresztowano. Zatelefonowałam do jego mieszkania z jakiejś cukierni, odezwał się jego ojciec i na pytanie o Griszę, a potem o jego młodszego brata (też towarzysza, Liowę), odpowiedział mi, że żadnego z nich nie ma w domu. Wynioskowałam stąd, że nic przecie nie zaszło! Wiedzioną jednak złem przeczuciem, udałam się wieczorem — zachowując wszelkie ostrożności — do „Apołłona“, sądząc, że ten będzie coś wiedział: mieszkali niedaleko od siebie i widywali się często. Apołłon i Marja Karłowna byli w domu, przy herbacie. Apołłon uspokajał mnie, że nic zajść nie mogło, że poprostu coś mu przeszkodziło przyjść na spotkanie. Następnie powiedział, że sam zauważył szpicla koło swego mieszkania i że musi się pozbyć paru broszurek (zyciorysy rewolucjonistów), które mu przyniesiono.

Mieliśmy zasadę nie trzymania u siebie absolutnie żadnych dowodów kompromitujących, prócz może drobniutkich rzeczy, zaszyfrowanych i nadających się do zniszczenia w jednej chwili: zdziwiłam się się tedy bardzo, że brał broszury do siebie i nie chciałam, rzecz oczywista, brać tego ze sobą do domu. Nalegał jednak bardzo natarczywie, że absolutnie nie może mieć tego u siebie w nocy, że mnie wcale nie śledzą, że niczem nie ryzykuję, jeżeli to przechowam dzień — dwa, póki kto po to nie przyjdzie. Bardzo niechętnie wzięłam te broszurki, bo miałam wyjątkowe wyraźne przeczucie, że niewątpliwie coś zajdzie. Rzeczywiście tej nocy zabrano mnie z domu i nie znaleziono u mnie nic prócz paczki z temi broszurkami, wyrzuconej przeze mnie w ostatniej chwili na szafę do przedpokoju.

Nie przyszło mi do głowy wiązać ze sobą tych wszystkich zdarzeń, aż póki nie spotkałam się z Griszą w drodze z więzienia do żandarmerji na śledztwo. Grisza powiedział mi, że był aresztowany tegoż dnia, 16-go lipca, na godzinę przed

owem umówionem spotkaniem. I potem, w dalszej rozmowie, wspomniał, że tegoż dnia popołudniu, po jego areszcie, był u niego Polianin, który widział się z jego ojcem. Wiedział to od ojca, który potrafił się jakoś z nim w cyrkule skomunikować. Wiadomość o tem, że Polianin był u Griszy po jego aresztowaniu i rozmawiał z jego ojcem, raziła mnie jak gromem.

Opowiedziałam Griszy o swej bytności u Polianina wieczorem tegoż dnia, o jego zapewnieniach, że Grisza nie jest aresztowany, o jego nastawaniu, żebym wzięła do siebie na noc broszury. Rzeczywiście, zestawienie tych wszystkich bezspornych danych dawało obraz fatalny. I ja, i Grisza zdecydowaliśmy, że trzeba dać znać o tem „na wolę“ Kazaczkowi lub Kudinowi, byłym członkom komitetu. Grisza wprowadzie wahał się jeszcze, — ale w naturze jego była pewna skłonność do wahań; ja zaś uważałam, że zwlekać nie można, w obawie przed konsekwencjami. To też przy pierwszej okazji wyprawiłam list, pisany na chustce do nosa, zaszyty do podszewki żakietu. Tak trafił ten list, a wraz z nim i to straszne podejrzenie, do rąk partji.

Tymczasem później — dowiedziałam się, że pomyliliśmy się tylko co do jednego, ale bardzo zasadniczego szczegółu: ojciec Griszy *nie powiedział* Polianinowi o areszcie syna, tak samo jak mnie przez telefon nawet nie napomknął o tem. (Oczywiście, była to karygodna głupota ze strony ojca Griszy, który sobie wyobrażał, że w ten sposób dopomoże synowi, jeżeli ukryje przed towarzyszami jego areszt. Rzecz naturalna, że nikt z nas, a nawet i syn, nie mógł tego przewidzieć!).

Należy coś jeszcze dorzucić do charakterystyki Smoliańskiego. Był to niewątpliwie idealista najczystszej wody. Prostu sędzę, że tej miary idealisci spotykają się naprawdę

tylko wśród żydów, skoro się trafi wśród nich taki typ istotnego, jak rosjanie mówią „bezsieriebriennika“. Był to rewolucjonista o rzeczywiście głębokich przekonaniach socjalistycznych. Wychowanek Czernowa i Goca, nie mógł pójść ich śladami w stosunku do rosyjskiej rewolucji i jeden z pierwszych eserowców — stanął po stronie komunistów.

A jednak w tym człowieku, który strawił najzupełniej teorie materjalizmu dziejowego, w tym zapamiętałym wyznawcy Marksa, były wyraźne skłonności mistyczne. Przypominam sobie jedną z wycieczek za miasto, w gronie kolegów, wśród których byliśmy oboje z Griszą. Było to jeszcze w miesiącach, kiedy nam nie następowano na pięty i można było sobie pozwolić na taką wycieczkę. Grisza pod drzewami zaczął rozwijać szerzej i zupełnie szczerze swe zapatrywania. I otóż jakie było moje zdziwienie, gdy się dowiedziałam, że ten marksista i człowiek o całkiem rosyjskiej kulturze umysłowej, wierzy w wyłączną i jedyną misję narodu żydowskiego, który będzie przodował całej ludzkości! Pamiętam, że i ja, i Słabiejew, który był tam również, mieliśmy poważne zastrzeżenia w stosunku do możliwości tego rodzaju stawiania kwestji. Grisza zaperzył się i wyjaśnił nam, że istotnie jest przekonany o absolutnej wyższości żydów nad innymi narodami. Trudno mi to tłumaczyć inaczej, jak skłonnością do mistycyzmu, z której, mam nadzieję, „wyprał“ go komunizm.

Nie przypominam sobie więcej wybitniejszych jednostek wśród kijowskich eserów owego czasu. Zresztą wybitniejsi ludzie może i byli, ale często ludzie ci nie mieli już w istocie wiele wspólnego z rewolucjonizmem. Sympatykiem, a przedtem i członkiem partji S. R. był adwokat Kałaczewskij, utalentowany obrońca, którego później matka moja prosiła o sta-

wanie przed sądem w mojej sprawie. Sądzę, że był to taki sam rewolucjonista, jak Kiereński: to znaczy rewolucjonista na bardzo krótką metę.

Znałam w Kijowie starszą już kobietę, członka partji, nazwiskiem Kowalska; niewątpliwie szczytem jej marzeń było wywalczenie swobód politycznych, utworzenie demokratycznej republiki, w której byłoby miejsce na t. zw. „swobodną“ grę sił. Nikt z tych ludzi naprawdę nie chciał zastanowić się nad tem, że ta „swoboda“ głodnego człowieka w najdemokratyczniejszej republice może być psą wartością, skoro, by nie umrzeć z głodu, musi się najmować do pracy w najgorszych warunkach lub też, ratując się w czasie bezrobocia od głodowej śmierci, wchodzić w konflikt z kodeksem karnym i odsiadywać więzienie.

Zupełnie rozumiem, że znaczna ilość tych ludzi, zetknąwszy się z uporczywym zamiarem bolszewików przebudowania ustroju gospodarczego i społecznego, ustosunkowała się do tych zamierzeń wrogo: to bynajmniej nie wchodziło poważnie do wyznawanego przez nich programu, to wykreślało z miejsca ów okres niewiadomej długości, przeznaczony w programie na „swobodną“ grę sił, to jest na zapasy sytego z głodnym o wiadomym zgóry, niekorzystnym dla głodnego, wyniku!

Zastrzegam się, że mogę się mylić co do wymienionych tu osób, może w pojedynczych wypadkach, który z nich ocenił wartość wysiłków ku realizowaniu nowego ustroju; dla ogromnej ilości eserów i socjal-demokratów - mieńszewików pozostaje jednak aktualne, to, co tu mówiłam.

Wtedy, w r. 1913, nikt, z nas nie podejrzewał, że jesteśmy o cztery lata od okresu, w którym rozpocznie się przebudowa ustroju. Naszym oczom dostępne było tylko najbliższe zadanie: walki z caratem, z monarchją, z rządem. I niestety,

w tym właśnie czasie, kiedy ten cały carat ze swym systemem i aparatem władzy był, jak się potem okazało, tak bardzo kruchy, — nam brakło zorganizowanych sił rewolucji...

Zasadniczą przyczyną krótkotrwałości pracy naszego komitetu było to (jak już wspominałam), że sami musieliśmy załatwiać prawie wszystkie potrzeby partji. Opisałam już, jak wypadało nam jeździć po bibułę. W lipcu zaś wsypaliśmy się w związek z przewożeniem drukarni, a raczej czełonek, których znów nie było komu odebrać z dworca i przewieźć do miejsca, skąd potem mieli je zabrać: Sawczenko i Łaszkie-wicz.

Po areszcie, podczas więziennych rozmyślań, wyrzucałam sobie, żeśmy byli niedość konspiracyjni w robocie, że popełnialiśmy karygodny, niedopuszczalny błąd chodzenia do siebie i t. p. W rzeczy samej Grisza przychodził do mnie często, Polianin zrzadka, ale oboje bywaliśmy w mieszkaniu Polianina. Moje mieszkanie bywało wogóle za bardzo nadużywane. Ale i to trzeba powiedzieć na usprawiedliwienie towarzyszy, że miałam wyjątkowo dobre mieszkanie, w głębi wielkiego podwórza, zawierającego dziesiątki innych mieszkań; mieszkanie moje miało osobne wejście z ganku do przedpokoju i mego pokoju; z wejścia tego korzystałam tylko ja i jeden z sublokatorów. Ja zresztą — niezależnie od braku dostatecznego doświadczenia — bywałam często stawiana w sytuacji poprostu niemożliwe. Tak np. kiedy Sawczenko uciekł z wojska i zjawił się do Kijowa, oparł się o mieszkanie Polianina, do którego go przekazał ktoś z organizacji. Polianin, albo bardzo ostrożny, albo jednak mniej ceremonjalny w stosunku do innych, kazał mu późnym wieczorem iść do mnie, gdyż uważał, że sam nie może go przenocować. (Rzeczywiście, mieszkań dużo mniej konspiracyjnie).

Sawczenko zjawił się do mnie około 10 w nocy, tuż przed

zamknięciem bramy, a że nie znałam go i musiał odpowiednio się wylegitymować, nimeśmy się mogli rozgadać, nie mogłam go wyrzucać na noc, człowieka bez dokumentów, za którym musiał być wysłany pościg. Musiałam go tedy przenocować. Gadał do późnej nocy, bo musiał wygadać choć część swoich przygód, tembardziej, że djalog w nocy, w pokoju młodej kobiety, najzupełniej mu dogadzał psychicznie. Okazał też się całkiem niezmordowany w gadaniu. Posłałam mu jak umiałam najlepiej na kanapce, sama się położyłam na swoim łóżku. Światło zgaszone; delikatnie przymawiałam się, że czas już spać. Wtedy ten zaczął kasłać tak okropnie głośno i uporczywie, że o śnie nie było mowy. Po godzinie oświadczył, że kanapka jest tak krótka, iż niepodobieństwem jest na niej zasnąć. Klnąc go w duszy, przeniosłam się na kanapkę, a jemu pozostawiłam łóżko. Ułożył się w niem lepiej, przestał kasłać, ale znów zaczął gadać. Nad ranem, kiedy już doprowadzona do ostateczności, musiałam zaproponować wstawanie (trzeba było wypuścić go z mieszkania, nim się zjawi służąca), — oznajmił mi z miłą miną, że niespanie całej nocy nic dlań nie stanowi, zupełnie tego nie odczuwa: potrzebuje wogóle mało snu! Poza komizmem takich sytuacji trzeba stwierdzić, że nie mogło to wszystko wychodzić memu mieszkaniu na zdrowie.

Skądinąd w rozmyślaniach nad przyczynami naszej wyspy musiałam dojść do przekonania, że nie byliśmy wcale poważniej zaszpiclowani. Miałam tego dowody, np. aresztowano właściciela mieszkania, do którego przywiozłam czcionki (politechnika Aleksandra Azarkiewicza), ale nie odkryto samej drukarni, t. j. mieszkania Sawczenki i Łaskkiewicza, (jakkolwiek ci na kilka godzin przed rewizją u Azarkiewicza poprzenosili od niego do siebie paczki ze czcionkami). Gdybyśmy ja i Grisza byli naprawdę bardzo zaszpiclowani, mu-

siano by otoczyć jakąś stałą pieczę dom Azarkiewicza i nie dopuścić do wyniesienia od niego czcionek, po które skierowano doń w nocy żandarmerję i policję (tak sądzę na podstawie aktu oskarżenia). Azarkiewicz w komitecie nigdy nie był, ale był członkiem partji i pomagał nam w sprawach technicznych.

Burcew, którego spotkałam na Syberji, w lecie 1915 roku, we wsi Rybnoje na Angarze, gdy tylko się dowiedział, że jestem z procesu kijowskiego komitetu z 1913 r. (Azarkiewicz, Śleszyńska, Smoliański i tow.), powiedział natychmiast: „a, wiem: tam u was był prowokator“ i wymienił (nieznane mi nazwisko jakiegoś studenta, jak mi się zdaje, z zagranicy). Nie przyjąłam tego poważnie, bo przy całym szacunku dla zasług Burcewa, odnosiłam wrażenie, że wykrywanie prowokatorów — dosłownie w każdej grupie eserów — zakrawa już u niego na rodzaj manji. Rozmawiałam o tem z towarzyszami procesu przy spotkaniu w Syberji i później, w okresie rewolucji; żaden nie brał również tego oświadczenia Burcewa na serjo. Przecie — jeżeli nie akt oskarżenia, to śledztwo, to rozprawa sądowa, byłyby ujawniły choć ślad takiego prowokatora. Już po naszym areszcie obciążęły nas, a mnie szczególnie, zeznania mojej przyjaciółki Marji Czułajewskiej, która w tych wspomnieniach zajmuje dużo miejsca. Ale nie był to prowokator, tylko sypnęła nas ze strachu, w związku z własnym aresztem i z tem, że pragnęła w oczach żandarmerji okupić swój grzech podpisania frachtu bagażowego przy odbiorze czcionek. (Mogłam ją o to prosić, gdyż znałam ją — ja i moja rodzina — od wielu lat, uczestniczyła wraz ze mną w konspiracyjnej robocie studenckiej w Odesie, spotykałyśmy się na terenie pracy w odeskim Domu Polskim i t. p.). Nie ją więc Burcew miał na myśli — mówił zresztą wyraźnie o mężczyźnie i jakby o kimś z zagranicznej studenterji ese-

rowskiej: tak wyglądało, że miałyby to być ktoś, kto śledził Griszę jeszcze z Lozanny.

Osobiście myślę, że właśnie w naszej sprawie nie żadna prowokacja była przyczyną wsypy. Trochę winy może należy złożyć na karb naszej własnej nieostrożności lub braku doświadczenia, zasadniczo zaś — obciążyć należy winą ciężkie warunki pracy konspiracyjnej w tamtych latach, kiedy trzeba było się dwoić i troić, zaniedbywać podstawowe prawa konspiracji, łącząc w swem ręku sprawy techniki i propagandy, stosunki robotnicze i wojskowe i t. p.

A jednak pomimo to — organizacja się rozrastała. Stwierdziłam to dopiero po naszym areszcie, bo znaleźli się jednak ludzie na nasze miejsca, i to — nie dawni członkowie komitetu lub dawna ich ekipa, a właśnie nasz młody narybek. Dwuch członków komitetu — ja i Grisza — zasiadło na długo w więzieniu, — Polianin, który jeszcze przez kilka miesięcy był wolny, dla powodów już podanych odszedł od czynnej pracy, — naszych zecerów aresztowano; a jednak — drukarnię uruchomiono i wykorzystywano, — organizację wojskową rozbudowano, — kółka robotnicze — o nastrojach raczej maksymalistycznych — mnożyły się. Tak tedy, siedząc już w więzieniu i nie mając żadnych widoków na powrót do kijowskiej organizacji (inkryminowano nam artykuł 102, za który eserom groziło normalnie od czterech lat katorgi, w najlepszym zaś wypadku — pozbawienie praw i bezterminowe zesłanie do Syberji: uniewinnienia nikt z nas się nie spodziewał), dowiedzieliśmy się ku wielkiej ucieście, że jednak nasza orka w tak fatalnych, niesprzyjających warunkach, przy słabej obsadzie komitetu, dała pozytywne dla sprawy wyniki.

Na ławie oskarżonych zasiedli z nami i nasi towarzysze z drukarni, Sawczenko i Łaszkiewicz, niby członkowie komi-

tetu. Aresztowano ich w pół roku po nas i do sprawy przy-
czepiono na zasadzie zeznań Czułajewskiej, która przypląta-
ła zasłyszane w jakiejś rozmowie ich nazwiska. Przyczepiono
też do nas — już bez winy Czułajewskiej, robotnika - maksy-
malistę Płatona Kiszczenko, starego członka partji, który
prowadził w Kijowie r. 1913 jedno z kółek robotniczych. Ja,
Grisza i Azarkiewicz byliśmy aresztowani prawie jednocze-
śnie, a w związku z czcionkami wynaleziono i aresztowano
w Odesie naszego przyjaciela Korsztajna i włączono również
do sprawy w charakterze członka komitetu. Była więc to po
partacku robiona sprawa. Na sądzie udało się nam uzyskać
uniewinnienie groźnego „członka komitetu“ Kornsztajna,
a w rzeczy samej — pokojowo usposobionego obywatela, ojca
licznej rodziny. Nawiasem dodam, że człowiek ten przesie-
dzał z nami razem przeszło rok w więzieniu i potrafił zacho-
wywać się z godnością, odwagą i cierpliwością, jakiej mógł
by mu pozazdrościć tęgi rewolucjonista. Dodać do tego trze-
ba, że był to człowiek już pięćdziesięcioletni, że areszt i po-
byt w więzieniu zrujnował go materjalnie. Był to człowiek
wysokiej wartości moralnej.

Na tem zakończę galerję typów eserowskich w Kijowie.

IV. WIĘZIENIE W KIJOWIE

I. ZDRADA

Aresztowano mnie tym razem 17 lipca 1913 roku, w nocy, w pokoju przy ul. Stołypina w Kijowie. Pokój ten, duży i bardzo zimny, odnajmowałam od wdowy po jenerale, starej nauczycielki języka francuskiego w gimnazjum żeńskim. Była to dość obrzydliwa jędza i zdecydowana reakcjonistka, o czym się dowiedziałam dużo później, z opowiadań matki: wymyślała matce za mój udział w pracy rewolucyjnej. Nie utrzymywałam z nią żadnych stosunków, poza płaceniem za pokój, uskutecznianem przeważnie pośrednio, na ręce innej sublokatorki, starej panny, która niejako prowadziła tam gospodarkę. Znałam swoją gospodynię z jednej tylko, ale zdumiewającej strony: trzymała w swem mieszkaniu czternaście psów rozmaitego wieku, kalibru i rasy. Ponieważ z całego mieszkania rozporządzała osobiście tylko dwoma pokojami, bo resztę wynajmowała, można więc sobie wyobrazić, co się działo w tych pokojach. Po 20 latach, dzielących mnie od tego czasu, uprzytamniam sobie całkiem dokładnie ten niesamowity wrzask, pisk, wycie i wrzawę, jaką czyniło to zbiorowisko psów przy wejściu obcego do mieszkania gospodyni, izolowanego całkiem od odnajmowanych pokojów. W cyrkułe policyjnym, gdzie siedziałam przez parę dni po aresztowaniu, dowiedziałam się od policjantów, że po wyprowadzeniu mnie z mieszkania zrobiono rewizję w całym domu, t. j. właśnie w pokojach gospodyni: policjanci brzydko klęli na wspomnienie psich aromatów, wrzawy i kłopotów, jakie mieli podczas rewizji z psami, nieprzyzwyczajonemi do oglądania obcych ludzi.

Rewizja u mnie obfitowała w całe mnóstwo tragikomicznych momentów. Nie byłam sama, gdyż od tygodnia gościła u mnie moja koleżanka z ławy uniwersyteckiej, Marja Czułajewska, nauczycielka szkółki katolickiej w Kiszyniowie. Nie spodziewałam się rewizji, ale na odgłos dość energicznego dzwonka do bramy o godzinie mocno spóźnionej (około 2-ej) wyczułam odrazu, że nie dzwoni żaden rozbawiony gość, tylko idą po mnie. Domek mojej gospodyni znajdował się w samym końcu bardzo dużego dziedzińca, to też między parokrotnem dzwonieniem, otwarciem bramy, a przyjściem do naszych drzwi mogło przejść około pięciu minut, tembardziej, że policja udała się od strony kuchni do służącej, ażeby im otworzyła bez dzwonienia.

Na odgłos dzwonka przy bramie zerwałam się odrazu ze snu, zapaliłam świecę przy mojem łóżku i powiedziałam do budzącej się Czułajewskiej, że to może być rewizja. Nie zauważyłam wtedy jej głębokiego przerażenia, gdyż miałam poważne zajęcie: spaliłam natychmiast w żelaznym piecyku jakieś notatki partyjne, których nie chciałam oddać, włożyłam szlafrok i wyniosłam do przedpokoju paczuszkę z broszurkami (zabranami z mieszkania Polianina), którą ulokowałam na szafie stojącej w tym przedpokoju: zasadniczo rewizje ograniczały się do terenu pokoju, odnajmowanego przez rewidowanego sublokatora. Próbowałam nawet paczuszkę tę wręczyć sąsiadowi na przechowanie: pokój naprzeciwko mnie zajmował Rosjanin, inżynier, niejaki Konstanty Bartałowicz; udawał postępowca i utrzymywaliśmy normalne stosunki sąsiedzkie. Wychodząc z założenia, że rewizję będą robić tylko u mnie, zastukałam do jego drzwi i prosiłam, żeby to przechował, o ile dzwonek ten oznacza rewizję u mnie. Bartałowicz wyskoczył momentalnie ze swego pokoju, w negliżu, obudzony jak widać dzwonkiem; odmówił mi jednak z wiel-

kiem zakłopotaniem. Pamiętam jak dziś jego śmieszłą twarz, długi nos i binokle na nosie, wąsy cienkie, długie i opuszczone ku dołowi. Próbowałam go przekonać, ale kroki pod drzwiami zmusiły mnie do wrzucenia paczki na szafę w przedpokoju i wycofania się do mego pokoju; Bartałowicz też zdążył wycofać się błyskawicznie. Nie rozumiałam wówczas ani powodów jego zakłopotania, ani odmowy, nie mu nie groziło podług wszelkiego prawdopodobieństwa.

Rewizja u mnie była obsadzona znakomicie: rewidował w licznej asyście sam pan pułkownik żandarmerji kijowskiej, niejaki Iwanow. Przy rewizjach u eserowców spodziewali się często broni, materiałów wybuchowych i obstawiali te sprawy dużą pompą. W moim pokoju nie znaleźli absolutnie nic, a ponieważ byłam pewna, że na tem rewizja się skończy, zdrady zaś znikąd się nie spodziewałam, byłam w całkiem dobrym humorze: zresztą poczytywaliśmy sobie za punkt honoru nie demonstrować wobec wrogów depresji i przygnębienia.

W pewnym momencie, w odpowiedzi na jakieś powiedzonko pułkownika, który przeglądał moje fotografie, zażartowałam sobie z pochopności żandarmów do „robienia“ rewolucjonistów ze zwykłych ludzi. Żandarm wściekł się: oczywiście wolał widzieć młodą osobę, rozdzierającą szaty, — wogóle melodramat. Nie pamiętam słów, ale ton jego z prawie ugrzecznionego, jak to często bywa u żandarmów, zmienił się odrazu na grubiański. Odciełam mu się odpowiednio i w tej chwili nieprzyjemnie tknął mnie okrzyk Czująjewskej (po polsku), wyraźnie histeryczny: „dajcież pokój!“ Żandarm, niezły psycholog, musiał sobie ten okrzyk odpowiednio psychoanalizować. Dość, że czujność jego została zaostzona. Posiadał nakaz aresztowania mnie bez względu na wynik rewizji, to też kazał mnie wyprowadzić, jakkolwiek nic w po-

Rewizja u mnie obfitowała w całe mnóstwo tragikomicznych momentów. Nie byłam sama, gdyż od tygodnia gościła u mnie moja koleżanka z ławy uniwersyteckiej, Marja Czułajewska, nauczycielka szkółki katolickiej w Kiszyniowie. Nie spodziewałam się rewizji, ale na odgłos dość energicznego dzwonka do bramy o godzinie mocno spóźnionej (około 2-ej) wyczułam odrazu, że nie dzwoni żaden rozbawiony gość, tylko idą po mnie. Domek mojej gospodyni znajdował się w samym końcu bardzo dużego dziedzińca, to też między parokrotnem dzwonieniem, otwarciem bramy, a przyjściem do naszych drzwi mogło przejść około pięciu minut, tembardziej, że policja udała się od strony kuchni do służącej, ażeby im otworzyła bez dzwonienia.

Na odgłos dzwonka przy bramie zerwałam się odrazu ze snu, zapaliłam świecę przy mojem łóżku i powiedziałam do budzącej się Czułajewskiej, że to może być rewizja. Nie zauważyłam wtedy jej głębokiego przerażenia, gdyż miałam poważne zajęcie: spaliłam natychmiast w żelaznym piecyku jakieś notatki partyjne, których nie chciałam oddać, włożyłam szlafrok i wyniosłam do przedpokoju paczuszkę z broszurkami (zabranami z mieszkania Polianina), którą ulokowałam na szafie stojącej w tym przedpokoju: zasadniczo rewizje ograniczały się do terenu pokoju, odnajmowanego przez rewidowanego sublokatora. Próbowałam nawet paczuszkę tę wręczyć sąsiadowi na przechowanie: pokój naprzeciwko mnie zajmował Rosjanin, inżynier, niejaki Konstanty Bartałowicz; udawał postępowca i utrzymywaliśmy normalne stosunki sąsiedzkie. Wychodząc z założenia, że rewizję będą robić tylko u mnie, zastukałam do jego drzwi i prosiłam, żeby to przechował, o ile dzwonek ten oznacza rewizję u mnie. Bartałowicz wyskoczył momentalnie ze swego pokoju, w negliżu, obudzony jak widać dzwonkiem; odmówił mi jednak z wiel-

kiem zakłopotaniem. Pamiętam jak dziś jego śmieszna twarz, długi nos i binokle na nosie, wąsy cienkie, długie i opuszczone ku dołowi. Próbowалаm go przekonać, ale kroki pod drzwiami zmusiły mnie do wrzucenia paczki na szafę w przedpokoju i wycofania się do mego pokoju; Bartalowicz też zdążył wycofać się błyskawicznie. Nie rozumiałam wówczas ani powodów jego zakłopotania, ani odmowy, nie mu nie groziło podług wszelkiego prawdopodobieństwa.

Rewizja u mnie była obsadzona znakomicie: rewidował w licznej asyście sam pan pułkownik żandarmerji kijowskiej, niejaki Iwanow. Przy rewizjach u eserowców spodziewali się często broni, materiałów wybuchowych i obstawiali te sprawy dużą pompą. W moim pokoju nie znaleźli absolutnie nic, a ponieważ byłam pewna, że na tem rewizja się skończy, zdrady zaś znikąd się nie spodziewалаm, byłam w całkiem dobrym humorze: zresztą poczytywaliśmy sobie za punkt honoru nie demonstrować wobec wrogów depresji i przygnębienia.

W pewnym momencie, w odpowiedzi na jakieś powiedzonko pułkownika, który przeglądał moje fotografie, zażartowałam sobie z pochopności żandarmów do „robienia“ rewolucjonistów ze zwykłych ludzi. Żandarm wściekł się: oczywiście wolał widzieć młodą osobę, rozdzierającą szaty, — wogóle melodramat. Nie pamiętam słów, ale ton jego z prawie ugrzecznionego, jak to często bywa u żandarmów, zmienił się odrazu na grubiański. Odcięłam mu się odpowiednio i w tej chwili nieprzyjemnie tknął mnie okrzyk Czująewskiej (po polsku), wyraźnie histeryczny: „dajcież pokój!“ Żandarm, niezły psycholog, musiał sobie ten okrzyk odpowiednio psychoanalizować. Dość, że czujność jego została zaostzona. Posiadał nakaz aresztowania mnie bez względu na wynik rewizji, to też kazał mnie wyprowadzić, jakkolwiek nic w po-

koju nie znaleźli i wogóle nie prócz moich rodzinnych listów nie zabrali: przejrzenie na miejscu tej całkiem „niewinnej“ korespondencji uniemożliwił im polski język. Naprędcę ubrałam się, pożegnałam z Czująewską, ze służącą gospodyni (moją wielką przyjaciółką) i już szczęśliwie wychodziłam, kiedy pułkownik zainteresował się sprzętami w przedpokoju, do kogo należą? czy niema tam moich rzeczy? Znalazłam się w kropce! Służąca stwierdziła, że szafa i reszta umeblowania w przedpokoju nie należały do mnie, ale znaleziona na szafie paczka przypawiła moich sąsiadów o pewne przykrości: wywołano z pokoju Bartałowicza, który się całkiem speszył i nawet proponował mi przyznać się do paczki; wywołano starą pannę, przy akompaniamencie psiego wrzasku zza drzwi. Wyprowadzono mnie zaraz, więc nie wiedziałam (aż do zwierzeń posterunkowego w cyrkule), że zarządzono zaraz rewizję u Bartałowicza i w całym mieszkaniu. Potem dowiedziałam się powodów zmieszania, speszenia Bartałowicza któremu oczywiście nic nie groziło i do którego żadnych pretensyj o paczkę na jego szafie nie zgłoszono: okazało się, że nocowała u niego tej nocy osoba, uchodząca oficjalnie za siostrę, która paszportowych dowodów pokrewieństwa nie mogła pokazać. Nie mogłam zrozumieć tej mieszczańskiej tragedji ujawnienia istniejącego stosunku i miałam początkowo żal do Bartałowicza za jego zachowanie. Muszę jednak stwierdzić, że na sądzie (po przeszło roku) potrafił zachować się bardzo przyzwoicie i całkiem niezależnie; wprawdzie w mojem położeniu nie dużo już można było poprawić, ale on robił co mógł: twierdził, że się uczyłam, że nikt u mnie nie bywał, że wogóle byłam: „barysznia kak sledujet“, ¹⁾ że nic rewolucyjnego w moim trybie życia nie dostrzegał i t. p. noto-

¹ Panienska jak należy.

ryczne oszukaństwa, gdyż niejednokrotnie sam otwierał drzwi wchodzącym do mnie ludziom wszelkich środowisk i niesamowitych wyglądów, o całkiem niebываłych porach doby. Osobista przyzwoitość Bartałowicza ujawniła się jaskrawo przez to jeszcze, że po zakończeniu rozprawy sądowej w pierwszym dniu, kiedy straż otoczyła nas dla wyprowadzenia z sali, podszedł do mnie i pomimo protestów żołnierzy, uściśnął mi rękę ze słowami, charakterystycznymi dla rosyjskiego inteligenta: „pozwolcie pożat² waszu błagorodnuju ruczku!“

Z cyrkułu brali mnie na pierwsze badanie, zdaje się w drugim czy trzecim dniu po aresztowaniu.

Widocznie już wtedy wiedzieli dużo o mnie. Badał mnie ten sam Iwanow. Był wyszukanie grzeczny, jak to żandarm: interesował się moim ojcem, profesorem uniwersytetu; wujenką, która się dowiadywała o moje sprawy z Petersburgu (wdowa po wyższym sędziaku); mojem wykształceniem osobistem, słowem zaczął od zwracania głowy. Ja opowiedziałam mu całą zmyśloną historję o swoich zajęciach w dniu, który go interesował i w którym, w rzeczy samej, miałam do czynienia z odbieraniem czczonek z dworca; mogłam to zrobić, bo dzięki Kowalskiej²) mogłam ułożyć z towarzyszami swoje alibi na te wszystkie dni przed aresztem.

Iwanow wysłuchał całej mojej, skrupulatnie wystylizowanej bajeczki z układną miną, a gdy już wszystko wypowiedziałam i wszystko zapisał, oświadczył mi z wielkiem współczuciem i smętkiem: „niestety, pani koleżanka już wszystko nam opowiedziała, jak to było w istocie i wiemy już, że to wszystko co nam pani teraz mówi nie jest prawdą“...

² Spotkałam ją w cyrkułe, gdzie odsiadywała miesiąc „redaktorskiego“ aresztu i mogłam z nią wszystko omówić.

Jakkolwiek nie uwierzyłam, — oświadczenie to wyprowadziło mnie jednak z równowagi, gdyż całkiem niepotrzebnie zapewniłam go, że się znam na żandarmskich metodach wyciągania zeznań, że nie u mnie nie znaleźli i nie mi nie mogą inkryminować. Żandarm wściekły, ale jeszcze poprawny, zaznaczył, że owszem, znaleziono pewną paczuszkę, wyrzuconą w ostatniej chwili z mego pokoju: inni lokatorzy nie mają nic wspólnego z tą paczuszką. Odpowiedziałam, że istotnie inni lokatorzy nie mogą mieć nic wspólnego z żadnymi broszurami rewolucyjnej treści (Iwanow nazwał te broszury), ale znamy wypadki, kiedy podczas rewizji, lub przed nią sama żandarmerja rękami agentów podrzucała takie rzeczy do mieszkań. Tu zaszedł ciekawy wypadek psychologiczny. Zdarzenia takie miały istotnie miejsce niezliczoną ilość razy w każdym mieście rosyjskiem i w tym samym Kijowie z pewnością nieraz uciekał się do tej metody Iwanow, korzystający, jak się potem dowiedziałam od obrońców, z najpaskudniejszej opinii moralnej nawet w swoim środowisku. Tymczasem żandarm porwał się z miejsca, niezem zraniony lew, rycząc: „Jak pani śmie hańbić honor (pozorit' czest) naszego munduru?!“ Odpowiedziałam mu z wielkim chłodem: „No, cóż tam panowie macie w tych sprawach do mówienia! Honor waszego munduru bez mojej pomocy jest dostatecznie wyklarowany!“

Była to oczywiście młodzieńcza buta, która mnie kosztowała dziewięć miesięcy pozbawienia widzeń z matką, a matkę moją — nieskończone cierpienia. Narazie żandarm kazał mnie tylko odprowadzić do więzienia, ale potem z rozmów matki ze śledczym i podprokuratorem wynikło niezbitcie, że zastosowany do mnie wyjątkowy stan izolacji zawdzięczałam temu konfliktowi z żandarmem, który się mścił za ów „honor“.

Oczywiście, i od owej „nieubłaganej“ postawy było odstępstwo.

Kiedy do Kijowa przyjechała siostra mej wujenki, pani Ludwika Michałowska, to imię któregoś z wyższych sędowników i ludzi „reżymu“ (znajomych czy dawnych kolegów mego wuja, Józefa Augustynowicza), otworzyło jej odrazu wstęp do Iwanowa i uzyskało widzenie ze mną bez krat i odległości, choć oczywiście — w asyście Iwanowa. Wizyta ta była tak niewypowiedzianie wesoła i humorystyczna, że muszę ją opisać.

Pani Michałowska, elegancka dama o wytwornych manjerach i wysokich stosunkach, imponowała widocznie żandarmowi. Nie wiedziałam, oczywiście poco mnie wzywają, rozstałam się z żandarmem przy opisanem pierwszym badaniu niezbyt słodko, nie spodziewałam się nic przyjemnego. Tymczasem, gdy wprowadzono mnie, żandarm wstał z wielką grzecznością, ułożył swą twarz do smutnego i godnego uśmiechu i powiedział: „pani mnie głęboko obraziła; ale mimo to, ponieważ wujenka pani prosiła o zobaczenie się z nią, zaraz ją pani zobaczy“... Pierwsze, co mnie przyjemnie uderzyło w przywitaniu z wolnym człowiekiem, to miłe wrażenie zmysłowe dokładnie wymytej twarzy, lekkiego zapachu perfum i swobodnych ruchów, które wydały się mi już, w treningu psychicznym więźnia, jakby przesadnemi.

Zresztą pani Michałowska zachowywała się w najwyższym stopniu rozbrajająco, gdyż zaczęła mnie wypytywać, czy wogóle mogę jeszcze wytrzymać w więzieniu, czy nie za bardzo mnie męczy brak swobody, czy mam wszelkie wygody, czy kuchnia jest możliwa i t. p. Wpadłam w humor poprostu „byczy“: to jest jedyne odpowiednie określenie. Wielka powaga mojej sytuacji „surowy reżym jaki do mnie zastosowano, ten trening, który musi sobie zdobyć w więzieniu człowiek, nie

życzący się rozstawać ze swą ludzką godnością — wszystko to ułożyło już moją psychikę do wielkiej, stałej rezerwy i surowości. Tu zaś nadarzyła się okazja do wyśmiania się, odprężenia, poprostu — wybawienia przez długie kilkanaście minut: nieoceniony wkład w podtrzymanie tężyzny moralnej i dobrej więziennej postawy! Dusząc się ze śmiechu, opowiedziałam „wujence“, jak wygląda mój dzień w „odinoczce“³), jakie funkcje natury porządkowo gospodarczej muszę pełnić, jak spaceruję, co jadam, czem się zajmuję i t. p. Przerywała okrzykami i pytaniami, rzucanemi żandarmowi.

„Jako? sama musi myć podłogę?! Czyż pan tam nie może mieć do tego służby?! Jako? nie od ciebie zależy kiedy wyjdiesz na spacer?! ograniczają czas!!! No, dobrze, panie pułkowniku, ale jeżeli moja siostrzenica dostanie np. migreny!! to co? czy ma siedzieć w celi--“ — Bawiłam się niebywale położeniem żandarma, który musiał być ugrzeczniony bez miary wobec pani Michałowskiej: nie sięgał nawet do kolan jej stosunków w sądownictwie. Nic pociesniejszego, jak reagował na jej słowa: „No, rzeczywiście... Trochę ograniczenia... Zupełnie zgadzam się z szanowną panią, że nieodpowiednie dla panieki... Ale cóż robić? przecież to nie myśmy chcieli, żeby panienka pracowała dla rewolucji...“ i t. p. Na pytanie o migrenie pozwoliłam sobie i ja ubawić się kosztem żandarma i zapytałam go całkiem serjo: „Nie, proszę pana, cóż naprawdę mam począć jeżeli zacznę cierpieć na migrenę?“ Wiedział łajdak, że w więzieniu zapadłam na płuca, że dręczyła mnie nerwowa egzema, zjadająca szyję i ramiona, że próżno domagałam się wypisania do więziennego szpitala; wiedział, bo na jego to zlecenie szpital i lekarz Baranow „nie widział powodu“ przyjęcia mnie. Odpowiedział

³ Pojedyncza cela.

jednak bez mrugnięcia oka: „No, migrena, rzeczywiście, w pani wieku, może to być z anemji, może być poważnem cierpieniem... Zwróci się pani do szpitala“...

Wreszcie znudziła mnie ta rozrywka i powiedziałam pani Michałowskiej, że więzienie jest więzieniem i nie mam pretensyj, iż nie zajmują się uprzyjemnianiem mi życia, ale że nadto stosują do mnie wyjątkowe sposoby oddziaływania: brak widzeń, nadprogramowe ograniczenia w korespondencji, szykany lekarza i t. d.

Niestety, jakkolwiek p. Ludwika była jednym z najlepszych, subtelnych i najzaciejszych ludzi, jakich znałam i szczerze chciała mi pomóc, zupełny brak orjentowania się jej w tej sprawie uniemożliwił mi praktyczne wyzyskanie jej wizyty. Kiedy chciałam pośrednio zwrócić jej uwagę na którąś z bolączek więziennych, opowiadając coś o warunkach przebywaniu w „odinczce“, przerywała mi okrzykami: „jakto?... czyż nie możesz obstałować sobie łazienki? ciepłego natrysku? a jak z fryzjerem?“ albo: „Pan pułkownik otrzyma na wszystko dla ciebie pieniądze“, albo: „Jakto, a czy mogą być np. szczury w więzieniu?... jakże się wtedy ratować?“ i t. p.

Wizyta ta miała tylko ten skutek, że Iwanow napewno przestał naciskać na zaostrzenie reżymu i szykan w stosunku do mnie. Widzenie to było zresztą w pierwszych dwóch tygodniach po areszcie i nie wpłynęło na to, żebym mogła zobaczyć prędej matkę.

Isolacja od życia i zupełna beczynność zaczęły się dopiero w więzieniu, gdzie przeprowadzono mnie następnego dnia po pierwszym badaniu u Iwanowa. Zostałam wsadzona do „odinczki“, urządzonej całkiem nowocześnie: łóżko, czynne tylko w nocy, na dzień „zapinane“ do ściany; stolik i taboret, wrobione do ściany jednym bokiem i metalowe, lodowate

w dotknięciu; półeczka drewniana na ścianie, na której można było układać swoje rzeczy. Okienko małe, bardzo wysoko. Okieneczko w drzwiach, przez które prawie bez szelustu można było podglądać więźnia.

Pierwsze dni po zamknięciu w „odinocze“ nie odczuwałam nic przykrego. Przeciwnie, po strasliwym załataniu, zganianiu i wymęczeniu w orce konspiracyjnej pracy (szczególnie w tych ciężkich latach reakcji, gdy zupełnie brakło ludzi do pracy), możność niemyślenia, niemoknięcia pod deszczem, nielatania po piętach — wydawała się całkiem przyjemna. Pamiętam dokładnie, że myślałam nie bez złośliwości o towarzyszach: „polatajcie teraz wy...”

Naturalnie, odpoczynek był od początku względny. Przyszłam do więzienia bez grosza przy duszy, bez cieplejszego odzienia, z cieniutkim kocem, w butach o przedartych podszewkach: areszt spotkał mnie w okresie pełnej „bryndzy“ pieniężnej. Tymczasem w celi, choć w lecie, nocami bywało wprost dotkliwie zimno: łóżko o nadmiernie chudym materacu nie grzało, a konieczność wstawania o 4-ej rano (w lecie, w zimie o 6-ej) nie dodawała również ciepłika. Chłód, gdy minęło pierwsze niewyspanie, nie pozwalał zasnąć na dobre, gdy już budzono. Nie było pozatem jedzenia. Chleb więzienny, zwany „dynamitem“, był jeszcze przysmakiem w porównaniu z paskudztwem, które dawano na zupeł. Długo nie mogłam nauczyć się jeść tego. Na kolację, skoro się nie miało swego cukru „z wypiski“, dostawało się tylko wrzątek; herbatę również trzeba było mieć własną. Tak samo z rana. Pomiedzy temi „parodjami“ jedzenia, na które człowiek rzucał się z głodu a po paru łykach beznadziejnie odsuwał — były długie, liczne godziny nieprzerwanego nawet tą fikcją głodu. Na spacer wypuszczano mnie w pierwsze dni nieregularnie i najwyżej na kwadrans. A jednak spacer ten sprawiał wiel-

ką ulgę. Izolacja była tu tak dokładna, że nie spotykałam się ani na spacerze, ani po wyjściu i powrocie do celi z nikim z towarzyszy. Ale samo powietrze, słońce, ruch — sprawiały przyjemność. Widocznie nie miałam większej wrażliwości na takie rzeczy, które np. panią Stefanję Sempołowską zmusiły całkiem wyrzec się spaceru w więzieniu: a więc np. na: okoliczność nadzoru za każdym krokiem „idjotycznego kręcenia się w kółko na jednym małym miejscu.

Poraz drugi na badanie wywołano mnie dopiero w dwa tygodnie od zaaresztowania i wtedy — miałam odrazu nadmiar wrażeń.

W ciągu tych dwu tygodni przed badaniem miałam już zresztą przedsmak wszystkich późniejszych przeżyć. Już w pierwszych dniach więzienia, będąc na spacerze, widziałam zdaleka Czujajewską, która wracała z miasta, z badania. Dozorczyni tak ją prowadziła, żeby przeszła jak najdalej od mnie. Mignęła mi tylko jej twarz—pobladła i przybita. Potem, z zestawienia dat, doszłam, że w tym właśnie dniu złożyła w żandarmerji obciążające mnie zeznania.

Informacje o niej miałam w pierwszych już dniach od dozorczyń. Wieczorem, po „powierce“, dozorczyńie często z nudów zaczynały gawędy z nami, wybierając zazwyczaj nowe, penetrując nasze możliwości pieniężne, rodzinne i t. p. pod kątem ewentualnych świadczeń, jakie mogłyby otrzymywać za usługi. Dozorczyni nazwiskiem Olejnikowa, chytra baba, wypatrzyła sobie u mnie dość ładną czerwoną bluzkę i sądzę, że to był powód rozpoczęcia rozmowy. Zagadnęła mnie, jak się czuję i powiedziała, że o parę cel siedzi też polka, niedawno przyprowadzona, nazwiskiem Czujajewska, ale ta „strach kak ubiwajetsia“⁴); chora na serce; ciągle mówi, że nie wy-

⁴ Bardzo rozpacza.

trzyma; kładzie się na cementowej podłodze, bo na łóżku nie wolno, a usiedzieć nie ma sił. — Trudno opisać, jak straszliwe wrażenie wywarły na mnie jej słowa.

Nie miałam żadnych złych podejrzeń w stosunku do Czujajewskiej, a wiadomość o jej cierpieniach niesłychanie mnie dotknęła: im bardziej czułam się pewną siebie, tem więcej było mi jej żal. Przekupiłam dozorczynię czerwoną bluzką, którą wieczorem schowała sobie pod kaftan i za tę cenę podjęła się doręczyć Czujajewskiej list odemnie: musiała mi w tym celu przynieść kawałek ołówka i papier, bo nic u siebie nie miałam. Pamiętam doskonale treść tego listu. Pisałam, jak mi niesłychanie ciężko, że wpadła przezemnie; ale niech będzie spokojna; na pierwszym badaniu postaram się ją zupełnie „wybielić“; pisałam, że rodzice moi, skoro się tylko o moim areście dowiedzą, będą mi przysyłali z Krakowa pieniądze, a ja się z nią podzielę; prosiłam ją, żeby nie upadała na duchu, że napewno niedługo będzie zwolniona.

Wspomniałam jej o tem, co mi powiedział Iwanow o jej zeznaniach, zaznaczając, że znam się na chytrnościach żandarmskich i ani na sekundę mu nie uwierzyłam. I dalej jeszcze dawałam jej rady, jak się ma bronić. Prosiłam ją, żeby, o ile nie wierzy dozorczyini i boi się przez nią odpisać, zostawiła mi odpowiedź na skrawku papieru za umywalnią, do której nas wypuszczano z cel: w dużej ubikacji w końcu korytarza mieściła się przy ustępach umywalnia, a dostrzegłam, że jeden jej róg odstaje od ściany i można tam papier wsunąć.

Czekałam całą dobę. Wreszcie odpowiedź okazała się we wskazanem miejscu. Był to jednak kawał niezapisanego papieru, tego samego na którym pisałam do niej: oddarła mały kawałek i wsunęła za umywalnię, żeby dać znać, że mój list dostała. I to jeszcze nie obudziło mej czujności! Tłumaczy-

łam sobie najrozmaitszemi sposobami jej postępki: że się obawia złapania listu; że nie chce się narażać, że czuje się zbyt źle, żeby pisać i t. p. bzdury, a nie to, co było oczywiście: że nie może się już do mnie zwrócić. Po szeregu dni, pewnego ranka, dozorczeni obwieściła mi, że Czułajewską zwolniono. I znów — nie potrafię wyrazić niesamowitej radości, jak mnie ogarnęła: jest wolna! Spadł mi jakby ogromny ciężar z duszy: człowiek ten siedział przecież nie dla sprawy, a przezemnie; człowiek ten nie chciał i nie mógł siedzieć za nie swoją sprawę. Współczucie jakie miałam dla jej chorego serca, dla tego niezaradnego znoszenia więzienia, wszystko to wyolbrzymiało radość jaką sprawiło mi jej uwolnienie.

Wyobrażałam sobie z wielką czułością, że wyjedzie dziś do swojej Żurawłówki (stacja kolejowa na Podolu, gdzie mieszkał ojciec Czułajewskiej, były kolejarz), że zobaczy matkę, którą bardzo kochała, że odpocznie sobie tam w ogródku, na trawie, między drzewami...

Następnego dnia (w 14 dni po aresztowaniu) wezwano mnie do sędziego śledczego. Rośliłam już sobie, że mi nic nie mogą udowodnić, bo według przepisów przed upływem 2 tygodni musiano mi przedstawić artykuł prawa, na zasadzie którego można było mi wytoczyć sprawę sądową. Wezwanie do sędziego śledczego doszczętnie rozwiało te iluzje.

Cała rozprawa u sędziego utkwiała tak jaskrawo w mózgu moim, że mogę ją odtworzyć prawie dosłownie. Gdy żołnierze wprowadzili mnie do pokoju sędziego, siedziało tam przy stole trzech panów: znany mi żandarm Iwanow, sędzia śledczy „po osobno ważnym dziełam“, ⁵⁾ który do końca prowadził już naszą sprawę — Nowosielski i towarzysz prokuratora — Batuchin. Zamieniliśmy zdaleka ukłony i poproszono

⁵ Dla spraw szczególnego znaczenia.

mnie, abym usiadła na vis á vis tych panów. Byłam bardzo młodą, dość lekkomyślną, przeciętną dziewczyną, ale trzy pary oczu, które się we mnie wbiły, wypatrując słabego miejsca, zmusiły mnie odrazu do wyostrzonej czujności. Iwanow, uśmiechając się rzekł: „Ot, i znów widzimy się z panią...“ Odpowiedziałam: „Spodziewałam się uwolnienia, ponieważ termin już mijał...“ — „A nie“, odparł z zadowoleniem — „my wszystko we właściwym terminie...“ i tu wykonał gest do sędziego śledczego, który podsunął mi gotowy już projekt aktu oskarżenia do czytania. Tknięta nagłem straszliwym przecuciem zaczęłam czytać: „Dnia..... i t. d. aresztowana w tym samym pokoju Marja, córka Edmunda Czująewska zeznała co następuje: znam Śleszyńską od roku... zawsze była rewolucjonistką i należała.... gdy policja dzwoniła, zerwała się, spaliła jakieś notatki, potem wyniosła do przedpokoju paczkę, którą...“ i t. d. i t. d.

Dość było rzucić okiem na te kilka słów, ażeby zrozumieć wszystko. Iwanow powiedział mi na pierwszym badaniu prawdę: Czująewska istotnie zdradziła mnie, nietylko przygodnie sypnęła, ale wysypała konsekwentnie to, co mogło i nie mogło zostać odkryte. Informacje o moim notorycznie-rewolucyjnym usposobieniu, o tem, co robiłam w pokoju w jej tylko obecności, — te szczegóły świadczyły już o decyzji ratowania się — w drodze pozyskania zaufania w żandarmerji.

Wystarczyło pó minuty, ażebym zrozumiała, że zostałam wydana żandarmom przez przyjaciółkę, koleżankę, Polkę i osobę, zupełnie bliską mi pod względem przekonań polityczno-społecznych. Cios był istotnie straszliwy, a najgorsze było to, że nie można było ukryć się od tych trzech przeklętych par oczu (żołnierskich — nie liczę, bo te patrzyły bezmyślnie albo życzliwie).

Obrałam intuicyjnie drogę czytania całego aktu, nie odry-

wając oczu i nie podnosząc głowy. Tę zupełną niemożność spojrzenia im w oczy, podniesienia głowy w tej chwili, pełnej wstydu, bólu i upokorzenia — odczułam jako rzecz szczególnie poniżającą. Krew napływała mi do twarzy, — bolesny rumieniec wstydu i upośledzenia; litery tańczyły mi w oczach, a przecie — były tak nieodwołalnie wyraźne... tak niezaprzeczone w swej obrzydliwej prawdzie.

Dwadzieścia lat życia upłynęło od tego czasu, przeżyłam długie więzienie, zesłanie, rewolucję, powrót do Polski, pracę twórczą w Polsce, macierzyństwo — całą skalę przeżyć życiowych; ale gdy sobie przypominam ową godzinę, spędzoną na śledztwie, zdaję sobie sprawę z tego, że przeżyłam wtedy więcej, niż przez parę lat t. zw. „normalnego“ życia.

„Czytałam“ projekt aktu w ciągu kilku, może nawet — długich dziesięciu minut. Nie przerwał mi nikt, ani jednym słowem, lecz ani na sekundę nie zesłała ze mnie żadna para tych istotnie „wrażych“ oczu. Treść zeznań Czująewskiej w ich całości była taką, że nie pozostawiała ani chwili wątpliwości: moja praca i przynależność nietylko do partji, ale do władz kijowskiej partji S. R. została przez jej zeznania udowodniona.

Kiedy podniosłam głowę po odczytaniu aktu i spojrzałam w oczy sędziemu śledczemu, byłam już całkowicie spokojna i... milczałam. W tej chwili dostrzegłam, że uśmiechy maskują już coś innego i że to spokój mój, mój biedny, tak strasznie drogo okupiony spokój — wprawia ich w źle ukrywaną pasję. Zrozumiałam: obiecywali sobie przedstawienie nielada: młoda panna z „dobrego domu“, córka profesora uniwersytetu, nie przyzwyczajona do dłuższego pobytu w więzieniu, uderzona, jak gromem zdradą przyjaciółki, — według ich obliczeń winna im była urządzić niebylejaki występ dramatyczny. Sędzia śledczy spytał mnie: „No i cóż pani na to?“

prokurator milczał, a Iwanow jednocześnie z sędzią uronił przez zęby: „Chyba nie będzie się już pani zapierać!! teraz!“. Bardzo chłodno i spokojnie powiedziałam: „Nic nie mam panom do powiedzenia“. Sędzia spytał, ściągając usta: „Czy to ostateczna decyzja?“; prokurator, dotąd najbardziej bierny, dodał z nagłym ożywieniem: „musimy panią uprzedzić, że to mocno pogorszy położenie pani, i tak już bardzo ciężkie“... Iwanow natomiast wybuchnął: „Za przynależność do partji S. R. normalną karą jest cztery lata katongi, a pani należała do kijowskiego komitetu! Radzę zrzucić trochę dumy z siebie i pomyśleć o tych latach! Zachowanie pani już na poprzednich badaniach obudziło naszą czujność“ i jeszcze coś dużo mówił, czego już nie pamiętam. — Słuchałam zupełnie pogodnie, gdyż osiągnęłam już doskonale panowanie nad sobą. Sędzia przyglądał mi się niezyczliwym i przenikliwym wzrokiem, — prokurator patrzył w papier. Sędzia spytał: „No cóż? może przekonał panią pułkownik Iwanow? Młody wiek pani, — pochodzenie...“ Przerwałam mu powtórnie oświadczeniem: „Nie mam nic do powiedzenia“.

Czy sobie zdawali sprawę, że istotnie po zeznaniach Czujajewskiej nie miałam już nic do powiedzenia skoro nie chciałam pójść w jej ślady i ratować się sypaniem towarzyszy?

Spytałam, czy mogę już odejść do więzienia?

Na to rzucił się znów Iwanow: „Pani ma czekać, aż my panią odeślemy, a nie oznajmiać nam odejście!“, a sędzia dodał: „No cóż! jeżeli pani tak stanowczo nie chce sobie samej pomóc, — może pani już iść“.

Zato po wyjściu od nich spotkała mnie miła niespodzianka. „Konwój“, ⁰) który mnie odprowadzał, składał się z dwóch

⁰ Eskorta wojskowa.

żołnierzy; jeden z nich miał naszywki podoficerskie. Nie wyszliśmy jeszcze z gmachu sądu, — schodziliśmy po schodach, kiedy posłyszałam dyskretnym, cichym słowem wymówione słowa: „Zachowała się pani jak zuch, bardzo ładnie!“ (Wy młodcom wieli siebie, barysznia, oczeń daże choroszo!)“ — Tak darzył mnie subtelnością i serdecznością chłop albo robotnik rosyjski w mundurze, okupując złość i chamstwo tamtych panów „z wyższem wykształceniem“...

II. SZARE DNIĘ WIĘZIENIA

Pierwsze miesiące w więzieniu były szczególnie ciężkie. Trzeba było zdobyć umiejętność stałego trwania o głodzie, stałego marznięcia w źle ogrzewanej celi, na metalowym taborecie i stoliku, pod „chudym“ studenckim kocem na chudym materacu, przez który wyczuwało się pręty łóżka. Nie było to już więzienie takie jak odeskie: zupełna samotność, doskonała izolacja od wszelkich spotkań, nawet na korytarzu, w podwórzu. Wypuszczano nas z cel dwa razy na dobę: rano i przed wieczorem, ale dokładnie pilnowano, żeby zamknąć na klucz drzwi od celi jednej, nim wypuszczano z drugiej.

Poza tą zupełną samotnością bardzo deprymujące było urządzenie więzienia, z którym trzeba było się oswoić. Szczególnie dotkliwie odczuwało się owo zamykanie łóżka na dzień: w lecie dzień ten przedłużał się nieskończenie, gdyż jak wspomniałam, budzono nas już o 4-ej rano: przed 5-tą musiałyśmy pozamykać swoje łóżka, zapinając je o hak na ścianie, — o 6-ej sprawdzano naszą obecność, a przed sprawdzeniem celi musiała być sprzątnięta. W zimie budzono nas o dwie godziny później; na długo przed świtem. Otwieranie

łóżka odbywało się jednakowo w lecie i w zimie o 6-ej popołudniu: tak więc w pierwszych miesiącach więzienia musiałam się obchodzić bez łóżka w ciągu 14 godzin na dobę. Siedzenie bokiem na taborecie, malutkim i ziębiącym, było bardzo uciążliwe, chodzenie po celi — spacerów parokilometrowe w ciągu dnia — męczyło też niesłychanie. Do tego dołączył się niewygasający stan podgorączkowy: stałe przemęczenie i przeziębianie się podczas pracy rewolucyjnej, stałe zakatarzone drogi oddechowe w warunkach więziennego odżywiania i braku powietrza zaczęły się odzywać bardzo energicznie. Znosiłam to wszystko z dobrą miną tylko dlatego, że... musiałam. Cóż, prócz poniżenia, dałyby mi starania o lepsze warunki! Wiedziałam o rozjątreniu pułkownika żandarmerji Iwanowa w stosunku do mnie i nic innego, prócz cierpliwości, nie pozostawało. ¹

Dopiero pewne nerwowe cierpienie przymusiło mnie do zameldowania się do lekarza. Dostałam egzemy nerwowej, którą miewałam czasami na wolności, w cięższych okresach

¹ Z listów matki mojej do ojca, pisanych w okresie bezowocnych starań o widzenie ze mną, widzę, jak władze śledcze prznosiły swą złość z matki na mnie. Wyjmuję wyjątek z takiego listu matki do ojca w Krakowie z d. 28.7.1913 r.

„...Nie chcą mi dać widzenia, — nie odmawiają ostatecznie, mają dziś mi dać odpowiedź. Posłałam z początku do izby, skąd sekretarz przesłał mnie do sądu, gdzie miał być prokurator. Tam widziałam tylko sekretarza, który mnie przesłał do sędziego śledczego. Tego zobaczyłam wreszcie po bardzo długim — 3 godzinnym wyczekiwaniu. Powiedział mi o Hali, że ona nie zachowuje się względem więziennych władz jak należy, t. j. domaga się to książek, to listów i że tem — jak sądzi — trochę już uzbroiła władze przeciwko sobie. Najgorsze co powiedział — nie nastrasz się, mój drogi, może to wszystko pogróżki, — że ona będzie miała niewątpliwie katorgę w ciągu 8 lat; że poszlak przeciwko niej cały kosz, że oskarżają ją jako członka komitetu eserowców“...

życia. Wysypka ta, sucha i niesłychanie drażniąca, rzuciła się na cały kark, aż pod uszy i włosy.

Zetknięcie z lekarzem było mocno nieprzyjemne. Trudno było się do niego dostać. Prosiłam kilkakroć felczerkę, głupią jak pień ale nieszkodliwą osobę, żeby mnie zapisała do doktora. Odpowiadała mi raz poraz: „Mówiłam doktorowi; — śpieszył się; — było dużo chorych, — nie miał czasu“, albo „Tak niedawno pani siedzi, — i taka młoda, — można jeszcze trochę poczekać“. Wreszcie dostałam się do lekarza. Wysoki, starszy człowiek, Rosjanin (nazwiskiem Baranow), — twarz miał nieco mongolskiego typu, binokle, — wyraz zgryźliwy i zacięty. Podobno lubił, jak się potem dowiedziałam, rozpowszechniać o sobie, że jest monarchistą z przekonania; nie dodawał oczywiście, że był pozatem łapownikiem. Siedziałam później w szpitalu wraz z młodą dziewczyną, córką lekarza, której matka wносиła Baranowowi regularną opłatę za trzymanie jej w szpitalu (oczywiście — „lewą“ drogą).

Poskarżyłam się na gorączkę, klucie w boku, a nadewszystko — na dokuczliwą egzemę. Zapytałam czy nie mogłabym na pewien czas pójść do szpitala, żeby lepiej jeść i wyleczyć się z tego wszystkiego. Opukał mi płuca, zmierzył temperaturę, — burknął: „nie nadzwyczajnego“ i zapisał jakieś lekarstwo. Egzemę oglądał podejrzliwie, marszcząc się i demonstrując swe obrzydzenie dla chorób skórnych, — nazwał to: „nieprzyatnaja istorja“²

Wywnioskowałam zaraz, że szuka sposobu poniżania politycznych w ich własnym samopoczuciu, gdyż wyraził wątpliwość, czy egzema moja nie ma związku z chorobą weneryczną. Bywałam z tą egzemą u kilku wybitnych specjalistów w Ode-

² Niemiała sprawa.

sie i Kijowie, ale żaden podobnej alternatywy nie wysuwał: stąd rozumiałam, że chodzi o swoistą pedagogję w stosunku do politycznych. To też na pytanie, czy nie przechodziłam chorób wenerycznych, odpowiedziałam bardzo spokojnie, że nie i nie dałam się sprowokować nawet przez jego oświadczenie, że, jednakże, ma podejrzenia, że lekarstwo, które zapisze, ustali, jaka przyczyna i t. p. Zapytałam natomiast, co mam w płucach, na co odpowiedział z miłym uśmiechem: „no, naturalnie — tbc.“ Poprosiłam tedy o wypisanie mnie z „odinoczki“ do szpitala. Możliwe, że magiczne w tamtych czasach słowo „tbc“, w moim wieku i osamotnieniu, w jakim siedziałam, po przejściach z Czulajewską, zrobiły na mnie zbyt wielkie wrażenie i Baranow wyłowił jakiś brak nerwowej równowagi w mojej prośbie. W każdym razie reakcja świadczyła o tem, że nie chciał się ze mną rozstać bez scysji. „A poco do szpitala?“ zapytał, „leczyć się można dobrze w odinoczce“. — Bardzo spokojnie odpowiedziałam: „Być może. Ale poco w takim razie istnieje szpital?“ (Od felczerki wiedziałam, że jest dużo wolnych miejsc). Oczy jego pod szklami zaiskrzyły się uciechą i powiedział, cedząc przez zęby: „A podobało się przecie pani zajmować się robotą rewolucyjną? prawda? — Proszę wyciągać konsekwencje... Umierać można i w samotności...“ Poczem rzucił, niby odniechcienia: „Czy prosi pani?“... Oczywiście, nie pozostawało już po tej rozmowie nic innego, jak odpowiedzieć: „Nie. O nic nie proszę. Widzę, że spełnia tu pan dodatkowo inne funkcje, niż lekarza...“

Rozstaliśmy się jak wrogowie.

A jednak po miesiącu przyjął mnie, bez mej prośby, do szpitala. Przypuszczam że p. Michałowska, będąc u mnie, musiała być też u naczelnika więzienia lub u Baranowa i sądzi, że dała im łapówkę, chcąc ulżyć mej doli. Nie wiedzia-

łam o tem i nie dowiedziałam się od niej nigdy, ale sędzę tak na zasadzie faktu, że brali i że im dawali.

Kiedy Baranow wezwał mnie powtórnie, stan moich płuc był już dość zaostrzony. Egzema natomiast, po wypalaniu jej jakimś rozczynek spirytusu, ustąpiła prawie zupełnie, żeby się znów potem pojawić. Baranow udał, że przyjmuje mnie poraz pierwszy, — felczerka przypomniała mu o egzemie, — wtedy się zdradził, bo oznajmił: „Nie, to zupełnie czysta sprawa, nerwowe!“, poczem zmierzył mi temperaturę, zrobił wymówkę felczerce, dlaczego mu nie meldowała, że tak gorączkuję i wypisał mnie z celi do szpitala.

Milczałam przez cały czas wizyty jak mur, odpowiadając tylko pół-gębkiem na konieczne pytania, zniecierliłam tego człowieka, który lubował się w dręczeniu nas na własną rękę. To też kiedy spytał mnie: „Cóż? może pani chce do szpitala?“, odpowiedziałam spokojnie: „To rzecz pana, jak trzeba. Od pana wiem, że umrzeć potrafię i w samotności“. (Dziś, wspomnienia o tej młodzieńczej odporności i bucie, nasuwają mimowoli refleksje o tężyznie moralnej, jaką wyhodowują w sobie w więzieniu ludzie, nawet niewyrobieni i chorzy). Baranow przyjął dobrotliwie tę odpowiedź, powiedział do felczerki: „Poliaki, oni wsięga oczeń gordyje...“³ i kazał przenieść mnie jeszcze tego samego dnia. Cały przebieg tej wizyty i finał jej skłania mnie do przekonania, że poprostu — dostał łapówkę.

W szpitalu zaczęło się „rajskie“ życie. Wprawdzie nad łóżkiem moim odrazu wstawiono tabliczkę „tbc“, która mnie straszyla po nocy, wprawdzie leżałam przez kilka tygodni w łóżku z zaostrzonym procesem w lewym płucu, ale można było właśnie leżeć w normalnem łóżku, co sprawiało istotną

³ Polacy zawsze bardzo hardzi...

rozkosz, można było — obcować z ludźmi. W szpitalu bowiem nie izolowano nas od siebie i miałam odrazu towarzyszkę.

Była to Klara Szejnman, eserówka z kijowskiej organizacji, o poglądach raczej maksymalistycznych, młoda, zdolna, doskonała dziewczyna, świetny więzienny towarzysz. Wkrótce potem moja matka, której nie udawało się uzyskać ze mną widzenia, dostarczyła mi książek do nauki i pamiętam, że studjowałam wraz z tą Klarą, dzieckiem robotniczym o jakimś początkowym wykształceniu, biologję prof. Bronisława Weryhy: wyjątkowe zdolności tej dziewczyny pozwalały jej na zupełnie produkcyjny udział w takich studjach.

Życie w szpitalu było tak odmienne niż życie w celi, o tyle znośniejsze i łatwiejsze, że miesiące, spędzonych tam, można by nie zaliczać do więzienia w dosłownem znaczeniu tego słowa. A jednak w szpitalu właśnie wypadło mi przeżyć dość ostre i przykre momenty.

Jeden z nich był związany z przyjęciem przez nas do celi pewnej Niemki, prostytutki, siedzącej za jakąś kradzież. Pewnego dnia zawezwał mnie dr. Baranow i prosił o tłumaczenie mu z niemieckiego słów tej kobiety, którą leczył. Znałam ją już dawniej z widzenia, gdyż wyróżniała się w więzieniu bardzo eleganckimi, jaskrawymi sukniami, pretensjonalną fryzurą i odrębnymi manierami. Była ładna, ale tą specyficzną, niemiecką, ciężką urodą.

Spełniłam swoją rolę tłumacza, a po kilku dniach Baranow prosił mnie do siebie i wyłożył, że Niemka jest chora, przeszła syfilis, który obecnie wyszedł już z fazy zaraźliwej, nie może siedzieć w celi, musi być w szpitalu; jeśli zaś ją da do kobiet kryminalnych, będą ją biły i maltretowały: prosi więc, ażebyśmy się zgodziły ją przyjąć.

Jakieś podświadome wyczucie ostrzegało mnie przed zgo-

dzeniem się na tę prośbę (o narzuceniu politycznym — przed sądem i pozbawieniem praw — towarzystwa kryminalnych nie było wówczas mowy). Tradycyjnie też nie zgadzałyśmy się zazwyczaj na wprowadzanie do naszych cel obcych ludzi. Jednakże w mojem etycznem poczuciu — (i wielu politycznych) nie była ta sprawa prosta i łatwa do rozstrzygnięcia, zwłaszcza wtedy, gdy nam nie można było jej narzucić i gdy chodziło o jakieś wyjątkowe wypadki upośledzenia ludzkiego. Rozumiałam doskonale, że osoba tej Niemki, budząca w nas odrazę, będzie nienawistnie traktowana przez katorżanki kryminalne w szpitalu, przeważnie chłopki, skazane za różne rodzinne i miłosne zabójstwa na długoterminowe więzienie.

Baranow mógł mieć swoje widoki i wyrachowania w tej całej sprawie, ale ubrał to w płaszczyk uczuć humanitarnych i trudno było tę prośbę odrzucić. Przystałam, a gdy wróciłam do celi, praktyczniejsza Klara zmyła mi za to głowę. „Zobaczysz“, mówiła „co będziemy przez to miały“.

Rzeczywiście, wspólne siedzenie z Niemką było bardzo uciążliwe i wkrótce skończyło się skandalem. My ze swej strony odnosiłyśmy się do niej, jako do nieszczęśliwego i bezbronnego człowieka, dzieliłyśmy z nią swoją żywność, starałyśmy się z nią rozmawiać. Ona od początku okłamywała nas; dotyczyło to zrazu rzeczy niewinnych, a leżących niejako w programie zawodu: musiała nam opowiedzieć jakąś nieprawdopodobnie romantyczną genezę całego swego nieszczęścia, zakończonego więzieniem. Budziło to niesmak, bo nikt jej nie pytał o osobiste sprawy i nie miała żadnej konieczności kłamania. Pozatem od początku zachowywała się niemożliwie w stosunku do administracji więziennej, naturalnie — w stosunku do mężczyzn. Wymagała ciągle prowadzenia jej do kantoru, widocznie w nadziei, że tam zostanie

sama z jakimś urzędnikiem czy oficerem więziennym i potrafi uprosić jakąś ulgę albo świadczenie. Oblegała też prośbami dyżurującego oficera przy każdym wieczornem sprawdzaniu więźniów. Nie umiała ani słowa po rosyjsku, więc początkowo pomagałam jej, ale potem doszłam do wniosku, że jest to dla niej tylko rodzaj rozrywki, że nie ma żadnej konkretnej sprawy i chodzi jej tylko o zwrócenie na siebie uwagi.

Zauważyłyśmy przytem, że nie jest względem nas lojalna w tem specyficznem więziennem znaczeniu, pomimo że naprawdę wiele nam zawdzięczała. Pewnego wieczora wybuchnął skandal. Podczas sprawdzania nas uczepliła się, jak to często bywało, oficera, nawołując go „Herr Pomoschnik“, dygając przed nim, śmiejąc się z tego, że jej nie rozumie i t. p. Dnia tego dyżurował szczególny drań, Polak z pochodzenia, nazwiskiem Czerniawski. Podobał mu się ten flirt bez słów i bardzo miłościwie starał się dociekać, o co jej chodzi. Wziął jakieś podanie, których gryzmołała na fantastyczne tematy bez końca, wiercił w rękę i usiłował się z nią porozumieć. Ja i Klara, ażeby się jak najbardziej odseparować od całej tej sceny, stałyśmy na uboczu, a gdy się to przedłużało, zaczęłyśmy się przechadzać. Wtem krzyknął ze złością; „Stać! Tu nie spacer!“ (eto wam nie bulwar!) Zdebiałam z wrażenia, bo naogół pomocnicy naczelnika nie szukali w tych latach konfliktu z politycznymi, tembardziej bez żadnego powodu. Klara natomiast znalazła się natychmiast i odrzuciła mu: „Nie jesteśmy obowiązane do wysłuchiawania pańskich rozmów i nie chcemy mieć z tem nic wspólnego!“ Czerniawski pienił się ze złości i wrzasnął: „Ja was nauczę interesować się mojemi rozmowami!“ wybiegł z pokoju, asysta za nim. Zauważyłyśmy, że Niemka przyskoczyła do starszego dozorca, prosząc go o coś na migi. Klarze wydało się, że pokazuje na

dłoni jakieś pisanie... Domyśliliśmy się odrazu, że chce nas zdradzić.

Rzeczywiście za chwilę zabrano ją od nas ze wszystkimi rzeczami do innej celi.

Nie byłyśmy całkiem spokojne, bo poprzedniego wieczora napisałyśmy list (w sprawie Polianina do towarzyszy z Kijowa) i Klara zaszyła chustkę, pokrytą literami, do podszewki swego żakietu, zamierzając oddać go siostrze przy widzeniu. Niemka mogła widzieć jak pisałyśmy ten list, jakkolwiek, nie mając do niej żadnego zaufania, robiłyśmy to po jej położeniu się do snu. W każdym razie nie widziała, gdzie ten list jest schowany, bo Klara uskuteczniła zaszywanie późno w nocy, kiedy tamta napewno już spała. Na korytarzu szpitalnym, po zamknięciu na noc całego szpitalnego budynku, pozostawiano tylko jedną dozorczynię, dyżurującą przy liczniejszych celach z kryminalnemi.

Kiedy zostałyśmy same w pokoju po awanturze, rozważyłyśmy wszelkie możliwości i konsekwencje tej zdrady: list musiał być jednak wyprawiony, Klara wypruła go i wszyła jeszcze głębiej; nie powinni byli go znaleźć. Podejrzewałyśmy rewizję, ale było cicho i poszłyśmy spokojnie spać.

Zrana o 6-ej obudziło nas gwałtowne rozwarcie drzwi i wrzask: „rewizja! stać w miejscu!“ Wpadła cała gromada osób, dwie dozorczyne, trzech dozorców. Wskoczyłyśmy z łóżek w koszulach tylko — protestowałyśmy więc przeciw obecności dozorców w pokoju. Dozorecy wyszli, a dozorczyne, rozczzerwienione, rozjątrzone niewiadomo czem — nie wypuszczały nas z rąk, trzymając każdą przy łóżku, z którego się zerwała. Po jakiego licha obstawili taką pompą tę rewizję — nie mogę i dziś zrozumieć. Chyba Czerniawskiemu, Polakowi-renegatowi i reakcjonście zależało na skorzystaniu z okazji zrobienia przykrości politycznym.

Rewizja osób w koszulach nie trwała ponad ułamek sekundy, ale wtedy zaszła rzecz całkiem niespodziewana. „Siadajcie, — otwórzcie nogi, — pokażcie się we środku!“ skomenderowała jedna z dozorczyń. Oburzyłyśmy się: nic podobnego nigdy nas jeszcze nie spotkało! Zrozumiałam, że istotnie Niemka doniosła o naszym liście i że dozorczyńom kazano szukać tego listu we wszystkich, zdawałoby się nieprawdopodobnych skrytkach, jak to się zdarzało niekiedy u kryminalnych. Dozorczyńie zresztą raczej formalnie chciały ten obowiązek lustracji wykonać... Bądź co bądź, forma była brutalna, a szczególnie brutalny był tupet, z jakim zabierały się do tej rewizji, zwalczając nasz opór oświadczeniem, że zawołają tu mężczyzn. Klara była w czwartym czy piątym miesiącu ciąży, biedaczka trzęsła się i kuliła ze zdenerwowania, poprostu — szczękała zębami. Oczywiście, gdybyśmy nawet uciekły się do takiej skrytki, dozorczyńie nie potrafiłyby nic znaleźć przy powierzchownem oglądaniu. Po skończonej rewizji osobistej ubrałyśmy się i weszli dozorczy dla zrewidowania całej sali. Żakiet z zaszytym listem wisiał spokojnie na wieszaku, a wskutek tego nikt się nim nie zainteresował. Potem przy najbliższem widzeniu z siostrą Klara oddała jej żakiet, proponując odświeżyć go, przerobić i nosić. Tak list bez przeszkód powędrował na wolność.

Z powodu rewizji Baranow zrobił awanturę pomocnikowi Czerniawskiemu. Oczywiście, nie o nas chodziło i nie o nasze przejścia, a o t. zw. „prestizowe“ sprawy: podobno bez doktora nie wolno było zarządzać rewizji wśród chorych. W parę godzin po rewizji, wbiegła do nas rozindyczona felczerka, wpytując, czy u nas coś znaleźli. Z niemałym zadowoleniem powiedziałyśmy, że absolutnie nic! Od niej dowiedziałyśmy się, że Baranow zgłosił naczelnikowi więzienia swoje pretensje. Zażądałyśmy doktora Baranowa do siebie, bo Klara chcia-

ła mu powiedzieć, na co naraził nas, wprowadzając tu swoją Niemkę. Rzeczywiście, wyglądał mocno skonfundowany, kiedy nas wysłuchał; więc widocznie miał powody do obawy, skoro już raz zaczęła sypać...

Z wyższą administracją więzienną starcia nie były rzadkie, pomimo że starałyśmy się ich unikać. Pamiętam, że w drugim roku więzienia podobne starcie miałyśmy z jednym z pomocników, któremu się podobało zaczepić nas podczas naszego spaceru w podwórzu szpitalnem. Siedziałam wtedy z dwoma młodemi dziewczynami z kijowskiej socjal-demokracji. Spacerując, rozmawiałyśmy między sobą i nie zauważyłyśmy, że na ganek przed szpitalem wszedł jeden z młodych pomocników, który głośno wyraził swój sąd o nas, o ile pamiętam — pochlebny w poza-więziennem rozumieniu rzeczy. Ale nasze więzienne przewrażliwienie na punkcie naszej godności, nasze usiłowania odgrodzenia się nieprzeniknionym dystansem od męskiej administracji więziennej sięgały tak daleko, że tego było dość, ażeby już jedna z nas, Serafima Szrajber, zaprotestowała: „Prosimy się wstrzymać od uwag pod naszym adresem!“ (Co do mnie, nie miałam daru błyskawicznego orjentowania się w takiej sytuacji: Szrajber twierdziła, że ton słów pomocnika był niedopuszczalnie poufały).

Kiedy teraz wspominam to zajście, zdaje mi się, że zachowania tego pana nie można byłoby zakwalifikować jako szczególnie złe: odparł, że nam nie przeszkadza, że będzie w dalszym ciągu tu stać; że przecież — nic złego nam nie życzy. Zdecydowałyśmy wobec tego przerwać spacer i wrócić do pokoju, gdyż wydawało się nam poniżające spacerować pod taką ostentacyjną i specyficzną obserwacją. Ale tu już pomocnikowi zabrakło taktu i sprzeciwił się naszemu powrotowi do

domu. Oczywiście, przerwałyśmy spacer, pomimo że dozorcyni, bojąc się gniewu pomocnika, odmawiała nam otwarcia pokoju.

Pomocnik kazał sprowadzić nas do kantoru do starszego pomocnika, a ten — po wysłuchaniu kolegi, kazał nam go przeprosić. Ludzie wolni nie potrafią zrozumieć takich konfliktów, a przecie w warunkach więziennych mogą przybierać zupełnie poważne rozmiary. Pomocnik z niesłychanym oburzeniem perswadował, że chyba nie może być obrazą pochlebne odezwanie się o nas, że jesteśmy miłe, wesołe, pogodne, czy coś w tym rodzaju; — że „polityczne“ naprawdę prowokacyjnie — źle odnoszą się do władz więziennych; że musimy przyznać się do winy i przeprosić. My zaś — uważaliśmy takie traktowanie rzeczy za niedopuszczalne. Nie zwracając się do zainteresowanego, klarowałyśmy starszemu pomocnikowi, że zachowujemy niezmienną poprawność w stosunku do administracji więziennej, ale wykluczone jest, żebyśmy mogły tolerować choćby najmniejszą poufałość. Starszy pomocnik, arbiter w tym wypadku, czuł się bardzo zakłopotany i kiedyśmy stanowczo odmówiły przeprosin, zwrócił się do kolegi ze słowami: „Wie pan, to w nich jakby punkt honoru, żeby je traktowano jak meble, nie jak kobiety; dlatego obrażają się!“... Uważaliśmy to za tak inteligentną syntezę, że nie mogliśmy się powstrzymać od uśmiechu. Temniemniej — „prestiz“ tego wymagał, żeby nas ukarano: pozbawiono nas na dwa tygodnie prawa pisania listów za niegrzeczność w stosunku do pomocnika.

Ostrożność nasza w stosunku do męskiej administracji dosięgała istotnie szczytów. Był jeden pomocnik, który odwiedził mnie, kiedy siedziałam sama w szpitalu i z miejsca zaproponował, że będzie mi załatwiał korespondencję i stosun-

ki z wolnymi ludźmi. Sposób, w jaki postawił tę propozycję, był niesłychanie odważny i naprawdę mógł zaimponować, gdyż odprawił dozorczynię, zamknął za sobą drzwi pokoju, poprosił mnie o pozwolenie, gdy chciał usiąść i dłuższy czas wykladał mi swoją propozycję. (Normalnie pomocnicy pozostawali w otwartych drzwiach i wszyscy bali się szpiegowania dozorczyń).

Jednakże — pomimo tej niezwyklej odwagi — człowiek ten nie budził we mnie zaufania, bo przesładowała mnie myśl, że ma on jakieś inne cele na względzie. Była to bardzo niemiła sytuacja: byłam związaną z tym człowiekiem propozycją, jaką mi uczynił; nie miałam odwagi jej wykorzystać; nie mogłam też zabronić mu wstępować do pokoju i ponawiać tej propozycji. Pamiętam, że oficer ten nazywał się Pieczyński, był Ukraińcem i przed więzieniem był w wojsku oficerem. Wydawało mi się, że musiał z wojska wylecieć za kradzież albo jakiś inny niehonorowy czyn, gdyż służba w więzieniu w Rosji bynajmniej nie należała do dobrze widzianych: w towarzystwie oficerów — żandarmi i więziennicy zazwyczaj nie bywali przyjmowani. Człowiek ten miał przytem wygląd dziwnie nie budzący zaufania: twarz niesympatyczną i chorą, maniery przesadne... Okazało się w końcu, że człowiek ten naprawdę miał w stosunku do nas najlepsze i całkiem bezinteresowne intencje, gdyż ponowił swą propozycję, kiedy byłam już w celi nie sama i proponował konkretną drogę i sposób porozumiewania się. Był rzeczywiście bardzo odważny: poprostu nie sobie z tego więzienia nie robił.

Wśród dozorczyń były rozmaite typy. Jedną, przez długie lata starszą dozorczynią żeńskiego więzienia, Barinową, była to wybitna indywidualność. Rudowłosa, o twarzy wręcz szpetnej, miała rzadki czar uśmiechu i błysku oczu. Posiadała

przytem cechy, wzajemnie się na pozór wykluczające: pewną szlachetność i okrucieństwo; jednocześnie — pewną prawość i podstępność. Miała nieposkromiony temperament erotyczny i przechodziła ze wszystkimi mężczyznami z administracji więziennej romantyczne historje. Piła przytem nie gorzej niż mężczyźni. Czasem, kiedy się jej noc udawała, potrafiła godzić się na różne ulgi, okazywać dużo wyrozumiałości i nawet, jak wspomniałam, szlachetności. Ale bywała istną plagą całego więzienia, jak sędzę po nocach, smętnie przepijaczonych lub erotycznie nieudanych. Wtedy okazywała wszystkim swój piekielny humor. Została zdegradowana, kiedy wyszło na jaw, że jeden z pracujących w warsztacie kryminalnych katorżan urządził sobie poprostu cały harem i przyprawił jedną z katorżanek o ciążę. Starsza dozorczyńni i kilku dozorców było wmieszanych do tej sprawy, gdyż pomysłowy ten więzień doskonale zarabiał, stawiał im ciągle wódkę i t. p.

Po zdegradowaniu Barinowej do stanowiska odźwiernej mianowano starszą dozorczynią jedną z młodziutkich kobiet (w dodatku — śliczną kobietę) mężatkę. Podobno zaprotegował ją któryś z pomocników, utrzymujący z nią bliższe stosunki. Nie wiem zresztą, czy to prawda, bo bardzo niedawno była w służbie więziennej i przed mianowaniem robiła wrażenie nad wyraz skromnej, nieśmiałej i nawet wstydlivej mieszczańeczki. Opowiadała nam chętnie o swej rodzinie, młodym mężu, starej matce i zdawało się, że kochała to swoje „zaczisze“ domowe. Ale naprawdę przerażające było, jak prędko, z błyskawiczną szybkością, zdemoralizowała ją atmosfera więzienna. Zaczęła hulać z oficerami, zaczęła pić, często przychodziła, ledwie się trzymając na nogach, z migreną, której pochodzenia nie kryła. Ale wszystko to uchodziło jej, gdyż była bardzo ładna, i niezmiernie pociągającej urody. Kilka śród dozorczyń oddawało nam sporadycznie pewne usłu-

gi, oczywiście — nie bezinteresownie. Znałam w ciągu całego czasu tylko jedną, która wyносиła nasze listy ze współczucia i sympatji do nas, do idei, jakie reprezentowałyśmy...

III. TYPY KOBIECE Z ZA KRATY

W ciągu paru lat, które spędziłam w więzieniach rosyjskich carskich czasów, przewinęło się przedemną sporo rozmaitych typów kobiecych. Oczywiście, możnaby przeprowadzić między temi typami podział podług klucza psychologicznego, narodowościowego, partyjnego i t. d. W moich wspomnieniach jednak dzielą się one inaczej, podług klucza więziennego: na „polityczne“ i „kryminalne“.

Dwa te światy zachowują w więzieniu całkowitą odrębność. Odrębność ta była nietylko formalna, gdyż więźniom politycznym przysługiwały odrębne prawa i korzystali oni z pewnych przywilejów (niestety w Polsce to już należy do przeszłości, gdyż zrównano dziś politycznych, ideowych więźniów z kryminalnymi: posunięcie, z którym się nigdy nie pogodzi, którego nie może niczem usprawiedliwić człowiek, żywo pamiętający jeszcze siebie w skórze więźnia politycznego). Poza formalną — była jeszcze (i jest! bo tej nikt nie skasuje!) głęboka odrębność pobudek czynów, całego nastawienia psychiki, nastrojów, poziomu intelektualnego i etycznego.

Niewątpliwie, pomiędzy temi dwoma światami istniał pewien łącznik: to solidarność wszystkich uwięzionych, to wspólna nienawiść do przemocy, wspólna tęsknota za wolnością.

Większość wspomnień moich odnosi się do więzienia kijowskiego, t. zw. Łukianowki, z lat 1913 — 1915; więzienia żeńskiego, nowocześnie zbudowanego (podobno podług wzorów niemieckich) przystosowanego do odbywania w niem

ciężkich kar. W więzieniu tem siedziałam dwa lata jednym ciągiem. Z kijowskimi więc murami są związane przeważnie wspomnienia o różnych kobiecych postaciach, tam spotykanych. Świat kryminalnych — liczniejszy o wiele, świat, w stosunku do którego czułyśmy się niekiedy bardzo uprzywilejowane, ten świat zawierał w sobie bardzo wiele pięknych i ciekawych typów kobiecych.

Izolowane w celach pojedynczych, miałyśmy bliższe zetknięcie z kryminalnemi tylko w czasie przebywania w szpitalu więziennym, gdzie kryminalne obsługiwały chorych; pozatem po wyroku, skazane już katorżanki polityczne odbywały niejednokrotnie więzienie we wspólnych celach z kryminalnemi katorżankami. Siedziałam w szpitalu w ciągu wielu miesięcy i tam obcowałam wiele z kobietami z tego innego świata. W szpitalu były dwie służące, które myły podłogę w pokojach, przynosiły jedzenie: dwa całkiem odmienne typy kobiece.

Jedna z nich, bardzo młoda, nieładna dziewczyna, Aniuta, odbywała katorgę za udział w zabójstwie ojca. Sądzę, że nie brała w tem zabójstwie udziału, względnie, że nie mógł to być udział świadomy. Ojciec jej, stary chłop gdzieś w Rosji środkowej, został zamordowany przez własną rodzinę — synów, zięcia, synowe; Aniuta podała mi lakonicznie powód zabójstwa: był bardzo niedobry dla nich. Podobno na sprawie zięć i synowie, chcąc sobie ulżyć, zwalili wszystko na nią: dostała dziesięć lat katorgi, „mało“ — bo była jeszcze niedoroślą.

Była to dziewczyna cicha, o bladej twarzy, zalęknionych oczach. Miała charakterystyczny ruch kureczenia ramion do wewnątrz, gdy wchodziła do pokoju: pozdrawiała nas zcicha i stawała, przyglądając się z podełba temu, cośmy robiły. Dziewczyna ta miała nadzwyczajny pęd do nauki, którego

w dzieciństwie nie udało jej się wcale zaspokoić; korzystała z każdej wolnej chwili i sposobności; w więzieniu nauczyła się bardzo porządnie czytać i pisać. Zachowanie jej w więzieniu było spokojne i ciche, nie wysuwała nigdy żadnych żądań, ani pretensyj, poprostu nie zajmowała żadnego miejsca: z tego tytułu miano jej skrócić karę (odsiedziała już wówczas cztery lata). Była w niej wielka łagodność, nierzadka zresztą u kobiet rosyjskich, a nadto jakaś wielka wewnętrzna cisza. Aniuta marzyła o tem, że po odbyciu kary, gdy już wyjedzie na osiedle na Syberję, sprowadzi do siebie małego braciszka — jedyne, co pozostało z wielkiej, rozgromionej rodziny. Życie przyszło, na wolności, wyobrażała sobie zawsze jako ciężką pracę, która jej się wydawała szczęśliwą i pożądaną, bo „nikt już nie będzie stał nademną, nad moją duszą“ — tak mówiła.

Drugą służącą szpitalną w okresie mego tam pobytu była Gruzinka imieniem Fatma, młoda również, ale znacznie starsza od Aniuty, kobieta, mężatka. Ta miała również wiele lat katorgi za zabójstwo męża, dokonane wspólnie z kochankiem. Przyznawała się całkowicie do tego czynu. Była jedną z kilku żon starego, bogatego męża, kupca, mahometanina z Turkiestanu. Fatma była ładna: specjiło ją tylko, że miała jedną nogę krótszą i utykała. Natomiast miała śliczne, olbrzymie, czarne oczy, uroczy uśmiech, piękne czarne włosy, śniadą cerę i dużo wdzięku. Bardzo rzadko zdarzało się, że była zła i tylko wtedy bywała smutna: oczy jej wtedy miały poprostu snopy złych płomieni. Temperament musiała mieć nieposkromiony: kiedy bywała zła, potrafiła nawet grubjańsko odpowiedzieć nadzorczyńni (której władza nad nią, de facto, była przecie nieograniczona), cisnąć naczyniem, kluczami. O mężu swym mawiała, że gdyby żył, musiałaby go drugi raz wyprawić na tamten świat.

Urok osobisty tej kobiety był tak wielki, że wcale nie można się było dziwić kochankowi, który najwidoczniej uległ jej prośbom, mordując męża: próbki tego uroku widziałyśmy w tem, że kaprysy jej i wybuchy złości znosiła cierpliwie straż więzienna, że uchodziło jej wszystko: różne wybryki, których setna część nie uszłaby innym. Fatma nie rezygnowała jeszcze z życia; obiecywała sobie po odbyciu katorgi urządzić je nienajgorzej. Była to kobieta typu dzikiego a uroczonego zwierzątka, kobieta, której egzystencja z zasady opiera się o wyzysk innych.

Tak więc i przyjaźń między temi dwiema kobietami — przyjaźń trwała i wierna — polegała na bezwzględnem, ślepem oddaniu ze strony Aniuty, — drapieżnej i kapryśnej kokieteryj ze strony Fatmy. Teraz, kiedy wspominam te rzeczy po wielu latach, rozumiem, że Fatma wyzyskiwała oddanie Aniuty i utrzymywała ją w stałem naprężeniu przyjaźni, korzystając dla tego celu i z takich środków, jak spanie w jednym łóżku.

Wśród przestępczyń kryminalnych spotkałam jedną starą kobietę, której dzieje sprawiły na mnie niesłabnące wrażenie. Miała wówczas, w więzieniu lat 65 i odbywała już od lat kilku karę dożywotniego ciężkiego więzienia za zabójstwo męża, starszego jeszcze od niej człowieka. Była to rodzina chłopska, z północnych gubernij Rosji. Staruszka ta była istotą o słodyczy i dobroci poprostu niepospolitej, kochana przez wszystkie współtowarzyszki niedoli, szanowana przez polityczne, — dobry, doskonały człowiek. Wyszła zamaż w wieku lat dwudziestu i po czterdziestu latach pożycia, mając już wnuków, zabiła swego męża siekierą, w pełnej świadomości czynu. Sama opowiadała mi o swej sprawie, z ogromną prostotą i prawdziwością.

Opowiadanie jej wraz z jej duchową sylwetą wraziły we

runie na zawsze świadomość o bezużyteczności więzienia i wogóle kary w takich wypadkach. Mąż jej bowiem katował ją wytrwale, niezmiennie i nieustępliwie przez lat czterdzieści. „Taki miał charakter“ — tłumaczyła mi — „nie od Boga“! Katował ją, bił, wystawiał nago na mróz, kiedy była w ciąży, kiedy karmiła — bez różnicy. Miał z nią ośmioro dzieci. Opowiadała mi takie szczegóły swej męczarni, że naprawdę jedynem pytaniem, jakie mogłam wówczas jej zadać — było to, jak mogła tak długo to znosić? Odpowiedziała mi tak: „Znosiłam póki mogłam. Czterdzieści lat. Nie było przez cały czas jednego takiego miesiąca, żeby był ze mną ludzki. W końcu — cierpliwości mojej zbrakło... Podchmielił sobie i zdrzemnął się, siedząc. Wtedy go uderzyłam siekierą po głowie, raz i drugi, trzeci. Nie umiałam już dłużej tego znosić“.

Kobieta ta umarła za mego pobytu w więzieniu. Przed śmiercią starała się każdej z towarzyszek swych z celi sprawić jakąś przyjemność, lub usługę. Krótkoterminowym wskazała adresy krewnych swych w różnych miejscach, z którymi może los ich sprowadzi: niektórzy byli jej winni pieniądze, można to sobie odebrać. Powskazywała, jak odszukać jej dzieci, rozrzucone po różnych miastach i miejscowościach. Mówiła z nadzwyczajną skromnością: „O mnie tam nie ma co im powiadać... dzieci były dla mnie dobre... nieraz ukryły mnie...“; prosiła im zanieść jej matczyne błogosławieństwo. Gdy odeszła, jej najmłodsza córka miała dopiero 10 lat. „Tej“ — mówiła — „może nie wiadomo, dlaczego tak robiłam, bo była mała... Może jej ludzie gdzie nieprawdę powiadali... To, proszę, powiedzcie jej, że matka nie mogła dłużej już cierpieć, że od wielkiej męki za topór brała, — żeby się uwolnić...“ i dodała: „O, dużo łagodniej, łaskawiej w więzieniu, niż w życiu z nim...“

Jeszcze jedną kobietę z tego świata pamiętam doskonale,

była to również katorżanka; ta jednocześnie ze mną, w jednej partji, wyszła z katorgi na wieczne osiedlenie w Syberji.

Odbywałyśmy wiosną 1915 roku razem z nią „etap“, t. j. drogę etapem z Kijowa na Syberję; przeżyłam z nią razem bardzo ciężkie chwile więzienne w t. zw. „pieresylkach“ (więzieniach, leżących na naszej trasie, w których musiałyśmy się zatrzymywać). Pamiętam jej imię i nazwisko: nazywała się Tatjana Lialina. Pochodziła również ze wsi; przyszła do więzienia tak młodo jak Aniuta, została skazana za udział w jakimś napadzie rabunkowym. Był to również człowiek szlachetny, mocny i koleżeński. Odbywałam etap z kilkoma kobietami razem, ale tak się złożyło, że nie jechała ze mną żadna z politycznych, zsyłanych na wieczne osiedlenie i pozbawionych praw, tylko kilka administracyjnie zesłanych na Syberję, na parę lat: te podróżowały we własnem ubraniu i na zesłaniu przysługiwało im utrzymanie ze strony rządu: 7—8 rubli miesięcznie. Tylko ja i Lialina jechałyśmy w areszantskich strojach, jako pozbawione praw. Rzecz rzadka, że ta „bandytka“ była mi w drodze we wszystkich przejściach bliższa niż tamte: miałam w niej większe oparcie, lepsze, bardziej „murowane“ koleżeństwo. Kiedy tamte miały w swem zachowaniu dużo niepoważnej i niewłaściwej w tych warunkach „panienkowatości“, Lialina dotrzymywała mi najzupełniej towarzystwa w trudnej sprawie obrony swej godności ludzkiej w areszantskim stroju, w warunkach etapu, przy rozmaitych żołnierskich konwojach.

Oczywiście, ułatwić jej sprawę mogła mniej skomplikowana psychika, zdrowe nerwy, tężyzna fizyczna — znacznie większa — pomimo lat katorgi. Lialina przywiązała się do mnie bardzo mocno, bo ceniłam w niej dobre ludzkie cechy charakteru i traktowałam ją zupełnie po koleżeńsku. Miałam sposobność stwierdzić, że istotnie miała dużo odwagi i zdol-

ność do poświęceń, tak charakterystyczną wogóle dla kobiet rosyjskich. Towarzyszył mi w tej drodze na Syberję pierwszy mój mąż ¹⁾, towarzyszył z wolnej stopy, jadąc tym samym, lub gdy się to nie dało — następnym pociągami, wyczekując na nas po różnych miastach, w których zatrzymywaliśmy się.

W syberyjskiej części naszej trasy mój mąż uzyskał parę razy wpuszczenie do naszego wagonu, tak iż mogliśmy rozmawiać bez żadnego skrepowania. Naturalnie, żołnierze i starsi żołnierze konwoju dostawali przytem od niego pieniądze, — „na wódkę“, „na papierosy“, jak to określali, ale te pieniądze (rubel, półtora) były całkiem niewspółmierne z ryzykiem, na jakie się narażali. Pewnego wieczora uzyskaliśmy właśnie taką wizytę mego męża. Robiło się to w godzinie dość późnej, po dokonaniem sprawdzenia nas, aresztantów, przez oficerów i starszyznę konwoju. Zazwyczaj po tej „powierce“ już można było liczyć na spokój. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy w przedziale na ławce, a koło drzwi stała moja wierna Lialina na warcie; dalej nieco — nasz sprzymierzeniec żołnierz. Bez popłochu, z istic rosyjską determinacją w obliczu katastrofy, podano nam przez tę wartę wiadomość, że idzie nagle „powierka“ ze wszystkimi oficerami. Żołnierz, który był najbliżej nas, powiedział nam tylko: „uciekać niema jak“. Ale Lialina nie straciła ani na sekundę przytomności. Kazała memu mężowi usiąść przy oknie, w rogu na ławie, możliwie się zniżyć i wyciągnąć nogi pod drugą ławę. Wszystko to zdawało się nam obu beznadziejne, gdyż był to człowiek bardzo wysokiego wzrostu. Lialina błyskawicznie zarzuciła go naszymi kocami, poduszką, „buszłatem“ (grube i długie palto aresztanckie), ugrupowała w mig te rzeczy tak, jakgdybyśmy się właśnie sposobili się do siania sobie ławek i spania... „Stańcie tu“ sko-

1) Józef Grabianka, umarł na tyfus plamisty w Krakowie l.XI. 1919 r.

menderowała mi, usuwając mnie, „ja go lepiej zasłonę, bo jestem większa. — Rozpuśćmy włosy i czesmy się: tak będzie najlepiej“.

Rzeczywiście, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wszystko się udało. „Powierka“ zatrzymała się nawet specjalnie przy nas i oficerowie uśmiechając się, zamienili parę słów na nasz temat między sobą. Co dziwniejsze, że nie obudziły ich czujności nawet nasze, bardzo wyraźnie kreowane uśmiechy: stosunki pomiędzy oficerami więzień i konwojów a kobietami politycznymi bywały zawsze tak naprężone², nasza postawa wobec cienia załotów z ich strony bywała z reguły tak odpychająca, że cała ta „demonstracja włosów i uśmiechów“ powinna by naprawdę ich zastanowić. Pamiętam doskonale, że jeden z oficerów powiedział do nas bardzo życzliwie: „no, przeszkodziłiśmy...“, a Lialina odparła z wdzięcznym uśmiechem: „w rzeczy samej...“

Kiedy odeszli i przeszło dość czasu, ażeby mieć pewność, że istotnie nic nie zauważyli i już nie wrócą, — dostrzegłyśmy, że widać było nieokryte nogi pod drugą ławą, że spiętrzone tak wysoko rzeczy czyniły wrażenie wręcz nienaturalne...

Lialina tedy była bohaterką tego dnia: zeszli się do nas żołnierze, — towarzysze, — przeżyliśmy przecież wszyscy naprawdę chwilę wielkiego naprężenia: ostatecznie nam, aresztantom, groziło niewiele, zakutoby nas na pewien czas w ręczne kajdany, z których uwolniłby nas — szczególnie kobiety — każdy nowy konwój; mąż mój mógł stracić możność posuwania się tuż za mną w podróży, — ale żołnierze, ci ryzykowali bardzo dużo. Żołnierze nabrali do nas po tem zajściu podwójnego szacunku i wypuszczając mego męża z wagonu, jeden

²) Jak to widać z poprzedniego rozdziału.

z nich dał temu wyraz w bardzo ujmującej formie: „twoje baby“, powiedział „to zuchy...“

Duża tężyzna i wielkie koleżeństwo Lialinój nieraz jeszcze w tej podróży ratowały sytuację. W Tule, w więzieniu „piesylnem“, musiałyśmy spędzić dobę w warunkach zupełnie niesamowitych. Nie mam tu na myśli niesłychanej ilości robactwa na pryzach, zupy ze zgnilizną, — to są rzeczy powszednie w takich więzieniach. Było coś gorszego: wśród przesyłanych przez Tulę, stłoczonych razem w ogromnej celi kobiet znalazła się warjatka, kobieta, przrzucana z miejsca na miejsce w związku z jakimiś okolicznościami wojny, Węgierka, nie rozumiejąca po rosyjsku ani słowa, nie mająca żadnej obrony. Kobieta ta zwarzjowała w więzieniu. Wypadek chciał, że zwarzjowała właśnie w tym dniu, kiedy nas przywieziono do więzienia. Oblęd jej wyrażał się w tem, że dziko krzyczała, nie ustając ani na chwilę, — porywała się do ucieczki, padała na ziemię, szarpała na sobie odzież. Dozór więzienny próbował sobie poradzić z tym oblędem najmniej skomplikowanym sposobem: biciem. Nadzorczyńni stłukła ją na rzód sama, gdy zaś to nic nie pomogło, przyprowadziła w tym celu mężczyznę — starszego dozorcę i ten ją szturchnął z własnej kasy. Wszystko to było jeszcze przed naszym przyjściem: kiedyśmy przyszły, spała wyczerpana. Obudziła się jednak po niedługim czasie, wieczorem i potem nie było już mowy o śnie dla większości osób w tej celi: cierpienia nieszczęśliwej, a w każdym razie ich zewnętrzny wyraz, były zbyt straszne. Ułożyłyśmy się — cała nasza kijowska gromada — w rodzaju alkowy przy wielkiej celi, gdyż alkowę łatwiej było wyszorować (spać wypadło tu na podłodze); żadna z nas zasnąć nie mogła, stan nerwowy był nad wyraz ciężki. Położyłam się wraz z Lialiną na pograniczu alkowy i celi: wśród nas były dziewczęta o bardzo słabej odporności nerwowej i jedna

z nich — pod wpływem tych wrażeń — zdradzała niepokojące objawy depresji psychicznej. Obląkana zaś była tej nocy wyjątkowo niespokojna i stale porywała się do ucieczki. Nad ranem udało mi się na chwilę zdrzemnąć, nie wychodząc całkowicie ze stanu świadomości. Zerwałam się potem na równe nogi, w strachu, że przespałam swoje obowiązki warty. Lianina przytrzymała mnie za rękę; siedziała koło mnie i w świetle brzasku dnia uderzył mnie spokojny, dojrzały, rozumny wyraz jej młodej twarzy. „Zasnij przecie spokojnie“, powiedziała z prostotą, przechodząc nagle na „ty“, — „ja nie zmruję oczu, wszystkiego dopilnuję, — mam dużo sił, — możecie wszystkie spokojnie zasnąć...“

Niestety, tego człowieka zgubiłam na Syberji: nie umiałyśmy sobie odnaleźć, jej adres gdzieś mi zginął. Później od kogoś wypadkowo słyszałam, że we wsi, do której była zesłana, znalazła sobie kogoś z dawniej osiedlonych kryminalnych katorżan i z nim żyła. Nie wiem, jaki był jej dalszy los.

Wszystkie te typy kryminalnych kobiet z moich więziennej wspomnień — są to katorżanki, kobiety, skazane za bardzo ciężkie przestępstwa, przeważnie za zabójstwo. Z wyjątkiem Lianinowej, której historii przestępstwa nie pamiętam, były to zabójstwa na tle ciężkich stosunków rodzinnych. Zdaje mi się, że nietylko moje osobiste obserwacje, ale wogóle obserwacje wszystkich bywalców więzień świadczyłyby o tem, że było wśród nich więcej dobrych, niż złych ludzi.

Inny materiał ludzki przedstawiały naogół kobiety, odsiadujące mniejsze kary więzienne. Może to wyglądać pozornie na paradoks, że naogół był to gorszy niż tamte materiał ludzki. A w każdym razie da się niezawodnie twierdzić, że podlegały one bardziej destrukcyjnym i złym wpływom więzienia. (Nigdy bowiem nie potrafię dopatrywać się w więzieniu czynnika wychowawczego)...

Z temi kobietami nie stykałam się bliżej. U kryminalnych katorżanek nosiły one pogardliwe miano: „szpaná“ — coś jakby złodziejarnia, hołota.

Różnorodność kobiecych typów „politycznych“, które napotkałam w więzieniu, jest bardzo wielka. Pewne usterki w pamięci, których obawiam się, gdy chcę odtworzyć to, co było w istocie — zmuszają mnie do ograniczenia się do kilku tylko wybitniejszych, bardziej charakterystycznych dla epoki, postaci.

W roku 1913 w więzieniu kijowskiem siedziało kilka wybitnych kobiet. „Najsławniejszą“ w opinji więzienia była Ewa Falkner, socjal-rewolucjonistka, odbywająca 4 lata katorgi. Dosiadywała wówczas już końca swej kary, gdyż skazano ją gdzieś przy końcu 1909 roku; oczekiwało ją więc niedługo wysłanie na osiedlenie. Osoba ta tak frapowała wyobraźnię administracji więziennej, przyzwyczajonej przecież do rozmaitości, że każda nowoprzyprowadzona do Łukjanówki „polityczna“ dowiadywała się niebawem od dozorczyń, gdzie siedzi i jak się zachowuje Ewa Falkner.

Ewa Falkner przebyła już w Łukjanówce półtora roku, przedtem była w kilku więzieniach, poczynając od odeskiego (pochodziła z Odesy): „łamano“ ją bowiem kolejno w każdym z więzień, jak mówiły dozorczyńie, ale w każdym — bezskutecznie! Był to istotnie żelazny człowiek. Od pierwszego dnia w więzieniu nie wstawiała „na powierkę“, t. j. demonstracyjnie siedziała, gdy wchodziła do celi starszyna więzienna dla sprawdzenia więźniów, rano i wieczorem. Tak było w innych więzieniach, tak było i w kijowskiem. A nie była to bynajmniej rzecz łatwa do przeprowadzenia, ani rzecz, którąby w jakiegokolwiek bądź mierze tolerowała władza więzienna. Karano Falkner wszelkimi możliwymi sposobami; w gruncie rzeczy nie wychodziła ona ze stanu kary. Karano dotkliwie, więc: karcer,

ciemny karcer,—pozbawienie prawa widzeń z rodziną, prawa korespondencji, otrzymywania od rodziny żywności, prawa sprowadzania sobie żywności za własne pieniądze; prawa brania z biblioteki więziennej książek. W stosunku do Ewy po paru miesiącach wszystkie kary i wszelkie warjanty tych kar były już wyczerpane.

Kiedy ją poznałam, zaniechano w stosunku do niej karceru, władze nadzorcze z zewnątrz, np. prokurator, zaczynały się już tem interesować, spotykając stale jedną i tą samą osobę w tem miejscu. Stosowano więc do niej t. zw. „karcernoje położenie“ w jej celi, t. j. pozbawiano ją w celi książek, korespondencji, widzeń, żywności z zewnątrz, wreszcie — w okresie zaostrożnych starć — łóżka: musiała wtedy sypiać na kamiennej podłodze. Walka, którą, prowadziła, była walką w pojedynkę: między latami 1909 a 1911 było jeszcze wielu skazanych więźniów politycznych — katorżan, stosujących tę metodę sprzeciwu i wyodrębnienia od więźniów kryminalnych, ale w tych późnych latach 1913, 1914 cała ta akcja była już złamana; wstawano powszechnie; odrębność nasza po pozbawieniu praw i przebraniu polegała jeszcze na tem, żeśmy nie odpowiadali idjotyzmem: „zdrawja żelaju wasze błagorodje!“ na powierce. Sens moralny i społeczny walki Falkner był jednak bardzo wielki: organizacje rewolucyjne, a szczególnie eserowska, znajdowały się w tych latach w tak wątpliwym stanie, że taki pojedynczy nawet przykład tężyzny moralnej i energii rewolucyjnej promieniował szeroko poza więzienie, oddziaływał psychicznie nawet na wolnych ludzi.

Ewa Falkner zresztą stawiała rzecz bardzo skromnie, mówiła, że przeprowadza ten protest nie dla celów ogólnych, a wyłącznie dla własnej satysfakcji moralnej. Poczowała się moralnie do solidarności z Jegorem Sazonowym, który niejako

rozpoczął, sygnalizował w katordze walkę z represjami w stosunku do politycznych skazańców, walkę z poniewieraniem godności politycznych w więzieniu, — sygnalizował, jak wiadomo, sposobem przecięcia sobie żył w katordze i śmiercią.

O ile dobrze pamiętam, to w kijowskim więzieniu do Falkner przyłączyła się w tej akcji Janka Peretjatkowiczówna, polka z P. P. S., która miała sprawę administracyjną i miała względnie krótką siostrę w Łukjanówce. Sytuacja jej w tej akcji była łatwiejszą niż Ewy, gdyż Janka miała wszystkie prawa, własny strój, perspektywę zesłania tylko w drodze administracyjnej. Była to, nawiasem mówiąc, śliczna, młoda sylwetka młodej rewolucjonistki — Polki. Wiem, że Ewa Falkner przywiązywała dużą wagę do tego podtrzymania i z wielkiem zadowoleniem o tem mi wspominała.

Zetknęłam się bowiem z Ewą Falkner w szpitalu, dokąd ją wreszcie przydzielili w zimie w r. 1915: ja siedziałam w szpitalu kilka miesięcy z powodu zagrożenia gruźlicą lewego płuca. Poczytywałam sobie wtedy i obecnie poczytuję za wielki zaszczyt, że poznałam zbliska tę wyjątkowo dzielną kobietę. Była już wówczas nie młoda, szczególnie jak na przedwojenne pojęcia: miała około czterdziestu lat. Małeńka, szczupła, z żywymi oczami i częstym uśmiechem o przedziwnej finezji, zachowała dużo młodości. Była żydówką, córką lekarza z Odesy, skończyła uniwersytet gdzieś zagranicą: przyrodę. Miała wykształcenie bardzo rozległe, niezwykle żywy umysł. Traktowała mnie trochę jak dziecko — z powodu wielkiej różnicy wieku,—ale nie było w tym stosunku żadnej pobłażliwości, zawsze przykrej, a tylko dobrotliwość, charakterystyczna u tego tak ostrego i twardego człowieka: miała dużo ciepłego uczucia dla rewolucyjnej „rodziny“, niewyzyskanego zresztą w innym kierunku (była to kobieta niezamężna i bezdzietna). Miała i małe dziwactwa, jakże uspra-

wiedliwione. Np. w szpitalu jej akcja protestacyjna była już merytorycznie pozbawiona znaczenia, gdyż w szpitalu wolno nam było siedzieć, nawet leżeć w czasie powierki, gdyż byłyśmy w położeniu chorych. Pewnego razu rozmawiałyśmy obie, stojąc pod piecem i nie zauważyłyśmy zbliżenia „powierki“. Gdy nagle zabrzęczały klucze pod drzwiami pokoju, Falkner rzuciła się gorączkowo do stołka, żeby zdążyć usiąść, gdy wejda: aż dostała wypieków z pośpiechu. Kiedy wyszli, pozwoliłam sobie na uwagę, że przecie w tym wypadku to siadanie nie miało znaczenia, gdyż tu nie wymaga się od nas wstawania. Odpowiedziała mi, śmiejąc się dobrodusznie: „Nie chcę jednak, żeby mnie kiedykolwiek zobaczyli stojącą przed nimi“. Była wogóle dość uparta.

Jakby dla odmiany, wypadło mi siedzieć przez czas dłuższy w tym samym szpitalu z dwoma socjal-demokratkami z kijowskiej organizacji: siedziałam z nimi wcześniej niż z Falkner i jedna z nich wpłynęła w znacznej mierze na ukształtowanie się mego charakteru w więzieniu i na wyrobienie pewnej taktyki postępowania. Siedziałam z nimi w zimie roku 1913. Obie dostały osiedlenie z pozbawieniem praw i wyjechały na Syberję dużo wcześniej ode mnie: w początku roku 1914. Był to wielki proces kijowskiego komitetu S. D., w którym, między innymi był wybitny potem działacz komunistyczny, Piatakow. Dostali oni w tym procesie stosunkowo łagodny wyrok, wzięwszy pod uwagę, że zastosowali wyjątkowo — drażniącą taktykę — przyznania się do udziału w partji, a więc — demonstracji politycznej. Odpowiedzieli w ten sposób jeden za drugim: „do winy się nie przyznaję, a do partji miałem zaszczyt należeć“. Był to już okres różnych prądów, niepokojów, wahań i prób i stosowano wtedy naogół łagodniejsze kary.

Kobiety, które siedziały ze mną, były to Eugenja Bosz

i Anna Prigorowskaja, obie Rosjanki. Nazwiska drugiej nie spotkałam później w dziejach rewolucji, może zresztą nie brała w niej udziału, była to bowiem mniejszewiczka, zażarta wielbicielka Plechanowa. Bosz natomiast, bardzo jaskrawa bolszewiczka, odgrywała i może odgrywa jeszcze dotąd wybitną rolę w dziejach rewolucji rosyjskiej, — nazwisko jej nieraz spotykałam w prasie, w związku z wypadkami w Kijowie, gdzie mieszkała. Były to również odmienne typy ludzkie i kobiece, wręcz biegunowo do siebie niepodobne. Prigorowska była to kobieta lat około pięćdziesięciu, niezamężna; córka popa, z zawodu nauczycielka, była fanatycznie przywiązana do partji i oddanie jej tym sprawom miało dużo cech samozaparcia się i poświęcenia. Nieładna, nieśmiała, milcząca, robiła wrażenie człowieka o dużych wartościach duszy, jednak głęboko ukrytych. W pożyciu więziennem szczególnie cenną była jej subtelność i delikatność w podejściu do ludzi, — tolerancyjność i wyrozumiałość dla cudzych braków i wad.

Osobiście nieraz jej zawdzięczałam bardzo miłą i koleżeńską obronę przed zbyt wielką agresywnością Eugenji Bosz, która przy swych niepospolitych zaletach nie miała dobroci, delikatności i subtelności Prygorowskiej.

Bosz była to bardzo silna i wybitna indywidualność, miała charakter bardzo władczy, despotyczny, bardzo dużą pewność siebie, bardzo duże wyrobienie życiowe. Pochodziła z zamożnej i kulturalnej rodziny rosyjskiej. Była w separacji z mężem, ponieważ jak twierdziła, zbyt trudno było pogodzić jej czynną przynależność do pracy rewolucyjnej i jego stanowisko — właściciela wielkiej fabryki gdzieś na prowincji. Była to kobieta lat trzydziestu kilku; wyszła za mąż bardzo młodo, miała już duże córki: 17 i 14-letnie. Dziewczynki mieszkały z babką i odwiedzały stale matkę w więzieniu. Z listów do matki, które często czytywałam, wiem, że dziewczynki te by-

ły ze swej matki dumne. Obserwowałam z wielkim podziwem jak matka ta potrafiła — po dwu latach więzienia — nie ustawać w napięciu mądrej, ożywionej korespondencji z dziećmi, odpowiadać i wzywać się w najdrobniejsze szczegóły ich życia, z których się jej niezmiennie zwierzały. Wogóle Bosz była człowiekiem o niesłychanie silnej woli i niezwyklej zdolności panowania nad sobą. Była to przytem wybitna intelektualistka.

Jej w dużym stopniu zawdzięczam, że moje przydługie siedzenie w Łukjanówce przeszło bez cięższych i gwałtowniejszych konfliktów.

Spotkałam się z nią prawie w początku swego siedzenia w więzieniu kijowskiem i niewątpliwie na niej wzorowałam się, wyrabiając sobie taktykę zachowania w więzieniu. Bardzo być może, że gdyby wypadek zetknął mnie wprzód z Falkner, byłabym przyjęła jej taktykę, gdyż miałam jeszcze bardzo niewyrobowany charakter a z usposobienia i temperamentu więcej odpowiadała mi bojowość Falkner niż względna kompromisowość Bosz. Zresztą postępowanie Bosz było zawsze pełne taktu i godności, ale stała ona na tem stanowisku, że należy unikać zbędnych konfliktów i tarć z administracją więzienną, rezerwując zawsze energję i siły na jakiś konflikt, który może się okazać nieunikniony (np. jakaś głodówka solidarności).

Bosz miała zasadę „nie tracenia ani jednego dnia“ w więzieniu. Była to znakomita zasada, szczególnie dla ludzi bardzo młodych. Odrazu człowiek nastawiał się na „normalny“ tryb życia. Od rana, po śniadaniu, zabierałyśmy się do pracy umysłowej, trwającej do ośmiu godzin dziennie, przerywanej jedzeniem i dwukrotnym (w warunkach szpitalnych) spacerem. Despotyzm Bosz przejawiał się we wszystkim. Interesowała się tem, co ja studjuję. Studjowałam właśnie bardzo interesu-

jącą książkę o biologii profesora uniwersytetu odeskiego Bronisława Weryhy (Polaka, ożenionego z Rosjanką), którą mi przysłała matka. Bosz uważała to za bezsensowne: „Pocóż wam właśnie biologja? Czy nie potrzebniejsze dla was byłyby studia ekonomji społecznej? Kapitału Marksa? Wy, eserowcy, to wszystko opieracie na temperamentcie!” mówiła, wzruszając ramionami.

Kobieta ta miała bardzo interesującą, niepowszednią powierzchowność. Wysoka, o różowej cerze i młodej jeszcze twarzy, blondynka, ubierała się z angielska, miała wygląd elegancki, który szczególnie odbijał od trochę zaniębanego wyglądu Prigorowskiej. Bosz zawsze dbała o to, żeby być fizycznie i psychicznie „w dobrej formie” i jej zawdzięczałam bardzo wiele w dziedzinie tej ważnej umiejętności życiowej. Szczególnie wiele troski włożyła w to, ażeby utrzymać się w pewnej formie po przebraniu w strój aresztancki. Prigorowska natomiast często przyznawała się, że czuje się źle, że miewa okresy depresji. Bosz była człowiekiem, z którym dłuższe pożycie wspólne mogło się stać bardzo uciążliwe: sprawiał to jej despotyzm, brak tolerancji, pewna egotyczność, brak większej subtelności. Ale miała tyle zalet, jako towarzyszk walk, jako członek więziennej rewolucyjnej rodziny, że chętnie się jej wszystkie wady wybaczało.

Już w więzieniu, gdy wracała z badań, z czytania aktu oskarżenia, przy którym spotykała się z towarzyszami, zauważyłam, że muszą ją łączyć bliskie stosunki z Piatakowym. Potem, już z wolnej stopy, słyszałam, że istotnie stanowili małżeństwo. Była to prawdopodobnie para bardzo silnych ludzi i duchowo bardzo do siebie podobnych, o ile znam Piatakowa z jej opowiadań.

Potem raz, w r. 1918, zafascynowała mnie wiadomość, że Bosz została schwytna i rozstrzelana w jakiejś potyczce

z białogwardzistami. Zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie i napisałam o niej wtedy wspomnienie w prasie eserowskiej: wyobrażałam sobie dokładnie, jak mężnie musiała stanąć wobec śmierci ta dzielna, spokojna, pewna siebie kobieta.: Wiadomość ta jednak była całkiem fałszywą; słyszałam potem, że chorowała i wyjeżdżała na południe na kurację.

Trzecią wybitną kobietą polityczną, z którą zetknęło mnie kijowskie więzienie, była to Olga Taratuta, karaimka, anarchistka. Należała ona do grupy anarchistów, skazanych w Odesie za rzucenie bomb do wielkiej kawiarni Libmana w r. 1905 czy 1906: był to akt teroru, zwanego przez anarchistów „ekstytatywnym“. Przeznaczeniem tego teroru było niepokoić środowiska, obce ruchowi rewolucyjnemu: wybierano teatry w centrum miasta, jakieś bale, luksusowe lokale rozrywkowe i t. p. Uczestnicy tego Libmanowskiego aktu w części zapłacili za swój czyn śmiercią: o ile dobrze pamiętam, stracono czterech: trzech mężczyzn i kobietę. Olga Taratuta została skazana na dożywotnie więzienie, bo była wówczas w ciąży; urodziła później w więzieniu syna.

Kobieta ta przechodziła w więzieniu straszne rzeczy. Przede wszystkim — chorobę umysłową, która była skomplikowanym następstwem ciąży w niezwykłych warunkach i strasznego wstrząsu, wywołanego straceniem towarzyszy i najbliższych jej ludzi. Gdy przyszła do siebie, dziecka już przy niej nie było, oddali go rodzinie jej męża. Udało się jej uciec z więzienia odeskiego, uciec w sposób niezwykły, w przebraniu dozorczyńni z niczem niezmienną twarzą. I trzeba potem fatalności, że wsypała się powtórnie nie w swojej sprawie, tylko przy okazji jakiejś socjal-demokratycznej wyspy w Kijowie: nosiła wówczas cudze nazwisko, ale w więzieniu wkrótce poznali ją; nie mogła wprawdzie dostać więcej niż dożywocie, ale obostrzono jej w katordze rygor.

Tymczasem ta kobieta, kiedy ją poznałam, żyła wogóle tylko myślą o ucieczce. Była to prawie jej obłądana idea. Powtarzała ciągle: „ja nie mogę siedzieć, przecie grozi mi utrata rozumu...“ Dręczyła ją przytem, nagle chorobliwie wybujała, miłość do syna, którego prawie nie знаła.

Była to naprawdę czarująca kobieta, o rzadkim wdzięku i uroku osobistym, wówczas już nie młoda, ale pewno przed więzieniem jeszcze bardzo ładna. Wypadło jej przeżyć w więzieniu jeszcze jedną ciężką rzecz: oto mąż jej, również anarchista, powiadomił ją z Paryża, że prosi o rozwód, przede wszystkim o zwolnienie go moralne, — gdyż spotkał kobietę, z którąby pragnął zawrzeć małżeństwo. Taratuta zupełnie zgasła. Była to natura niesłychanie uczuciowa: bolało ją to wbrew wszelkiej logice i słuszności. „Przecież rozumiem“, mówiła, „że skoro ja mam dożywocie, on ma prawo, ma mus to rozerwać; zacząć z kim innym... Ale nie mogę spokojnie rozumować, bo to tak jest, jakby się już zgóry zgodził z tem, że ja nigdy stąd nie wyjdę...“

A przecie wyszła niedługo potem: w niecałe trzy lata. Spotkałam ją później gdzieś przy okazji jakiejś uroczystości rewolucyjnej, ale zatarło mi się w pamięci, w jakim mieście i kiedy. Wiem tylko, żeśmy się obie niezwykle ucieszyły: miałam dla niej wyjątkowy szacunek, — ona do mnie dużo sympatji. Pamiętam i to, że był przy niej ten jej wymarzony syn: wcale nie taki niepospolity jak ona, zwykły sobie, czarniawy wyrostek.

Oczywiście, galerja typów kobiet politycznych nie obfitowała naogół w typy tak jaskrawe i postacie tak wybitne, jak tu opisane. Było bardzo dużo młodzieży, o różnych rolach w ruchu rewolucyjnym, różnej wytrwałości i teżyźnie osobistej, różnym losie po wyjściu z więzienia.

Było jednak coś niepospolicie pięknego w całej rewolucyjnej więziennej rodzinie: ogromne jej uczuciowe i nastrojowe zespolenie, bardzo wielka solidarność, wzajemne wielkie oddanie. Było tak, że w potrzebie stawała się najprawdziwszą rodziną, zwartą grupą. Wyjątki były nieliczne, a często nie było niczyjej winy i w tych wyjątkach: czasem — wielka słabość fizyczna, — choroba, jakieś osobiste uczuciowe nieszczęście, które ktoś przeżywał w więzieniu, — sprawiały, że potrzebnej tężyzny zbrakło...

Uważam lata, spędzone w więzieniu, za niezapomniane wcale nietylko z powodu przykrych przeżyć, jakich się tam doznawało, ale i z powodu przeżyć pięknych, miłych, drogiech i poprostu nawet radosnych: wszystkie miały związek z uczuciem solidarności więźniów. Tak tylko mogę określić te przeżycia nasze, gdy np. niespodzianie wypuszczono kogoś z towarzyszy: dla braku poszłak, a wiedzieliśmy, że mógł dostać długie więzienie, gdyby się mu tak „nie upiekło“; gdy niespodzianie spotykaliśmy się, więźniowie polityczni, ludzie z tej samej sprawy, — w karetkie, przy widzeniach z rodziną, na spacerze; gdyśmy wygrywali poważniejszą więzienną walkę.

Bardzo wiele było zdarzeń i okoliczności, w których rozkwitały najszlachetniejsze, najbardziej rzadkie i cenne uczucia, przeżywało się niepowседневnie, niespotykane potem w normalnem życiu, wzruszenia ludzkie.

Dlatego wracam zawsze do tych wspomnień więziennych, jako do najdroższych i — wygląda to na paradoks — mogłabym żałować ludzi, którzy tych wspomnień nie mają w swem życiu...

IV. SĄD.

Na sąd czekaliśmy naprawdę dość długo. Sądzone nas w polowie listopada r. 1914, podczas gdy czworo spośród nas aresz-

towano w lipcu r. 1913, resztę — przed końcem tegoż roku. Wspomniałam już, że nasza sprawa była połączona z kilku poszczególnych spraw, ażeby osiągnąć większą pompę; może więc te usiłowania tak przedłużyły śledztwo.

Dnie sądu (rozprawa trwała dwa dni) były dla nas wielką radością z tego względu, że mogliśmy przez ten czas ze sobą obcować. Pozatem, długie siedzenie powodowało już wielką chęć zakończenia całej sprawy: wyjaśnienia, do czego mamy się przysposabiać: do katorgi, a więc — zamknięcia jeszcze na kilka lat, czy też — do zesłania, a więc — względnej — wolności. Przykrych przeżyć podczas sądu nie spodziewaliśmy się, gdyż byliśmy najzupełniej przygotowani — (przez obrońców, opinię ogólną i doświadczenia naszej partji) — do wyroku, skazującego na cztery lata katorgi.

Umknęła mi z pamięci data naszego sądu, ale zdaje mi się, że to było: 14 i 15 listopada.

Po przywiezieniu nas rankiem do sądu, rozkwaterowaliśmy się — pod strażą dwóch żołnierzy — w odrębnym, przeznaczonym dla nas pokoju w oczekiwaniu na rozprawę. Pod sądnych przywożono z reguły o parę godzin przed początkiem rozprawy dla ułatwienia ostatecznego porozumienia z obroną. Pierwszem bezsprzecznie pozytywnem i radosnem przeżyciem było otrzymanie olbrzymiej ilości wszelkiego rodzaju doskonałego jedzenia od rodzin, znajomych, przyjaciół i t. p. Ilość i jakość tak odbijała od rzeczy, jakieśmy spożywali w ciągu roku lub paru lat, że naprawdę stanowiło to przeżycie. Wygłodzeni, młodzi nasi chłopcy narzucili się na pieczone kury, pasztety i t. p. jak wilki. Zazdrościłam tym łobuzom braku nerwów: mogli zajadać o każdej porze, niezależnie od wszelkich okoliczności. Z temperamentem rozdzielali kurę na części i, nie dbając o żadne przesady natury estetycznej, miesza-

jąc jedno z drugim, słodczyce, mięso, jaja, zachęcali mnie do naśladowania.

Ja zaś miałam tę własność, że zdenerwowanie, a nawet podniecenie odbierało mi całkiem możność jedzenia, powodując jakiś skurcz gardła. Pamiętam, jak Łaszkiwicz powiedział, charakteryzując tem samem stan ich wygłodzenia w więzieniu: „No, to już dla tego samego warto stanąć przed sądem, żeby raz tak zjeść“. A był to chłopiec o niezwykle małych wymaganiach, żaden smakosz.

W czasie uczty przyszli nasi obrońcy. Towarzyszy moich bronili kijowscy, przeważnie młodzi, obrońcy; dla mnie wujenka sprowadziła z Moskwy niejakiego Owsiannikowa, pomocnika czy też współnika Lednickiego, którego prosiła o obronę: ponieważ Lednickiemu coś stanęło na przeszkodzie, więc przyjechał Owsiannikow. Zjawił się do mnie zresztą nie sam, a w towarzystwie eleganckiego oficera, który mi się przedstawił, jako Kałaczewskij. Był to znany adwokat kijowski, sympatyk partji S. R., do którego matka moja udała się z prośbą o zaopiekowanie się moją sprawą, wkrótce po moim areszcie na jesieni r. 1913. Kałaczewskij w międzyczasie został powołany do wojska, a może dobrowolnie się zgłosił, bo należał do orjentacji t. zw. „oboronców“; wśród eserów było ich sporo: byli zdania, że zwycięstwo Rosji przyczyni się do demokratyzacji kursu, wprowadzenia wszelkich swobód i t. p. (Naiwność!).

Kałaczewskij zachował się w mej sprawie bardzo ładnie, bo przyszedł zapytać, czy życzę sobie podwójnej obrony: jego i Owsiannikowa. Wyłuszczył mi też, że celowość tej podwójnej obrony (i poniesienia podwójnych kosztów przez moją rodzinę!) zależy od tego, jakie stanowisko ja sama zajmę w swej sprawie. Jeżeli bowiem zechcę „pomóc“ obronie, udając nienależącego do partji człowieka, to są wielkie

szanse uzyskania dla mnie uniewinnienia lub fortecy, z zaliczeniem odsiedzianych już 16 miesięcy. Pomoc ta miała polegać na tem, że miałam odpowiadać na pytania w ten sposób, ażeby stało się oczywiste moje niez zaangażowanie w ruchu rewolucyjnym: towarzysze zaś moi powinni byli, zdaniem Kałaczewskiego, wziąć moją winę na siebie, tembardziej, że ewentualność ogólnego lżejszego wyjścia ze sprawy zdawała się być wykluczoną. Gdyby zaś i ja i moi towarzysze odmówili obronie tej pomocy, — Kałaczewskij uważał swoje stawanie w mej sprawie za całkiem bezużyteczne i nie chciał narażać mojej rodziny na bezcelowy wydatek.

Odrazu tedy kury i pasztety odstąpiły na drugi plan i zauważyłam, że moi chłopcy uważnie się przysłuchują. Trudno jest zaglądać ludziom pod czaszki, ale miałam wrażenie, że wszyscy, nawet i Grisza — filozof, spodziewają się po mnie solidarności i odrzucenia kompromisowej propozycji. Powiedziałam Kałaczewskiemu, że moralnie nie było to dla mnie do przyjęcia wymigiwać się ze sprawy, podczas kiedy conajmniej trzech, a może czterech towarzyszy siedzi tu z mego powodu, gdyż ich wciągnęłam do tej pracy. Kałaczewskij zwrócił się wtedy do towarzyszy, pytając ich wręcz, czy nie uważaliby za słuszne wyłączyć mnie, jeżeli to się może dać zrobić? a Owsiannikow, ze swej strony dorzucił argument, oświadczenie dla mnie — deprymujący: podniósł okoliczność mego pochodzenia, stanowiska ojca, mojej płci, wieku, i t. p. Było to tembardziej śmieszne, że prócz Kornsztajna i Kiszczenki, chłopcy byli w moim wieku lub może jeszcze młodsi. Przecięłam więc debaty oświadczeniem, że ja się dostosuję w swem zachowaniu do towarzyszy, nie dopuszczę do żadnego wyróżniania mnie i wyłączania ich kosztem, okoliczności zaś zaangażowania w ruchu rewolucyjnym, choćbym nawet chciała, nie potrafię zatrzeć, bo zbyt silnie uwydatniało się

to w śledztwie, w różnych przejściach więziennych i t. p.: roli niewiniątka zresztą nie chcę odgrywać.

Stało więc na tem, że bronić mnie będzie sam Owsianikow, który obiecał się dostosować do moich życzeń. Kałaczewskij nie brał udziału w rozprawie.

Długo debatowaliśmy z towarzyszami nad tem, jaką obrać taktykę wobec sądu. Ja, wbrew temu, czego odemnie chcieli obrońcy, byłam za złożeniem przez nas solidarnego oświadczenia, iż należymy do partji. Wyłączałam tylko Kornsztajna, właściciela drukarenki w Odesie, który rzeczywiście nie był w partji, tylko okazywał eserowcom usługi, dość już słono opłacone przeszło rocznem więzieniem.

Taką taktykę zastosowali podczas sądu (na rok przed nami) socjal-demokraci, Piataków, Bosz, Prigorowska i towarzysze. Bosz opowiadała mi szczegółowo o ich zachowaniu i samopoczuciu na procesie i radziła mi, żebyśmy zastosowali tę samą taktykę, jako najbardziej odpowiadającą godności rewolucjonisty w sprawach, które obfitują w poważne poszlaki. Mojemu wewnętrznemu samopoczuciu, po dwu latach siedzenia w więzieniu, najlepiej odpowiadało takie wyjście.

Nie przekonałam zresztą towarzyszy. Zdaje się, że mego zdania był tylko Sawczenko, a może skłaniał się do tego i Łaskiewicz. Grisza natomiast, z którego opinią nie można się było nie liczyć, był przeciwny taktyce przyznawania się. Natomiast stało na tem, że zastosujemy taktykę odmowy udzielania odpowiedzi i wyjaśnień. Tę taktykę—drugą z kolei, która mi opowiadała, forsowałam równie mocno, bo Griszą nie upierał się przy niej (wogóle nie umiał narzucać swego zdania), — Kiszczenko, robotnik — maksymalista, miewał zawsze wątpliwości, Azarkiewicz był też niezdecydowany. Ostatecznie przyjęliśmy tę decyzję, z wyłączeniem Kornsztajna, który miał odpowiadać na wszystkie pytania, wszystko wyjaśniać i któremu

pozwoliliśmy w ostatniem słowie prosić o uniewinnienie. Rzeczywiście manewr ten w stosunku do Kornsztajna okazał się bardzo sprytny: odbijał swoją mównością od nas niemych i niedostępnych i wygraliśmy jego uniewinnienie.

Grisza był zwolennikiem tej taktyki, gdyż ogólnie była przyjęta w procesach eserowskich. Trzeba przyznać, że była to rzeczywiście taktyka przyzwoita i chroniąca godność ludzką, a w sprawach, które obfitowały w poszlaki, mogła być nawet wielce praktyczna, gdyż wybawiała od niebezpieczeństw zaplątywania się we własnych słowach i świadectwach. obrońcy nie lubili tej taktyki, twierdząc, że ona drażni sąd; powoduje wrażenie, że odrzucamy a priori możliwość sprawiedliwego wyroku. Oczywiście, naiwne było nie odrzucać takiej możliwości: sąd ten nie mógł przecież nas uniewinnić, — mógł tylko, zależnie od różnych okoliczności, stopniować surowość kary.

Sprawa nasza potoczyła się, jak setki podobnych spraw. Na wstępie był ostry moment, kiedy nas wywołano i zapytano, czy się przyznajemy „do winy“. Odpowiedzieliśmy na to, jeden za drugim, że odmawiamy zeznań. Obserwowałam, jak ludzie rozmaicie mogą mówić to samo, zależnie od temperamentu, składu psychiki i t. p. Grisza, człowiek doskonale wychowany, powiedział to niezwykle uprzejmie, wprost uprzedzająco, z eleganckim ukłonem w stronę sędziów; Łaszkiewicz — spokojnie, ale bardzo twardo, — Sawczenko — z pewną zaczepnością, Kiszczenko — z wyraźną brawurą. Do mnie przewodniczący sądu zwrócił się z widoczną uwagą i tu pomyślałam sobie, że musiała interwenjować moja wujenka, obecna na rozprawie. Odpowiedziałam poprawnie, ale nieustępliwie, ażeby przeciąć dalsze podobne wyróżnianie mnie spośród towarzyszy. Niestety, sąd jeszcze parę razy zwracał się do mnie z większą uwagą, pozostawiając mi widocznie w dalszym ciągu ową furtkę ratowania się za pomocą gadulstwa; wynikało stąd, że Owsian-

nikow i wujenka moja mieli nadzieję, iż zmienię decyzję lub się zmieszam i zacznę jednak udzielać wyjaśnień. Sprawili mi tem niepotrzebną dodatkową przykrość, bo bynajmniej nie było miłe powtarzać po kilka razy, że nie życzę sobie odpowiadać na pytania, a przytem — wbrew ich intencjom — postawa moja robiła wskutek tego wrażenie bardziej zaostrożonej i pryncypjalnej, niż nią w rzeczywistości była.

Kiedyśmy przechodzili z pokoju do sali sądowej, oczekiwało nas w przejściu wiele osób: krewnych, przyjaciół, towarzyszy. Dostrzegłam w przejściu Marję Czułajewską, o której wiedzieliśmy, iż wystąpi w charakterze świadka oskarżenia. Błada, wzruszona, podała mi jakieś kwiatki, a ja podałam jej rękę i za mną wślad zrobili to wszyscy moi towarzysze, jakkolwiek kilku wśród nich zasypała również swemi zeznaniami. Pamiętam, że nie było mi trudno przekonać towarzyszy, iż tak należy postąpić: szlachetni chłopcy przyjęli za pewnik, że Czułajewska jest człowiekiem dobrym i że wsypała nas tylko ze strachu, przez niewyrobień, słabość. Wiem i dziś, że postęp nasz był szlachetny, ale dziś już nie chcę się zdobywać na żadną wyrozumiałość w stosunku do żadnej formy zdrady.

Czułajewska zresztą na rozprawie tej musiała wiele przeżyć.

Stawało dużo świadków oskarżenia, sporo świadków obrony. Niektórzy świadkowie, powołani przez władze śledcze w charakterze świadków oskarżenia, sprawili tym władzom istotny zawód, jak np. mój sąsiad, inżynier Bartałowicz: podług jego zeznań prowadzić miałam żywot pensjonarki, nie rewolucjonistki; pocziwy inżynierek, serdecznie pragnąc mi do pomocy, trochę przesadził w barwach... Stawała matka towarzysza Azarkiewicza; ta wogóle mnie nie знаła i widziała raz tylko zdaleka, przez niedomknięte drzwi; nie zawahała się jednak — na śledztwie i przed sądem — stwierdzić, że ta

właśnie, nie inna osoba, miała w pewnym dniu do czynienia z jej synem, w związku z dostarczoną do jego mieszkania bagażem.

Zeznawała służąca gospodyni, u której wynajmowałam pokój. Tu znów były wyraźne wpływy sympatyj i prądów rewolucyjnych, które już nurtowały wśród biedoty. W listach mojej matki do ojca, pisanych z Kijowa po moim areszcie, znalazłam wzmiankę o tej służącej: żandarm i prokurator podejrzewali moją matkę o namówienie tej kobiety do korzystnych dla mnie zeznań, tymczasem moja matka w żaden sposób nie wpływała na tę służącą, a była naprawdę zaskoczona jej niezwykle serdecznym i bezinteresownym współczuciem dla mnie. Na rozprawie kobieta ta rozplakała się nagle, gdy ją zapytano, czem się zajmowała, co niezwykłego było w moim zachowaniu, jacy ludzie mnie odwiedzali i t. p. Płakała i świadczyła się Bogiem, że „barysznia“ cierpi niewinnie, podając mnie za wzór wszelkich praworządnych cnót. Ale stąd, że umiejętnie zniekształcała rzeczywistość, świadcząc np., że późno wstawałam, jeździłam często do teatrów i t. p. (nic podobnego nie miało miejsca), — zrozumiałam, że nam świadomie współczuła i że obmyśliła dobrze swoje zeznania.

Niektórzy znów starali się dogodzić władzom śledczym, jak Rosjanie mówią, „nie za strach a za sowiest“. Tak np. urzędnik kolejowy, któremu przedstawiliśmy fracht na odebranie bagażu, poznawał mnie dokładnie, jakkolwiek mnie wcale nigdy nie widział. Inni znów świadkowie odwoływali pierwotne swe zeznania, złożone podczas śledztwa. Mały dorożkarz, ten sam co rzeczywiście wiozł mnie do Azarkiewicza ostatniego wieczoru przed moim aresztem, odwołał na sądzie swoje pierwotne zeznanie (miał on w żandarmerji ze mną t. zw. „oczną stawkę“, podczas której oświadczył kategorycznie, że to byłam właśnie ja). Zabawnie to zrobił: zaczął przekonywać, że

tamta była krągła, a ta chuda, — przytem uśmiechał się głupkowato i znów świadczył się Bogiem.

Bardzo przykre było zeznanie Czułajewskiej. Już przed rozprawą zgłosiła się ona do naszych obrońców, proponując, że odwoła swe zeznania. Zastanowiliśmy się nad tą propozycją wraz z obrońcami, ale ci uważali, że odwołanie tak szczegółowych zeznań nietylko nie poprawi sytuacji, ale wręcz może ją pogorszyć: robi bowiem na sąd wrażenie, że przekupiono świadka. Doradzono jej tedy, ażeby się starała wycofać tylko z niektórych zeznań, dotyczących moich towarzyszy: ja byłam tak dokładnie zasypana z jej łaski, że nic nie pozostawało do odwołania.

Starala się więc coś nie coś wycofać i sprostować, ale to wszystko źle wyglądało. Najbardziej zaś przykre było, kiedy kazano jej poznać paru towarzyszy na ławie oskarżonych. Musiała odwrócić się do nas twarzą i ogarnąć wzrokiem nas wszystkich, przywartych do siebie ramionami, zrośniętych jakby w jedną całość, przeciwstawionych jej i całej tamtej stronie — przemocy i niewoli. Zerknęła z przymusem, odwróciła wzrok i zaprzeczyła, jakoby ludzi tych miała znać. Ale wtedy — na żądanie prokuratora — odczytywano ustępy z jej poprzednich zeznań... Nic już nie mogła wymazać z tej swojej winy.

I dziś jeszcze uważam, że w naszym położeniu nie było nic do wygrania i do poprawienia i że stosowanie innej taktyki naraziłoby nas tylko na niepotrzebne upokorzenie. Odpowiadał tylko poczciwy, kochany Kornsztajn, który się bronił jak lew od posądzeń, jakoby miał być wybitnym rewolucjonistą; miał zresztą rację, bo napewno nie był nim, tylko był dzielnym i uczciwym człowiekiem.

Późno wieczorem zaczęli przemawiać nasi obrońcy. Prokurator, oczywiście, dowodził z wielkim zapalem, że wszyscy

stanowimy awangardę, serce, mózg partji w Kijowie, że wpływ nasze sięgają bardzo daleko, że każdy z nas zawiera w sobie kompleks cech „rewolucyjnych“, że ja pomimo zewnętrznych pozorów jestem złośliwą partyjniczką, że Kornsztajn niewątpliwie był filarem partji. Słowem jak to prokurator. Żądał też dla nas po osiem lat katongi. (Szczodłą ręką!).

Obrońcy spisali się nie najświetniej. Przedewszystkiem obrońca Sawczenki, którego nazwiska zapomniałam, dopuścił się łajdactwa, bo broniąc swego klienta — obciążył Łaszkiewicza. Sawczenko wstał i zaprotestował przeciw takim metodom obrony. (Był to obrońca z urzędu). Mój Owsiannikow pokazał też co umie. „Śpiewał“ swoim moskiewskim akcentem w ciągu czterdziestu minut, a ja kurezyłam się ze wściekłości. Dowodził bowiem, że niewątpliwie nie można uwierzyć, żebym poważnie tkwiła w partji. A że dowody mej „winy“ były w sprawie i że bał się obciążyć kogoś z towarzyszy (albo, jako przyzwoity człowiek i adwokat, uważał to wogóle za niedopuszczalne), zwałił wszystko na Czułajewską i zrobił z niej prosto Azefa w spódnicy. Dowodził bowiem, że niewątpliwie była agentem; po moim wysłaniu z Odesy udała się za mną do Kiszyniowa w celach prowokacji i w Kijowie doprowadziła mnie do aresztu. Konstrukcja ta była dla mnie śmieszna, zarzut względem Czułajewskiej niesprawiedliwy, bo prowokatorem (agentem) nie była, a rozwodzenie się nad kulturalnością mojej rodziny, nad wychowaniem, rozmaitemi urojonemi właściwościami mej duszy — wszystko to dla mnie było w wysokim stopniu niesmaczne...

Owsiannikow nie mógł zostać na drugi dzień sprawy i czekać na wyrok, prosił o podanie mu go telegraficznie. Pożegnał się tedy z nami tego pierwszego wieczoru. Oczywiście powiedziałam mu, że nie jestem zadowolona z jego mowy. Ku memu zdziwieniu wcale się nie obraził i oświadczył, że, jakkol-

wiek wraz z Kałaczewskim odmawiał mnie od obranej taktyki, teraz, na pożegnanie, musi nam wyrazić swe uznanie i rad jest, że mógł bronić ludzi przekonanych, nie mazgai. Był pewien, że wlepią nam po cztery lata katorgi.

Konsekwentnie nie zabraliśmy głosu również i w ostatniem słowie. Tylko Kornsztajn prosił — zresztą z godnością i umiarem — o uniewinnienie. Widzieliśmy z radością, że stary zrobił na sędziach dodatnie wrażenie.

W przerwie, przed ogłoszeniem wyroku, widziała się ze mną moja wujenka, Alina Augustynowiczowa. Pytała mnie z wielką delikatnością, czy mam moralne zadowolenie stąd, że się zachowywałam tak, jak to sobie postanowiliśmy. Oczywiście, potwierdziłam to. Była bardzo zdenerwowana, bo rzeczywiście włożyła dużo troski w tę całą moją sprawę, — spodziewała się, jak i Owsiannikow, katorgi. Oczywiście, nie było to też skutkiem obrony, że skazano nas jedynie na bezterminowe osiedlenie w Syberji z pozbawieniem wszystkich praw. (Kornsztajn uniewinniony). Wyrok zapadł dopiero wieczorem dnia następnego.

Pamiętam dobrze moment ogłaszania wyroku, kiedyśmy wy-czekiwali — poprzez tyle zbędnych słów wstępu — na co nas wreszcie skazą? Osiedlenie!! Zamieniliśmy zachwycone uśmiechy! Takie głupstwo! tak się to nam wydało małe i łatwe wobec naszego nastawienia na parę lat katorgi!

Sala słuchała też w wielkiem napięciu; ktoś krzyknął, kiedy zabrzmiało: pozbawić wszystkich praw. Zapewne, czyjaś matka.

Odrazu w pokoju, po wyjściu z sali, padliśmy sobie w objęcia, szczególnie zaś obcałowywaliśmy doskonałego „staruszka“ Kornsztajna, który tak walecznie odsiedział tyle czasu z nami w więzieniu. Było bardzo wzruszające, jak nam dziękował za

to, żeśmy mieli do niego zaufanie, — że się mu dobrze z chłopcami siedziało!...

Jeszcze parę słów o Czułajewskiej. Dostało się jej nietylko od Owsiannikowa, ale bodaj od wszystkich adwokatów: każdy miał tu dobrą odskocznię. Podczas tych mów siedziała z twarzą w rękach, wspartych na kolanach. Wyglądała tak strasznie zgnębioną, że dobry, złotego serca, Łaskiewicz bał się, iż tego nie przeżyje. Nietylko przeżyła, ale nie wiem, czy naprawdę przeżyła tak bardzo głęboko, jak to się nam zdawało.

A może to tak jest, że ludzie, zdolni do zdrady, nie mogą jej głęboko przeżywać?

*

Niestety, nie mam swego aktu oskarżenia. Zaniedbałam tę rzecz, a potem, w okresie rewolucji, akta mogły zginąć. A akt ten zawierał jeszcze dużo interesujących szczegółów...

*

Słyszeliśmy później, że łagodność wyroku tłumaczono prądami „liberalizmu“, jakie w tym okresie były aktualne. (Chęć niedrażnienia społeczeństwa w czasie wojny). Rzeczywiście, kilka spraw politycznych przed naszą i po naszej miało też stosunkowo łagodne wyroki.

*

Moi chłopcy już w styczniu r. 1915 wyruszyli na Sybir...

Ja — dzięki pochodzeniu szlacheckiemu — siedziałam jeszcze do czerwca...

V. P O D R Ó Ż E T A P E M

V P O D R O Z E T A P E M

Zostawałam w więzieniu pół roku dłużej niż towarzysze: tak mi się przysłużyło moje szlacheckie pochodzenie! Nigdy się go dość nie mogłam nakłąć, odsiadując pod kluczem te zbyt czyste pół roku. Istniała bowiem w Rosji taka procedura, że pozbawienie wszystkich praw skazanych przez sąd osobników szlacheckiego rodu (t. zw. „potomstwiennych dworjan“, szlachectwo nie nabyte z racji zasług osobistych, a dziedziczone) musiało uzyskać zatwierdzenie cesarza i sprawy takie bywały mu osobiście przedstawiane. Jak widać z mego doświadczenia, na taką przyjemność skazaniec musiał niekiedy długo czekać: z przedstawianiem tak nieważnej sprawy cesarzowi nikt się zbytnio nie kwapił.

Ostatnie pół roku zeszło mi w więzieniu jako-tako. Przykrość momentu przebrania w strój aresztancki złagodziłam sobie przez to, że na kilka miesięcy przed przymusem przebrania nosiłam już przez pewien czas ten strój ze względów solidarności. Siedzące ze mną w szpitalu socjal-demokratki, Bosz i Prigorowska, zostały pozbawione praw jeszcze przed moim sądem, siedzieć razem przebranim i nieprzebranim nie pozwolono, wybrałam więc przebranie. Sprawiało mi to nawet dużą przyjemność zademonstrować, iż koleżeństwo więcej dla nas znaczy, niż przywilej własnego stroju, tembardziej, że więzienie nierzadko stosowało sadyzm w procedurze tego przebrania i moment ten uważany był za jeden ze sposobów łamania niedoświadczonych i młodych. Oczywiście, pomiędzy takim przebraniem fikcyjnym a przymusowym była jeszcze cała przepaść.

Najgorsze było to, że czekał mnie etap samotny, bez towarzy-

szy sprawy, a nawet przez zbieg okoliczności nie wyruszała ze mną w drogę żadna z politycznych — katorżanek lub zesłańek, tylko kilka dziewcząt, zsyłanych w drodze administracyjnej, podróżujących we własnych strojach. Wśród mężczyzn nie było też nikogo bliższego w etapie. Natomiast osładzał mi niesłuchanie całą tę podróż udział w niej mego męża. Jakkolwiek nie stanowiliśmy ślubnego małżeństwa i starania męża o pozwolenie na ślub w więzieniu zostały odrzucone, temniemniej obecność wolnego, niepozbawionego żadnych praw, odważnego i energicznego mężczyzny, w warunkach etapu bardzo dużo znaczyła.

Przygotowanie do zniesienia jak najlepiej tej dwumiesięcznej, bardzo niemiłej podróży, zawdzięczam w dużym stopniu tej samej Eugenji Bosz, bolszewiczce, o której pisałam już w tych moich wspomnieniach. Ona bowiem przechodziła już wcześniej etap, wskutek przesyłania z jednego więzienia do drugiego (miała dwie sprawy sądowe w dwóch różnych miejscach, z których ostatniem był Kijów; do Kijowa przewieziono ją na krótko przed sądem z innego więzienia, gdzie odsiadywała karę).

W opowiadaniach jej etap był piekłem, a że był to człowiek nie znający blagi i przesady, więc jej zawdzięczam, że się przygotowałam wewnątrz na przebycie ciężkiej przeprawy; zmontowanie w sobie maksimum spokoju, cierpliwości, tężyzny i postanowienia wytrwania, na jakie się mogłam zdobyć.

Z najbliższej mojej rodziny przed wyjazdem nie mogłam widzieć nikogo. Rodzice od lata 1914 roku byli odcięci od wszelkiej możności porozumienia się ze mną, w Krakowie; z braci moich (zdaje się w tym czasie wszyscy byli w Rosji), nie mógł widocznie przybyć żaden. Wujenka moja, Alina Augustynowiczowa, moja opiekunka przez cały czas więzienia, umarła przed etapem na atak serca. Nie pamiętam, czy przy-

jeżdżała na mój wyjazd siostra jej, owa p. Ludwika Michałowska, która pierwsza po uwięzieniu odwiedziła mnie w Kijowie u żandarma Iwanowa.

Widywałam tylko przed wyjazdem często mego męża. Zwiął już wszystkie swoje sprawy w Baku, gdzie mieszkał ostatnio i wyczekiwał w Kijowie na mój wyjazd. Udzielano mu już wówczas całkiem chętnie widzeń ze mną, jako narzeczonemu („żenich“). Poznałam też wówczas przed wyjazdem matkę mego męża, panią Łucję Grabianczyną, która przyjechała ze swych Łapkowiec (na Podolu), żeby mnie odwiedzić.

P. Grabianczyzna bardzo nie lubiła idej socjalistycznych i rewolucyjnych, jakie wyznawaliśmy oboje z jej synem — i miewała z nim na tem tle nierzadko starcia. Nie spodziewałam się też bynajmniej jej wizyty, tembardziej, że nasz stosunek małżeński nie był zalegalizowany, że mogła mieć do mnie żal o to, iż „uprowadzam“ jej syna, łamię mu t. zw. karierę i t. p. Byłam bardzo zdziwiona, kiedy mąż oświadczył mi przy pewnym widzeniu, że matka jego chce mnie poznać przed moim wyjazdem na Syberję i że w tym celu przybędzie do Kijowa odwiedzić mnie w więzieniu. Obawiałam się, że to spotkanie będzie trudne dla obydwóch stron. Dla p. Grabianczyzny widzieć wybraną syna socjalistkę, rewolucjonistkę i do tego — w aresztanckim stroju — nie należało do przyjemnych i łatwych rzeczy. Ja, po dłuższem więzieniu i odbytem treningu więziennym, byłam już zaciętą, nieustępliwą rewolucjonistką, a pewne cechy nietolerancji i bezkompromisowości mojej natury sprawiały, że miałam w sobie dużo fanatyzmu i nieprzejednanie — wrogi stosunek do ludzi innego kierunku.

P. Grabianczyzna w tym okresie posiadała już tylko małe Łapkowce, otrzymane od własnej rodziny; cała wielka fortuna Grabianków, gruntownie podniszczona, ale jeszcze aktualna w dobie jej ślubu, należała już dawno do przeszłości. Po śmier-

ci męża p. Grabianczyna prowadzić musiała żywot bardzo skromny, ażeby z małych Łapkowiec wyżywić i wykształcić swe dzieci. Umiała też ograniczać do minimum swoje potrzeby; być zaradną i gospodarną w zakresie swych bardzo skromnych możliwości. Natomiast zachowywała w pełni wszystkie cechy zewnętrzne swej klasy, dbała o zachowanie pozorów dobrobytu, solidaryzowała się z postawą psychiczną zamożnego i staro-szlacheckiego ziemiaństwa. Wszystko to wiedziałam już przed jej poznaniem i wszystko to razem nie wróżyło dobrych wyników spotkania.

Tymczasem nadspodziewanie udało się bardzo dobrze. P. Grabianczyna pochodziła z rodziny Żurakowskich, w której było sporo uczestników powstania (z 1831 i 1863 lat). Mąż jej i ojciec mego męża, Antoni Grabianka, uczestniczył w powstaniu r. 1863 i siedział kilka lat w więzieniu, ciężko płacąc za to zdrowiem. Prawdopodobnie te okoliczności sprawiły, że (nie współczując ideom, którym służyłam) uczuła się w więzieniu jakby związana ze mną jakąś solidarnością. Widok Polki, synowej, za kratą, w aresztanckim przebraniu; obecność oficera straży więziennej pomiędzy dwoma kratami, gdzie — w drodze szczególnego ustępstwa — wpuszczono tym razem mego męża i jego matkę, — nawoływanie: „goworit“ po ruski“, — wreszcie — urwanie widzenia okrzykiem: „swidanje konczeno!“, — wszystko to razem, uplastyczniło jakby tej kobiecie, wychowanej w środowisku wpływów powstańczych, swojskość mojej postawy, wrogość otoczenia obcej przemocy. Reszty dokonał mocny charakter, jakim odznaczała się matka mego męża.

Złamana „karjera“ życiowa młodego, zdolnego syna, zwichnięte wszystkie obliczenia na jego przyszłość, a może — na ożenek w sąsiedztwie, na „dźwignięcie“ Łapkowiec, cały ten splot drażniących i bolesnych przemyśleń odsunęła od siebie

za jednym zamachem. Na moją prośbę, żeby nie brała mi za złe, że zabieram jej tak daleko syna, dostałam odpowiedź: „No, żal Józia... ale cóż robić! Nie puści cię samej... A może oboje wrócić!...” Nie wiem, jakie iluzje mogła jeszcze żywić p. Grabianczyna, przychodząc na to widzenie ze mną. Ale to wiem, że ściskając przez kratę palce aresztantki, umiała mężnie zerwać ze wszystkimi złudzeniami.

Pewnego ranka zawołano nas wraz z rzeczami na dół, do kancelarji, a wiedzieliśmy od paru dni, że lada dzień nastąpi wysłanie. Rzeczywiście tak było. Zastałam zgromadzone już kobiety do etapu, a wśród nich cztery czy pięć dziewcząt, zsyłanych administracyjnie (ubranych we własne odzienie); reszta katorżanki po katordze odbytej za różne ciężkie przestępstwa (zabójstwa, napady zbrojne), zsyłane na bezterminowe osiedlenie na Sybir. Dziewcząt politycznych - administracyjnych nie znałam wcześniej: był to młody narybek esdecki z Kijowa. Wśród kryminalnych katorżanek znałam z więziennych spotkań wspomnianą już uprzednio dziewczynę nazwiskiem Tatjana Lialina.

Wśród mężczyzn było kilku politycznych, pozbawionych praw, a więc poprzebieranych. Był jeden Polak, nie polityczny, chłopak z Podola, który w jakiejś sprzeczce i prawdopodobnie po pijanemu zwymyślał w r. 1914 cesarza w sposób wysoce nieparlamentarny. Za to przewinienie sąd w Kijowie pozbawił go wszystkich praw i skazał na bezterminowe osiedlenie. Chłopak ten nazywał się Franek Pawluczenko. Mąż mój zapoznał się przed więzieniem z jego starszą, zamężną siostrą i przyrzekł jej, iż zaopiekuje się chłopcem na Syberji. Pawluczenko miał może 20 lat. Był to spryciarz nielada, bo w więzieniu już blagował komu mógł, że jest politycznym przestępcą i udawał sympatje do eserów.

W więzieniu, siedzenie z politycznymi, szczególnie przed

przebraniem, było znacznie miłsze, niż z pozostałą bracią więzienną. Zresztą przewinienie Pawluczenki, przy odpowiedniej koloryzacji i podkreślaniu polskości, patriotyzmu polskiego, co robił umiejętnie, miało posmacek polityczny.

Chłopcy polityczni, w tem i Pawluczenko, mieli kajdany na rękach i nogach. Nas, kobiet, nie skuto.

Wyjście przed więzienie, przejazd na dworzec pod eskortą żołnierzy, nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia: był to dalszy ciąg niewoli. Pierwszy konwój żołnierski zresztą był bardzo dobry i obchodził się z nami całkiem ludzko. Na dworcu pamiętam zapłakane twarze krewnych, którzy odprowadzali nas. Dlaczegoś — płkanie w tym wypadku wydało mi się przesadne: przecież wychodziliśmy, przeważnie po dłuższem więzieniu, — na względną wolność: zostawało tylko parę miesięcy etapu do przebycia. O cóż tedy płakać?

Nie było mojej matki, odciętej w Krakowie, któraby z pewnością również gorzko płakała. Tak się zdarzyło, że cały etap (około czterdziestu ludzi) składał się z ludzi młodych: lekceważyliśmy sobie wszystko, mając przed sobą młodość.

Stosunek żołnierzy w konwoju zależał oczywiście od kierownictwa. Jeszcze na dworcu, prowadząc nas do wagonów, „starszij po konwoju“, podoficer, wyjaśnił mi, że jest Ukraińcem, że szanuje politycznych, że rozumie doskonale iż „cierpi my za naród“ (stradajetie za narod). Bardzo mnie zawsze bawiło takie stawianie kwestji! Ale zważywszy, że równie dobrze i całkiem bezkarnie mógł mnie zamiast tego zgrzmocić kolbą po łopatkach i nawymyślać mi najordynarniejszemi słowami, uważałam jego postępowanie za bardzo miłe. Odrazu też w wagonie rozbroiła mnie niesłychana poczciwość żołnierzy. Pierwsze uderzające odkrycie, jakie zrobiłam, było to spostrzeżenie, że rosyjscy żołnierze dosłownie pięciu słów nie mogą

wymówić, nie uciekając się do t. zw. „matierszczyzny“ (szpetna połajanka ze wspomnianiem matki).

Był jeden poprostu mistrz, któremu połajanka ta spadała z języka po każdych dwóch — trzech słowach. Podobnej gimnastyki nie zdarzało mi się przedtem nigdy obserwować; przysłuchiwałam się tedy z nieukrywanem zdumieniem, czy naprawdę może to długo trwać i po co się to robi. Wrażenie było tembardziej niepospolite, że żołnierz miał młodą, dziecinną twarz i w wyrazie jego oczu nic się nie wiązało z tem szpetnem wyklinaniem matki. Była więc to poprostu rzecz mechaniczna. W pewnej chwili wszedł inny żołnierz, podszedł do rozmawiających i spostrzegł, że my siedzimy niedaleko. Zwrócił tamtym uwagę w ostrej formie: „Czyż nie wstyd wam wyrażać się w takich słowach, kiedy tu panienki polityczne siedzą, wcale do takich słów nie przyzwyczajone i muszą wszystkiego wysłuchać. Nawet to z waszej strony bardzo niedelikatnie!“. Żołnierze stropili się bardzo i zaczęli nas przepraszać w sposób bardzo ujmujący. Potem przy każdym wypadku zaklęcia jeden drugiego wstrzymywał za rękaw, mówiąc: „znów takie świństwo!“. Szczególnie rozbijające było, jak biedny żołnierz, który sobie tak dokładnie zmechanizował owe przekleństwo, krztusił się co dwa — trzy słowa, połykając je z konwulsyjnym wysiłkiem w połowie lub przy końcu, trzepiąc przytem ręką, łapiąc się za usta...

Niestety, nie pamiętam, jak długo byliśmy w ręku tego dobrego i miłego konwoju Ukraińców. W ciągu dwumiesięcznej podróży etapem zmieniliśmy cztery lub nawet pięć konwojów. Jako szczególnie dobry i szlachetny w postępowaniu wyróżnił się jeszcze w końcu konwój syberyjski, który dowiózł nas do Krasnojarska.

Zresztą postępowanie wszystkich żołnierzy raczej mogę określić jako biernie-życzliwe i dobrotliwe. Bali się tylko okrop-

nie swoich władz i stąd niejednokrotnie pochodziły przejawy takiej surowości i grubiaństwa „na eksport“, dla przypodobania się swoim oświeconym przełożonym. Kiedy potem, po rewolucji, okazało się tylu młodych oficerów o sympatjach rewolucyjnych, nie mogłam skojarzyć tego zjawiska z postawą tych wszystkich młodych oficerów, jakich miewaliśmy w konwojach: chyba dobierano ich podług szczególnego klucza. Nie chodzi mi bynajmniej o to, że się do nas nie czulili, bo tu krępowały ich pewne przepisy ale naogół wyróżniali się od żołnierzy złym, nienawistnym do nas stosunkiem. Ta obserwacja moja znajduje potwierdzenie we wrażeniach mego męża z tej podróży, którą odbywał jako wolny, nieograniczony w żadnych prawach, człowiek. Skonstatował on również dobrotność stosunku żołnierzy, wrogość stosunku oficerów do nas i nawet do niego.

Osoba tego oryginalnego „żenicha“, który nie miał większych zmartwień jak towarzyszyć dziewczynie na Sybir, była naogół nienajgorzej tolerowana. Wspominałam już, że trzy czy cztery razy w ciągu tych miesięcy udało się memu mężowi osiągnąć pozwolenie na wizytę u mnie w wagonie i że raz taka wizyta o mało nie została przyłapaną. Stale też otrzymywałam od męża bardzo dużo różnych rzeczy do jedzenia i miałam wtedy to jedno zmartwienie, że obdarzyć sprawiedliwie temi rzeczami całe nasze polityczne bractwo było prawie niepodobniństwem. Tymczasem w atmosferze solidarności więziennej, inny sposób korzystania z takich przywilejów zupełnie nie był do przyjęcia, przede wszystkim dla mnie samej, a i towarzysze (choć już z mniejszą racją) boczyli się czasami na takie „indywidualne“ przesyłki, tembardziej, że każdy stale był głodny. Niestety, trudno było to rozwiązać. Na tem tle odczuwałam wtedy nawet całkiem bezmyślny i krzywdzący żal do męża, kiedy się krzywił na wiadomość, że czegoś z rzeczy przysła-

nych nie kosztowałam (prowadziliśmy korespondencję, — przy lepszym konwoju mogliśmy zamieniać parę słów przez okno).

Mówił mi bardzo delikatnie, że nie ma środków, żeby karmić całe nasze bractwo: uciulał sobie ze swoich zarobków w ciągu dwu lat mego więzienia paręset rubli na ten etap i nasze życie w Syberji, ale po przyjeździe na miejsce niedużo już zostało nam z tych pieniędzy.

Dostawałam również od męża czasem jakąś gazetę, na którą wszyscyśmy się rzucali.

Z korespondencją wpadliśmy jeden raz. Było to w okresie gorszego konwoju: nie pozwalano mężowi ani podejść do okna, ani wejść do wagonu: nawet nie można było o to prosić. Tymczasem mąż mój, wogóle spokojny i opanowany, w czasie mego etapu stale się o mnie niepokoił (jak mi się zdawało, bez dobrej racji), denerwował rozmaitemi informacjami o złych warunkach tego czy owego więzienia, do którego mieliśmy być przesyłani, pogłoskami o tem, że tam biją politycznych i t. p.: słowem bezużyteczne przechodził udręki. W jakimś takim momencie napisał do mnie ów niefortunny list. Stojąc na peronie, na którymś przystanku i przechadzając się koło pociągu, ażeby zobaczyć mnie za szybą okna, upuścił (celowo) ów list, zwinięty w małą papierową tutkę, udającą papierosa. Nie raz już tak robił i list taki podnosił umówiony żołnierz lub który z towarzyszy, najczęściej ów Franek, wyprowadzony z „czajnikami“ po wrzątek. Franek mistrzowsko załatwiał takie sprawy i raz nawet potrafił zawołać do żołnierza „wot, papiroska!“, podnosząc taką tutkę. W tym wypadku musieli śledzić męża lub Franka. Dali mu podnieść list i natychmiast mu go odebrali. List był napisany po polsku i nie zawierał absolutnie nic „przestępnego“: jakieś prośby oszczędzania się i t. p.; obawy o jakieś prawdopodobne przejścia w więzieniu,

do którego zmierzaliśmy były wyrażone całkiem ogólnikowo. Temniemniej powstała burza. Wprawdzie, szczęśliwie, nie był tu zamieszany żaden żołnierz: żołnierze bywali okropnie karani za takie usługi więźniom. Franka Pawluczenko skuto w kajdany, normalnie wkładane mężczyznom tylko w przejściach pomiędzy stacją a więzieniem; po pewnym namyśle zakuto wogóle wszystkich mężczyzn politycznych. Nas, kobiety, usadowiono w określonym miejscu i zakazano nam wogóle wstawać. Władze konwoju szalały. Trafiło to im jakoś na zły humor, bo przecie samo zajście nie zasługiwało wcale na taką surowość w potraktowaniu.

Odsiedzieliśmy kilka bardzo przykrych godzin, właściwie — najprzykrzejszych dla mnie, bo trułam się tem, że towarzysze są poszkodowani z racji moich osobistych spraw i nie orjentowałam się, jakie konsekwencje wynikną stąd dla mego męża. Właśnie następowała zmiana konwoju i żołnierze, w końcu już znów rozkrochmaleni (pocziwoty) obawiali się, czy władza konwoju nie zechce nas, przekazując następcy, osmarować w raporcie tak, że i następny konwój nie będzie mógł rozkuć naszych chłopców i zdjąć z nas wyjątkowe rygory.

Jednak obawy okazały się płonne. Konwój ustępujący (każdy!) miał już, jak widać, tak gruntownie dość tej służby, że śpieszył się z przekazaniem aresztantów. Żadne dodatkowe informacje nie zostały, jak widać, udzielone, albo nie zostały przez nowy konwój przyjęte pod uwagę. Prawie zaraz po objęciu nas przez nową straż, starszyzna konwoju poinformowała się bardzo uprzejmie: „za co skuto was, panowie polityczni?“ Przyskoczyłam natychmiast do pytających i wyjaśniłam, że cała ta rzecz dotyczy tylko mnie, że towarzysze zostali skuci bez żadnej racji; pretensje mogą dotyczyć tylko mnie i mego męża. Starszyzna konwoju zamieniła parę słów po cichu między sobą i jeden z pośród nich odparł mi bardzo do-

brodusnie: „U tego pana, co pani towarzyszy, przeszukano rzeczy. Nic nie znaleziono zakazanego... Gdyby się nie „stawiał“, to mógłby dalej razem jechać tym samym pociągiem. Ale że się stawiał, więc musiał odejść na posterunek dla wyjaśnień; pojedzie następnym pociągiem...“ Byłam bardzo wdzięczna za to wyjaśnienie; ostatecznie więc nic nie zaszło. Chłopców rozkuli i zapanowały znów dobre stosunki z żołnierzami.

Na Syberji postoje na przystankach bywały dłuższe, a konwoje syberyjskie, jak już wspomniałam, niesłychanie pocziwe. Naturalnie, formy tej pocziwości i życzliwości bywały często bardzo zabawne.

Utkwiła mi w pamięci jedna taka scena przed oknem naszego wagonu. Na jakimś przystanku, gdzie pociąg stał dłużej, mąż mój przyszedł pod moje okno i zatrzymał się o parę kroków. Było to lato, okno otworzyłyśmy i stałyśmy przy oknie. Właśnie zaczęliśmy rozmowę, kiedy nadszedł jeden z żołnierzy, typowy rosyjski „parień“ (chłopak) o szerokiej twarzy, niebieskich oczach, jasnych włosach. Zwrócił się zaraz do męża: „ty czego zatrzymujesz się pod oknami?“ dodając nieśmiertelną matkę... Mąż mój odparł bardzo spokojnie: „A tobie co? przeszkadza?“ i widząc dobroduszny wyraz tej twarzy, dodał: „wieziesz moją żonę“. Chłopak rozpromienił się nagle bez zrozumiałego powodu. (Rosjanie mają na określenie tego dobrego wyrazu: „oskłabił się“ — uśmiech z wyrazem zadowolenia). Zapytał: „któraż z tych?“ a kiedy mąż wskazał na mnie, zadał mu już całkiem łaskawe pytanie: „a co ty robisz z tą drugą, co szczerzy do ciebie zęby?“. Pytanie dotyczyło Lialinój, która napewno więcej przypadła żołnierzowi do gustu; nie wypowiedział tego przez delikatność, nie chcąc urazić uczuć rozmówcy.

Przegadaliśmy pod jego osłoną przez cały czas stania pociągu na tym przystanku. Od czasu do czasu mówił tylko flegma-

tycznie: „a jeżeli jaka władza, to ty wtedy po waszemu nie gadaj, tylko po rosyjsku, bo *nie poлагajetsia s arestantami*“ (nie wolno z aresztantami).

Taki był przeważnie stosunek żołnierzy rosyjskich do nas.

Przykra scysja wynikła raz jeden z powodu wspomnianej już „etapowej“ nerwowości mego męża. Doświadczony rewolucjonista, stosował się naogół i do spraw więzienia, i do spraw etapu całkiem rozważnie, jeżeli chodzi o rozumowy stosunek. Stosunek ten streszczał się w stwierdzeniu, że trzeba wszystko znieść ze spokojem, gdyż się nie ma władzy nad zmianą warunków. Naogół zresztą nic się ze mną nie działo w tym etapie uzasadniającego zdenerwowanie i obawy. Cięższe przejścia miewałam tylko w „pieriesyłkach“, ale tego mąż mój nie widział i o tem nie wiedział.

Pewnego dnia, około 10-tej w nocy, przybyliśmy do Tuły. Widocznie, więzienie tu było za miastem lub wogóle daleko od dworca, bo zapowiedziano nam, że pójdziemy parę kilometrów piechotą. Ciemność, okoliczności sprzyjające ucieczce więźniów, budziły w konwoju zrozumiałe zdenerwowanie. Ustawiono nas w szeregi, pozapalano pochodnie, mieliśmy już wyruszyć, kiedy powstało jakieś zamieszanie. To mąż mój, nie panując nad nerwami, krzyknął, zawołał mnie po imieniu i rzucił się ku mnie. Cóż mieli zrobić żołnierze? Oczywiście chwycili go, zatrzymali, musieli chwilowo zaaresztować. Byłam bardzo przygnębiona, gdy prowadzono nas w drogę, przytrzymując go między dwoma żołnierzami. Zżyłam się już tak dalece ze swem położeniem aresztantki, że nie mogłam zrozumieć, co spowodowało takie wzruszenie, takie wyjście z równowagi.

Dowiedziałam się o tem znacznie później. Czy można temu dać wiarę? Człowieka, który był w eserowskiej bojówce, uczestniczył nieraz w zbrojnych bójkach z policją, zamroczyl

i porwał do rozpacznych gestów widok naszych szeregów, w nocy, przy świetle pochodni! Twierdził, że był to widok straszny, że ogarnęło go niepokonane wrażenie, iż rozdzielają nas nazawsze. Żyjąc już razem na zesłaniu, rozpamiętywując wrażenia z tej podróży, doszliśmy do wniosku, że działały tu podświadome wpływy obrazków i opowiadań powstańczych, zasłyszanych gdzieś w głębokiem dzieciństwie...

A najciekawsze, że, jak twierdził, najboleśniej uderzyła go w tym aktualnym obrazku ta moja, rewolucyjnie zmechanizowana, prawie zautomatyzowana w przejawach, w gestach odmierzonych i skąpych, postawa „numeru“ aresztanckiego. Czyli zabolalo go właśnie to, co dawało mi jedyną możność zniesienia i przetrzymania w dobrej formie etapu i więzienia.

Raz jeden wprawdzie i ja wyszłam z tej swojej, doskonale przez bolszewickę Bosz, ułożonej formy i skolei sama musiałam za to zapłacić. Byliśmy w ręku niedobrego konwoju, gdzieś w środkowej Rosji. Na jakiejś stacji, wyprowadzono nas w dzień z wagonów, gdyż wypadał nam tu postój w pieriesyłce. W tym wypadku, pod wpływem zdenerwowania, wywołanego grubiaństwem konwoju, obejrzałam się, stając do szeregu: za mężem, lub może za towarzyszymi; był to zresztą tylko taki pół-obrót głowy. Dostałam zato kollbę stylu, w okolicy łopatki. Cios był „zdrowy“, a wypadł oczywiście, od strony chorego, nie zdrowego płuca. Była to więc złośliwość martwej rzeczy: karabinu.

Okropne było stawanie i życie w pieriesyłkach. Czytając teraz opisy podróży Józefa Piłsudskiego etapem w r. 1887, widzę, że trzydzieści lat różnicy nie przyczyniło się dużo do uzdrowienia warunków w pieriesyłkach, przynajmniej w tem, co dla więźniów jest najistotniejsze. Zatarły się może szczegóły, które wprowadziłyby, zapewne, różnicę, ale pozostało w całej pełni zło i przekleństwo pieriesyłki: *nieopisany brud i nie-*

opisane grubiaństwo. Na brud — nie było już żadnej rady. Cały wrzątek, jaki otrzymywaliśmy na śniadanie, na obiad, wylewałyśmy natychmiast na prycze (miejsca do spania) w nadziei, że sparzemy — i potem łatwiej się szczyści — te kłęby robactwa. Nic to nie pomagało. Drewniane prycze pieriesyłek bywały zazwyczaj tak plugawie zarobaczone, że na miejsce sparzonych wrzątkiem wyłaziło z widocznych i niewidocznych szpar całe mnóstwo zastępców. W nocy, kiedy następowały względne ciemności, a rozegrzane ciała usiłowały na chwilę się uciszyć, — robactwo pobijało istny rekord zżerania naszych ciał. To też mniej cierpliwi wśród nas woleli spać na gołej podłodze, szczególnie, gdy się zdarzała kamienna lub cementowa; ale to znów fatalnie odbijało się na płucach, nerkach i t. p.

Naczynie, w którym podawano nam jedzenie w pieriesyłkach, bywało również niepospolicie brudne: jedzenie stawało się prosto męczarnią, szczególnie — dla tych z pośród nas, którzy byli przyzwyczajeni dawniej do dostatniejszego życia. Inni znów — w tym wypadku szczęśliwsi — z filozoficznym uśmiechem wywlekali z zupy okazy rozmaitej fauny, a potem najspokojniej zjadali całą zupę.

Grubiaństwo! Grubiaństwo administracji pieriesyłek nie daje się opisać. Może było tam nawet mniej sadyzmu, niż w więzieniach normalnych, bo tu obiekt pastwienia się był lotny, krótko przebywał na miejscu, wciąż się zmieniał, nie było dość czasu na obmyślanie wyrafinowanych udręczeń. Ale zato celowano w głupiem, paskudnem, wyprowadzającym z równowagi grubiaństwie. Tu znów teorie Bosz nie na wiele się przydały. Próbowałam bronić swej godności dawnym sposobem: spokojem, chłodem, równowagą, filozoficznym stosunkiem do zajęć. Niestety, w pieriesyłkach te metody nie broniły i nie stwarzały żadnej przewagi nad nieobliczalnością admini-

stracji więziennej. Taktowni i nietaktowni, histerycy i spokojni, słabi i silni, odporni i nieodporni psychicznie — wszyscyśmy razem doznawali od administracji więzień „pieriesylnych“ ciągłych, wściekłych ataków samowoli, brutalności, nienawiści. Panowała tu reguła: nie uwzględniać żadnych żądań, nie honorować żadnych prośb, nawet gdy to była prośba o pomoc lekarską. Szczególną zaś nienawiścią otaczane były każde próby kolektywnych wystąpień.

Tak pamiętam, że jedna z kobiet w pieriesyłce (zdaje się — tulskiej) czekała osiemnaście godzin na lekarstwo, które lekarz kazał jej przynieść, ażeby przerwać atak nerwowy. Robiliśmy wtedy wszystko co było można — w sensie indywidualnych i zespołowych wstawiań się za nią — i kto wie — chyba dlatego właśnie musiała tyle czasu czekać na pomoc.

Wrażenia z pieriesyłek były naogół tak ciężkie, że splotły się — w odległości tych dwudziestu prawie lat — w jakąś całość deprymujących psychicznie, obolałych doświadczeń, zacierając faktyczne szczegóły doznanych przeżyć. Gdy usiłuję teraz wyłowić oddzielne fakty, potrącam w sobie jakby o jakiś bolesny i niejasny zrost psychiczny, który się na tle tamtych przejść utworzył i skrzeplł w duszy. Raczej więc syntetycznie potrafię tu dać pewne pojęcie o doświadczeniach politycznych w czasie postojów w pieriesyłkach.

Trzymano tu wszystkich razem: politycznych i kryminalnych, chorych i zdrowych. Pojęcie choroby, która uniemożliwiała już pozostawanie w pieriesyłce, zmuszała do odesłania do szpitala, bywało tu traktowane niesłychanie rozciągle. Ataki serca, krwotoki u kobiet, omdlenia — to wszystko nie pozbawiało, w pojęciu administracji więziennej, „sprawności“ do odbywania etapu w warunkach ciężkich i dla człowieka zdrowego. Ostatecznie, przeważająca większość nas w pieriesyłkach byli to już „liszency“, numery aresztanckie, ludzie,

których śmierć nie inkomodowała w żadnej mierze administracji pieriesyłek. Niezależnie od procesu gruźliczego w płucach, który się zaostrzył na etapie, należałam tam bezwzględnie do ludzi zdrowszych, gdyż udawało mi się utrzymać w ciągu dwóch miesięcy szalone napięcie woli. Ale pamiętam sporo kobiet ciężko chorych, spotykanych w różnych pieriesyłkach, zmuszanych do odbywania w tym stanie etapu, ciągnięcia rzeczy, czasem dziecka, dokonywania znacznych pieszych przemarszów o stałym głodzie. (Karmienie nas podczas etapu było niżej wszelkiej krytyki: był to, u ludzi, nie posiadających pomocy zzewnątrz, — stały głód, ostry głód).

Dopiero w pieriesyłce zrozumiałam znaczenie wyrazów „graždanskaja smiert“, jakimi obrońca określał mi położenie pozbawionego praw. Istotnie administracja pieriesyłek uważała, że się dziura w niebie nie robi, o ile który z prawnie, cywilnie — umarłych — powiększy i fizycznie grono nieboszczyków. W normalnem więzieniu — śmierć więźnia, śmierć politycznego bez widocznych obiektywnych powodów tej śmierci, przyprowadzała odpowiedzialną administrację o kłopot, wizytę władz śledczych, czasem o interpelacje publiczne i t. p. Tam więc administracja raczej sądziła, że więzień może po jakimś czasie opuścić więzienie i stać się wolnym. Tu — były dziesiątki wypadków strzelania do aresztantów bez dostatecznego powodu, na skutek niesprawdzonego alarmu, na skutek widzimisię starszyny konwoju, czasem — porachunków osobistych z więźniem. Konwój miał przecież nad aresztantami władzę niczem nieograniczoną. W razie czyjejs śmierci, stracenia przy próbie ucieczki, meldował poprostu, że dostarcza liczbę o tyle mniejszą, gdyż miał miejsce opór władzy, próba ucieczki, pościg i t. p.

Oczywiście, to pozwolenie na zupełną samowolę straży w stosunku do konwojowanych aresztantów, nasze wyczucie

i świadomość zupełnej beziły — stwarzały tu ciężki stan psychiczny, przez jaki każde z nas przejść musiało w pieriesyłkach. Dla kobiet do ciężkich przejść należało też łączenie nas w pieriesyłkach z prostytutkami. Dodam, że było to szczególnie ciężkie w młodym wieku, kiedy brak życiowego doświadczenia, wyrobienia umysłowego, nieumiejętność syntezy — stwarzały przekonanie o jakiejś zasadniczej odrębności prostytutek od innych kobiet. Pozatem w warunkach więziennych zachowanie prostytutek narażało pozostałe na tem większe starcia z administracją więzienną (mówię w tym wypadku o politycznych kobietach).

Tamte biedaczki, w swej beznadziejnej, okropnej poniewierce, uciekały się do jedyne go rozporządzalnego środka obrony i ułatwienia sobie życia — pozyskiwania mężczyzn z administracji: drogą chwilowych, erotycznych świadczeń zdobywały sobie one jakieś ulgi, ułatwienia, pomoc. W tych latach wojny liczba przesyłanych z miejsca na miejsce prostytutek i różnych kobiet, podejrzewanych o nierząd, ogromnie wzrosła; pokaźnie też prezentowały się wśród nich rozmaite obco-poddane. Te często pozbawione bywały nawet znajomości języka. Naprawdę pozostawała im tamta, jedyna, niezawodna u mężczyzn, droga obrony.

Nie chcę tu opisywać faktów, które pod tym względem zachodziły — masowo! — w pieriesyłkach. Przykre mi jest wspomnienie o ostrym, nietolerancyjnym stosunku moim — i większości politycznych kobiet — do tych, stokroć jeszcze bardziej od nas nieszczęśliwych, lokatorek wszelkich więzień. Ale muszę tu w naszej obronie podnieść, że surowość nasza względem prostytutek wynikała poniekąd i z konieczności utrzymania dystansu pomiędzy nami a administracją więzienną, jak również — z przepaści psychicznej pomiędzy nami. Dla nich — względy męskiej administracji były zapowiedzią

ulg, ułatwień, pomocy; z nas — niemal każda, — była zawsze gotowa odpowiedzieć na zaczepkę oficera więziennego — policzkiem, ryzykować w takiej stawce utratę wszelkich ulg, najcięższą karę, a nawet najwyższą dla żywego człowieka zapłatę... To też, niezależnie od całkiem innego poglądu dziś na prostytutki, na ich konieczności życiowe, innej oceny całej tej kwestji, mogę tu podnieść, że stłaczanie nas w pieriesyłkach razem z prostytutkami stwarzało dla nas moment dodatkowego i nieznosnego upośledzenia.

*

Na zakończenie tych wspomnień o etapie coś wesołego.

Ostatnim punktem, zamykającym przykre przejścia i doświadczenia było więzienie w Krasnojarsku. Z Krasnojarska jechaliśmy, jeszcze pod strażą konwoju, statkiem. Była to podróż niedługa — trwała dzień lub półtora. Nie pamiętam już dziś nazwy miejscowości, w której nas wysadzono na brzeg i konwój żołnierski, żegnając nas bardzo serdecznie, przekazał nas dwum (dosłownie!) strażnikom dla odprowadzenia na miejsca zesłania. Strażnicy ci przejęli nas czternaście czy szesnaście sztuk (w tem i kobiety), przeznaczonych do rozkwatowania w guberni krasnojarskiej. Mieli nakaz dostarczenia nas do wsi Boguczany na Angarze, do gminy, gdzie mieliśmy otrzymać przydział do różnych drobnych ośrodków wiejskich, które mogliśmy już sobie dowolnie (z niewielkiej ilości) wybrać. W naszej gromadzie znalazł się już i mój mąż, który się przedstawił strażnikom i oświadczył, że towarzyszy mi w podróży i obecnie pójdzie już razem z nami.

Drogę do wsi Boguczany odbyliśmy pieszo, wózkami i rzeką: łódkami. Parodniowa podróż rzeką (w sierpniu, gdy w nocy był już dotkliwy chłód) była dla mnie bardzo ciężka, ze względu na zły wówczas już stan mego płuca. Leżałam na dnie łodzi, okryta przez męża i towarzyszy wszystkim, co było cie-

płego, ale trzymałam się już resztką sił. Potem, w suchym klimacie wsi Rybnoje proces w lewym płucu znakomicie się zagoił.

Natomiast czarująca poprostu była pierwsza podróż przez lasy. Ranek czy południe kiedy nas oddano na brzegu strażnikom, był słoneczny i ciepły. Zapanowała ogromna, nieskrępowana wesołość. Przedstawiłam zbliska męża towarzyszom podróży. Przybyło już w międzyczasie kilku mężczyzn politycznych, z których pamiętam nazwisko bardzo sympatycznego katorżanina, eserowca Judina.

Nie potrafię opisać, jak szczęśliwe wydały się nam te pierwsze chwile naszej „wolności“. Najpiękniejszym z wrażeń wzrokowych było niewątpliwie wrażenie piękna lasu. Nic podobnego przedtem i potem już nie widziałam. Wspominają zresztą o tych wrażeniach wszyscy nasi mimowolni zwiedzacze Syberji. Mnie uderzyła i oczarowała niebywała wybujałość kwiatów i roślin w tych lasach. Przytem kwiaty lasów syberyjskich miały bardzo różne, bogate i niespotykane gdzieindziej, jaskrawe, przepiękne kolory.

Wrażenie było tak silne, bezpośrednie, oślepiające, że zasłoniło odrazu wszystkie ciężkie, niedawno doznane, przeżycia...

VI. ŻYCIE NA ZESŁANIU

Pierwsze miesiące zesłania przeszły mi pod znakiem dość ciężkiej choroby, której, rzecz oczywista, nikt nie leczył. Mogłam zato leżeć w łóżku do syta, tyle, ile chciałam, a raczej — ile musiałam. Poczułam nagle w sobie zupełny upadek sił. Leżałam tedy po całych dniach, sennie lub napół-sennie. Ale spokój, dobre odżywianie, o które dbał mąż, dobre samopoczucie psychiczne — wszystko to razem koło zaostrzony proces w płucach. Potrosze, w ładne dni, wyzierałam z domu na powietrze.

Wieś Rybnoje miała cerkiew i dziesięć gospodarstw. Gospodarze byli to ludzie raczej zamożni. Oczywiście, nie żyli z uprawy roli, ale polowali, sprzedawali futra, pławili drzewo, łowili ryby i handlowali temi rybami. Mieszkaliśmy w domu takiego większego kupca, z którego synowicą ożenił się później jeden z towarzyszy. Kupiec ten z żoną stanowili bardzo charakterystyczną parę.

Uważali Syberję za kraj, w którym winny rządzić całkiem odmienne prawa, bo, mawiali, chłodno tu i odległości są niezmiernie duże. Bardzo byli dumni z pewnych dodatnich cech sybiraków i uśmiechali się z politowaniem, kiedyśmy się dziwili, że tu się nie zamyka na noc drzwi od mieszkań. A jednocześnie — tu właśnie spotkałam się ze swoistą filozofją tolerancji w stosunku do sprytnych afer, nieuczciwych, ale pomysłowych sposobów wzbogacania się. Była więc to podwójna moralność, w tym prymitywnym kraju podobna jednak do podwójnej moralności świata kapitalistycznego.

Pewnego razu gospodarz nasz opowiadał nam przy herbacie o swoim znajomym, który zrobił majątek na futrach czy

tłuszczach, sposobem niewątpliwie nieprawym, co zresztą sam zaznaczył. Żona jego zaoponowała przeciw określeniu, jakiego użył, a kiedy mój mąż podniósł tę kwestję i zapytał: „Czyż te nie było poprostu złodziejstwo?“, odparła z finezyjnym uśmiechem: „To nie jest złodziejstwo, a tylko zręczność, bystrość rąk“ („eto nie worowstwó, a tolko ruk proworstwo...“). Filozofja ta nie przeszkadzała staruszce być bardzo bogobojną, uczęszczać do cerkwi i nieraz surowo sądzić innych.

Gospodarz nasz ujął nas odrazu wielką bystrością umysłu, wybitną inteligencją, a przytem prostotą. Miał niewątpliwie syntetyczny umysł, lubił wyrabiać sobie jasny sąd o każdym zjawisku. Przyglądał się nam; mnie widywał przeważnie w łóżku, a jeżeli nawet byłam na spacerze — zastanawiał go widok mojej bladej, wychudzonej twarzy z niezdrowemi wypiekami. Mąż mój zaś był, jak mówił gospodarz, zuch na schwał, wysoki, zdrowy, silny, wesoly, zaradny. Podziwiał, że się wciąż chce krzątać koło naszego mieszkania i koło wygod dla mnie, że kupuje co można lepszego do jedzenia, interesuje się najdrobniejszą rzeczą.

Gospodarz obserwował to wszystko i wreszcie nie wytrzymał. Przyszedł do nas pewnego ranka, usiadł i długo siedział milcząc. Wreszcie mąż mój, którego znudził ten milczący, a obecny gość, zapytał, czego chce. Gospodarz uśmiechnął się i powiedział wstydliwie, że chciałby otrzymać wyjaśnienie pewnej kwestji. „Powiedzcie, Józefie Antonowiczu“, zagadnął mego męża, „czy tam w Rosji dla was bab nie starczyło, że się wam chciało pętać aż tu za tą jedną — i chorą — i wcale nie-szczególną — taką, jak każda?...“

Mąż mój śmiał się, a ja zdumiewałam się trzeźwej słuszności tego poglądu. Nie chcąc mnie jednak urazić, gospodarz wyjaśnił mi, że nawet mogłabym być niczego, gdyby nie choroba; ale tak jak jest, chłop mógłby sobie pójść odemnie;

dodał przytem, patrząc na męża ze współczuciem, że nie znajdzie się dużo takich, co by chcieli przyjeżdżać za żonami. „Rzadkie to ptaki“, — mówił — „bo i po co? Baby, wiadomo, często suną za swemi chłopami, bo to albo już ciężarna — inny nie chce wziąć, albo z dziećmi, to też innego durnia nie łatwo znajdzie; albo — całkiem już popsuta, „nikudyszniaja“! (do niczego). Wyobrażam sobie, że i mnie określał tem samem słowem: „nikudyszniaja“.

Gospodarz nasz miał duży domek, parter złożony z dwu mieszkań i piętro. To ostatnie zamieszkiwał sam z rodziną, parter oddawał zesłańcom. Wynajęliśmy mieszkanie z trzech pokoi z kuchnią, oczywiście — były to małe pokoiczki. Mieliśmy więc jadalny, nasz sypialny i pokój Franka Pawluczenki, którego mąż mój ulokował razem z nami. Mąż mój, jak wspomniałam, przywiózł trochę pieniędzy, Franek nie miał grosza przy duszy; mąż mój zaproponował mu taką spółkę: wspólna praca dla domu — wspólna kasa. We wsi Rybnoje spółka ta trwała przez cały czas.

W naszej wsi, jakieśmy przyjechali, było 11 politycznych, osiedlonych tu od krótszego lub dłuższego czasu. Co tygodnia — zdaje się w sobotę — przybywali łodziami nowi zesłańcy, z wyjątkiem 5 miesięcy rocznie, kiedy ustawała wszelka komunikacja ze światem: na wiosnę i jesienią. Przybyliśmy do wsi we wrześniu, więc przed okresem zupełnego zamknięcia od świata przyjęliśmy jeszcze parę partyj zesłańców. Przybywało normalnie 3—4 osoby tygodniowo, ale czasem we wsi Rybnoje żaden nie zostawał i rozpraszali się stąd po całej, wielce rozległej okolicy. Jeżeli wspomnę, że wieś Rybnoje była odległa o 300 wiorst (czyli ponad 300 klm.) od najbliższej stacji kolejowej, stanie się zrozumiałe, iż starczyć mogło miejsca na rozrzucanie zesłanych w znacznych odległościach.

Ekipa politycznych, jaką zastaliśmy we wsi, wyglądała następująco. Najjaskrawszą bodaj sylwetką był ex-katorżnik, eserowiec, gruzin, Chadzi Getojew. Miał podwójne imię i lubił je używać: Chadzi-Omar. Człowiek ten — lat około trzydziestu — miał władcą i narwaną naturę, ostry temperament, niepospolitą energję. Był gdzieś w Rosji na uniwersytecie, którego nie kończył, ze względu na stały i czynny udział w życiu rewolucyjnem. Nie był naogół lubiany przez zesłańców, gdyż żył swoim, zamkniętem życiem, wyodrębnionem od reszty nietylko przez wybitny, wschodni akcent mowy i przez szorstkość i ostrość form obcowania z ludźmi, ale również — przez odrębną kulturę, swoisty układ psychiki i brak tolerancyjności. Miał swoje własne sposoby patrzenia na różne rzeczy i niezależny sąd, który mu bardzo utrudniał podporządkowanie się dominującym w otoczeniu nastrojom i nakazom. Jak dalece człowiek ten pochodził z odrębnego świata, zrozumiałam to raz, gdy mi opowiadał o swem dzieciństwie.

W plemienu, z którego pochodził, panował obyczaj niepospolicie długiego karmienia dzieci przez matkę własną piersią. Opowiadał np. taki moment ze swego dzieciństwa. Odbywał pewnego razu dłuższą wędrówkę pieszą ze swą matką, o której mówił z uwielbieniem, jako o pięknej i dobrej kobiecie. Szli w ciągu paru godzin, a był wielki skwar. Chadzi-Omar był już chłopcem w wieku szkolnym, miał 7—8 lat. Pamięta, że był głodny, chciał pić i, becząc, żądał od matki, by mu dała piersi. Matka jego karmiła w owym czasie dwoje małego rodzeństwa: półroczne i dwuletnie dziecko. Idąc, odwróciła się, wyjęła pierś i, jak pamięta, solidnie nakarmiła go swem mlekiem. Chłopiec był tak duży, że twarz jego znajdowała się już na poziomie piersi wysokiej matki: pamięta, że ssał tę pierś, stojąc na drodze i podnosząc ją sobie do ust, jak filizankę.

Gdy mi to opowiadał, wspomniałam, że podług naukowej literatury przedłużone karmienie piersią może mieć wybitny wpływ na rozwój różnych cech w charakterze dziecka, nie zawsze najkorzystniejszych. Doskonale pamiętam, jak wybałuszył na mnie swe małe, przenikliwe, niebieskawe oczy i jak zaklął: „A co mi tam po waszych naukowych głupstwach! Dobra matka, pyszne było mleko, doskonale nam robiło, wyrastaliśmy na zuchów!...“ Nie dawał przeczyć ani ująć wartości swym rodzimym obyczajom, nawet gdy były, jak w tym wypadku, tak dalece niedorzeczne. Przykład ten, mojem zdaniem, odzwierciedla dość jaskrawo, z jak odrębnej gleby obyczajów, wierzeń i kultury wyrósł ten człowiek.

Getojew tuż przed naszym przyjazdem miał jakieś przejścia z większością towarzyszy; źródło tych przejść tkwiło w jego erotycznych przygodach. W Rybnoje, na zesłaniu administracyjnym, przebywała piękna dziewczyna, eserówka, której już nie zastałam. Dziewczynę tę zdobył sobie — okresowo — Chadzi-Omar. Nie byłoby w tem żadnego powodu do tarć ze „ssyłką“, bo w naszym środowisku nie obowiązywały przecie — i obowiązywać nie mogły — żadne mieszczańskie sankcje stosunków miłosnych, płciowych czy małżeńskich. Ale Chadzi, jak zawsze, musiał drażniąco wyróżnić się swojemi sposobami brania się do rzeczy, a więc np. tem, że pierwszą swą wizytę uskutecznił podobno przez okno. Słyszałam potem dużo zarzutów w stosunku do Getojewa w związku z tym romansem. Ale gdy się przekonałam w późniejszych etapach życia w Syberji, że dziewczyna owa, typ mocny, piękny, zaborczy, pod żadnym względem nie była i nie mogła być niczyją „ofiarą“, — zrozumiałam, iż cały splot uprzedzeń na tem tle do Getojewa zbudowany został na podłożu wzmiankowanej obecności psychicznej dwu stron — jego i większości zesłańców.

Prócz Getojewa bliższy kontakt mieliśmy (dzięki mieszka-

niu obok, u tegoż gospodarza), z małżeństwem Iszmajewych, zesłanych administracyjnie w związku z jakąś sprawą eserowską. On nazywał się Nikita, ona—Mariusia. Ona była ładniutką, duchowo subtelną, o entuzjastycznej psychice rewolucjonistki, kobietą, on — ograniczonym, szpetnym fizycznie, tępym osobnikiem. Takie małżeństwa, u natur długo nierozbudzonych zmysłowo, jak Mariusia Iszmajewa, wynikały nieraz na podłożu egzaltacji i idealizowania sobie przez kobiety udziału danego mężczyzny w sprawach rewolucyjnych.

Nic prócz nieporozumienia nie łączyło Marusi z Iszmajewym i rzeczywiście — małżeństwo ich nie wytrzymało nawet rocznej próby, bo Mariusę odebrał Iszmajewowi milczący, ale zdecydowany, dużo wartościowszy człowiek, Aleksander Załużnyj, w którym zakochała się Mariusia. Pewien drobny fakt, z którym wypadło nam się zetknąć osobiście — mianowicie, zabiegi Iszmajewa u „władz“, żeby mu przemocą zwrócono Mariusę, jako „ślubną“ żonę, — dostatecznie kwalifikuje jego wartość moralną. Zabiegi te zresztą udało się nam (na syberyjskiem tle większej prawdziwości stosunków ludzkich)— pomyślnie udaremnić.

U Iszmajewych, ponieważ mieli obszerniejszą izbę, odbywały się nasze zebrania. Iszmajew był bardzo krzykliwy i awanturniczego usposobienia, Mariusia łagodna, o sercu otwartem dla ludzi naościęż.

Prócz tej pary mieliśmy w Rybnem jeszcze drugą. Był to socjal-demokrata Jermołowicz z żoną, która mu z wolnej stopy towarzyszyła na zesłanie. Jermołowicz — w tej parze — był czynnikiem refleksji, spokoju, skupienia. Był to bardzo sympatyczny człowiek i, zdaje się, poważny działacz partyjny. Tak można było sądzić po opinji, jaką mieli o nim przyjeżdżający do nas katorżanie i zesłańcy z więzień, w których przebywał. Na zesłaniu odrazu sklecił sobie warsztat stolarski

i wziął się do robienia potrzebnych mebli. Mąż mój pracował z nim w tym warsztacie w tym czasie i bardzo Jermołowicza chwalił.

P. Jermołowiczowa, Anna, była babiną, jakich wiele na terenie partij politycznych. Mianowicie cała wyżywała się bez reszty w gadulstwie. Umiała tem gadaniem zjednywać sobie wielu ludzi, gdyż mężczyźni i kobiety, ludzie ideowi i nieideowi, bardzo często lubią plotkować (po rosyjsku: „posuda-czit“). P. Anna wiedziała zawsze najwięcej o wszystkich towarzyszach i nawet o takich, którzy z nią nie zamienili ani jednego słowa. Pierwsza uwijała się na brzegu, kiedy przybywały łodzie; umiała nawiązać takie kontakty jak np. z Burcewym. I kiedy ten jechał przez Rybnoje, potrafiła go całkowicie sobie przywłaszczyć: „obiad, kolację, pogadankę — wszystko u nas!“... Może p. Anna była bardzo dobrym człowiekiem, ale robiła wrażenie nieskonsolidowanej psychicznie przez te wszystkie gadaniny i plotkarstwo.

Nigdy nie zapomnę, jak zajęcie jej w ciężę stało się przedmiotem zainteresowań całej naszej gromady, a to wyłącznie dzięki jej gadulstwu: opowiadano, jak to p. Anna przeżywa; nie może nic wzięść do ust; że pobudliwość jej idzie tak daleko, iż dość łyżeczki wody, dosłownie — łyżeczki wody! ażeby wywołać wymioty... Pamiętam, że słuchałam o tem z prawdziwym przerażeniem: jak może człowiek tak siebie obnażać wśród ludzi w najbardziej osobistych przeżyciach?

Z socjal-demokratów mieszkał wtedy w Rybnem jeszcze jeden poważny i bardzo wartościowy człowiek, na imię mu było Chrystjan, nazwisko — zdaje się — Bałman. Był to Łotysz, ex-katorżnik. Twardy jak to Łotysze, a w dobroci swej poprostu chrystusowo — dobry i łagodny. Człowiek ten promienio-wał swą osobą na całe swe otoczenie. W końcu naszego pobytu zbliżył się on z młodą dziewczyną, żydówką, imieniem Berta,

również socjal-demokratką, zesłaną administracyjnie z Kijowa, Była to jedna z dziewczyn, które dzieliły ze mną etap. I Bałman i Berta byli nieładni, ale oboje kryli w sobie wielkie skarby wewnętrznej wartości. Ona była wówczas jeszcze raczej dzieckiem, jakkolwiek życie jej uprzednio nie było też łatwe: była dzieckiem robotniczym i w Rybnem zarabiała szyciem u zamożniejszych spośród zesłańców i u gospodarzy. Przez dłuższy czas mieszkała w zbiorowym mieszkaniu z paczką zesłańców, tam poznał i polubił tę cichą, bezpretensjonalną dziewczynę Bałman.

Prócz wymienionych już osób w Rybnem zamieszkiwało od dłuższego już czasu (od roku może, lub paru lat) trzech eserowców, dokoła których snuła się pewna intryga. Byli to exkatorżnicy, po długoletniej katordze, którą odbywali razem w jednym z więzień środkowej Rosji. Nazywali się Wasiljew, Nikołajew i Piotr Iwanowicz (nazwiska zapomniałam). Kiedy przybyli do wsi Rybnoje, nie było tu nikogo z politycznych. W poszukiwaniu jakiegoś zarobku zaangażowali się do śpiewania w chórze cerkiewnym, ponieważ wszyscy trzej mieli ładne głosy: Piotr Iwanowicz — bas, tamci dwaj — tenory. Wasiljew, ładny chłop, zawiązał przy tej sposobności romans z synowicą naszego późniejszego gospodarza i w związku z tem żył bliżej z miejscową ludnością. Podobno Iszmajew, po przyjeździe do wsi, uznał to śpiewanie w cerkwi za niedopuszczalne dla politycznych. Jak potrafił urobić tych, co przybywali po nim i jak stąd mogło dojść do powzięcia decyzji bojkotu tych trzech politycznych — trudno to pojąć w oderwaniu od specyficznej atmosfery i warunków życia na zesłaniu.

Byliśmy wszyscy nadnaturalnie drażliwi i wrażliwi na kwestje naszej godności, jako politycznych, jako socjalistów i rewolucjonistów. Młodszy z nas, lub ci, którzy w katorgach przechodzili niepospolite udręki, zajmowali często stanowisko, wy-

kluczające wszelką tolerancję. Bardzo często przytem wkraczano w rzeczy całkiem osobiste i intymne. Miałam sama dobrą tego próbkę jeszcze w czasie etapu. Odbywaliśmy już podróż razem z moim mężem, pod ochroną strażników i wypadło nocować po różnych wsiach. Odrazu przy pierwszym noclegu mąż mój zatroszczył się o odrębną gospodę dla mnie i dla siebie, co zdawało się być aż nadto usprawiedliwione naszą dwuletnią rozłąką, jego dwumiesięczną podróżą za mną i faktem naszego małżeństwa. A tymczasem pamiętam doskonale, że sama wahałam się, czy aby wypada nam oddzielić się; sytuacja natomiast stała się zupełnie skomplikowana, gdy trzech towarzysze zjawili się do mnie, proponując mi połączyć się z nimi i nocować jednak we wspólnej gospodzie. Napomknęli przytem, że takie izolowanie się nie może być przez nich mile widziane i że taka inicjatywa mego męża nie usposobi do niego życzliwie... Śmiać mi się chce, gdy dziś wspominam, że było to dla mnie poważnem zmartwieniem! Szczęśliwy traf zdarzył, że wśród towarzyszy był wówczas starszy, poważny człowiek, nazwiskiem Judin, eserowiec, który gdy tylko dowiedział się o przedmiocie objekcyj, wziął nas całkiem stanowczo w obronę. Powiedział poprostu, że niedopuszczalne jest robić wstręty w takim wypadku, gdy niema nic naturalniejszego nad naszą chęć spędzenia kilku godzin w samotności; dodał zjadliwie, że gdyby mąż mój nie zdradzał wcale tej chęci, no — to wtedy towarzysze moi mogliby być o mnie niespokojni...

Dość, że w zatargu ze śpiewakami Iszmajew przeszedł spokojnie nad faktem, iż dwaj z tych trzech towarzyszy byli ludźmi wierzącymi i przeprowadził bojkot.

Gdyśmy przybyli do wsi, trzech śpiewacy byli już tak izolowani, że się z nimi nikt nie komunikował. Stali na brzegu w oddali, nie zbliżając się do nowych towarzyszy, a wyglądając tylko, czy nie przybędzie ktoś bliski i drogi, z towarzyszy

z katorgi. Izolowana grupka trzech mężczyzn, o wybitnym wyglądzie politycznych, odrazu zwróciła moją uwagę i zapytałam, kto to jest, dlaczego nie podchodzą. Odpowiedziano mi niewyraźnie, ale tak, że można było przypuszczać o tych ludziach rzeczy najgorsze. Nie wyobrażam już sobie dziś, jak się to dziać mogło, że ludzie prawi, jak Getojew, szlachetni jak Bałman, mogli przechodzić nad taką krzywdą ludzką.

Trzej śpiewacy byli przyczyną pierwszej utarczki mego męża z „ssyłką“. Wziął ich bowiem w obronę bardzo zdecydowanie. Na pierwszym bodaj zebraniu politycznych została postawiona pod obrady ta kwestja. Proponował wezwać tych towarzyszy i porozumieć się z nimi. Na to Iszmajew odparł, że oni nie chcą z nikim gadać ani żyć z nami, jakkolwiek nie śpiewają już nawet w cerkwi, bo poznajdowali inne sposoby zarobku. I ten fakt — że nie chcą gadać — był stawiany w formie zarzutu tym trzem, tak bardzo pokrzywdzonym ludziom! Mąż mój nastawał, żebyśmy jednak mówili o całej sprawie, podjął się ściągnąć śpiewaków na zebranie i rzeczywiście po chwili ich przyprowadził. Był to przykry moment. Weszli, powiedzieli ogólne „witajcie“, nikomu nie podali ręki, usiedli przy sobie. Mieli twarze zacięte, pełne urazy.

Poddaliśmy w ich obecności całą rzecz dyskusji. Jakkolwiek większość z nas miała do kościoła, jako społecznego zjawiska, stosunek zdecydowanie negatywny i czasem wrogi, jednak słusność przeforsowanego przez Iszmajewa bojkotu nie mogła wytrzymać próby zdrowego rozsądku i światła swobodnej wymiany myśli. Bojkot zdjęto, towarzysze zyskali dostęp do środowiska politycznego. Dwaj twardsi i zawzięci, Wasiljew i Nikołajew, zmiękli odrazu, a Piotr Iwanowicz, łagodny i miękki z natury, miłośnik przyrody i filozof, długo nie mógł zapomnieć i darować swej krzywdy: musiał więc w nim powstać głęboki uraz.

Zżyliśmy się później bliżej z tymi towarzyszami, Wasiljew nie był człowiekiem jakiejś większej wartości, jakkolwiek całą katorgę odsiedział w doskonałej formie, jakieśmy się potem dowiedzieli od towarzyszy z katorgi. Był to raczej pustak, „krasnobaj“, przystojny, kędzierzawy mężczyzna, żądny wesołych i lekkich przeżyć. Sybiraczka, z którą się ożenił, starsza od niego, nieładna, napewno nie miała z nim słodkiego życia.

Nikołajew natomiast i Piotr Iwanowicz byli to ludzie o dużych zasobach wartości duchowej i bardzo pod każdym względem przyzwoici. Nikołajew był trochę poetę, układał rzewne wiersze i lubił je śpiewać. Był muzykalny, lecz głos miał słaby i mało dźwięczny. Był to człowiek zwarty w sobie, organicznie niezdolny do popełnienia żadnego czynu nieetycznego, a probierzem etyczności postępków było dla niego zawsze kryterjum społeczne: żeby nikomu nie wyrządzić krzywdy.

Człowiek ten, delikatny, uprzedzający, gładki, był kochany przez sybiraczki, które się wyprzedzały w kunsztach kulinarni lokalnej, ubiegając się o Nikołajewa zapomocą znakomitych „kulebiak“ (pierogów).

Piotr Iwanowicz, jak już wspomniałam, był z nich najbardziej odrębny: żył z przyrodą, kochał las, zimno, mróz; miał swoje tajemnicze z syberyjską naturą konszachty. Sam i na długo wychodził do tajgi na polowania, a kiedy wracał, milczał jeszcze bardziej zawzięcie, a wiedział — tą ukrytą wiedzą na własny użytek — jakby jeszcze więcej. Był to mistyk, typowy Rosjanin, człowiek, który, oprócz z naturą, obcował także, jak mówił, z Bogiem.

Na usprawiedliwienie omyłek, jakie wyprawialiśmy na zesłaniu, naszych tarć, kłótni i t. p., muszę podnieść, że prawdę życie tam było straszliwie ciężkie. Nie chodzi mi na-

wet o okoliczność biedy, o trudności wyżywienia, których oświadczenie nie doznałam, gdyż mąż zabezpieczył mnie od niedostatku przez cały czas zesłania. W Rybnem zresztą nikt z politycznych nie głodował: pracowali u miejscowych gospodarzy, zarabiali przy spławie drzewa, sprzedawali upolowaną zwierzynę. Chłopi, jak wspomniałam, w większości wypadków zamożni gospodarze, przyjmowali chętnie usługi i pomoc wzamian za utrzymanie, zdrowe i dostatnie. Nie tyle więc bieda, ile okropny brak wrażeń, przeżyć, faktów, wypadków w naszym życiu, straszliwe oderwanie od wszystkiego tego, czem żyliśmy przed więzieniem, od ruchu, pracy i walki, od roboty myśli, ćwiczeń woli, to wszystko wytwarzało atmosferę, sprzyjającą grzebaniu się w drobiazgach, podpatrywaniu odruchów cudzej duszy, podejrzliwości, zazdrości i wszelkim podobnym utrapieniom.

Jak wielkie było to nasze oderwanie od świata, przekonałam się w jakie pół roku po przyjeździe do wsi Rybnoje. Angara, cudna, przepiękna rzeka, przez te pół roku nie doprowadzała do nas nic poza rzadkimi łódkami z transportem nowych towarzyszy lub z jakąś postacią handlu. Ale razu pewnego zobaczono zrana przy brzegu rzecz niezwykłą: statek!

Leżałam jeszcze w łóżku, kiedy nam o tem powiedziano. Jakiś statek przyszedł do wsi, lub też, mijając ją, zatrzymał się. (Nie mogę sobie teraz uprzytomnić, czy Rybnoje mogło być po drodze jakiejś dalszej podróży).

Ubraliśmy się błyskawicznie i dopadliśmy brzegu. Tak, przy brzegu stał mały, malowany biało, kształtny statek.

Doznałam bardzo dziwnego wrażenia: strach, niechęć przyjęcia do świadomości tego niezwykłego faktu, wiążącego nas ze światem, z normalnem życiem; nieufność. Mąż proponował mi zbliżyć się do statku i angielskich marynarzy, którzy

byli widoczni na malutkim pokładzie, ale odrzuciłam tę propozycję z jakimś dziwnym, wewnętrznie uzasadnionem, kurczeniem się w sobie: poco mi tam iść? co mam z nimi wspólnego? Mąż mój jednak przedostał się zaraz na statek: odczuwał jeszcze normalnie: chęć zetknięcia się z normalnym światem. Stojąc na brzegu i czekając aż on wróci, rozmyślałam nad tem, jak musi być ciężko temu wolnemu człowiekowi, przed którym cały świat stał otworem, siedzieć tu ze mną, z nami na tem zesłaniu, w tej zakazanej dziurze, w beznadziejnym oderwaniu od wszystkiego, co wykracza poza fizjologiczne czynności człowieka. Ja natomiast, ja sama, czułam na sobie jakby szklaną skorupę, dokładnie osłaniającą i izolującą od styczności ze światem.

Mąż niebawem wrócił, oficer na statku mówił po francusku; był bardzo uprzejmy; prosił, żebyśmy pod wieczór odwiedzili go oboje; statek odjedzie jutro. Postanowiłam pójść wieczorem na statek i poszliśmy. Jakże niesamowite wrażenie odniosłam na widok lamp, umywalni, małej jadalni ze świeżą bielizną na stole; rozmowy z ludźmi, którzy mogli kursować swobodnie po świecie, tak jak im się chciało. Wizyta trwała może dwadzieścia minut, ale gdy zeszliśmy na brzeg i wróciliśmy do domu, czułam się zupełnie wyczerpana nadmiarem tych niepospolitych wrażeń!

Takie było życie. Gazety, listy wiosną i jesienią przestawały nas dochodzić; trwało to więc przez okres czterech — pięciu miesięcy, kiedy nie było do nas żadnej drogi; wylewały rzeki. Wtedy — przez miesiące jak w więzieniu, musieliśmy żyć myślami. Zdrowsi wychodzili do lasu, polowali; dla kobiet, a szczególnie — dla chorych — i to było niedostępne. Poza tą przerwą w komunikacji mogliśmy otrzymywać listy i pisma. Ale — trzeba przyznać — i nasi bliscy przeważnie traktowali nas jako odciętych, przynajmniej czasowo — od

życia i świata. Na pisma zaś było zamało środków. Ja od najbliższych — od rodziców — nie otrzymywałam nic, bo był to wciąż okres wojny i listy z Krakowa do nas nie dochodziły, albo wędrowały, naokoło, blisko rok...

Oczywiście, klasyczne i nieraz opisywane w różnych wspomnieniach spory pomiędzy socjal-demokratami i socjal-rewo-lucjonistami, nie kończące się spory o słuszności filozoficz-nego uzasadnienia programu, o metodach oddziaływania na masy, o środkach walki z przemocą — należały do repertuaru intelektualnego życia zesłańców, a czasem, dzięki ubóstwu materiałów, zasycających normalnie życie intelektualne ludzi, przybierały charakter sportu, jakichś rytualnych ćwiczeń, apriorystycznie ustawiających przeciwników na odmierzone pozycje, mające niekiedy pozory wręcz teatralnych dekoracyj. Przypominałam sobie wtedy zawsze eserówkę - katorżankę Ewę Falkner, która zwykła mawiać o niektórych socjaldemo-kratach, że nawet do obiadu nie usiądą bez wezwania na po-moc dziejowego materjalizmu.

W pierwszym roku zesłania, w Rybnem, przeżyłam pozatem miesiąc zupełnej izolacji od większości towarzyszy. Bowiem i mąż mój, zawdzięczając tupetowi tegoż Iszmajewa, był w ciągu miesiąca pod bojkotem; wtenczas ja, jakkolwiek mnie bojkot nie dotyczył, wołałam dzielić z nim tę izolację.

Sprawa bojkotu, włożonego na mego męża, charakte-rzuje warunki naszego życia na zesłaniu równie jak bojkot katorżników - śpiewaków,

Było to tak. Jeszcze w Kijowie, przed wyjazdem na Syberję, wiedziałam, że mąż mój czynił starania o pozwolenie na ślub ze mną. Nigdy nie odznaczał się gadulstwem, więc nie wie-działam wcale, jak i gdzie robił te starania; ponieważ były bezskuteczne, nie wtajemniczał mnie w szczegóły. Raz jeden, na widzeniu, mąż mój poruszył ze mną ten temat, wzmianku-

jąc, że pozwolenie na ślub napewno byłoby udzielone, gdybym sama o to prosiła; ale zaznaczył, że nawet mnie o to nie prosi, gdyż musiałabym pisać podanie z prośbą do cesarza; przypuszcza zaś, że nie zechcę tego zrobić. Oczywiście, było to wykluczone. Próbował mię zlekka przekonywać, że nie można utożsamiać podania tej treści z podaniem do cesarza o ułaskawienie, co bywało uważane za nieodwołalne pohańbienie godności rewolucjonisty. Odpowiedziałam na to, że jednak w żadnej sprawie i o nic cesarza prosić nie będę i na tem rozmowa się urwała.

Nie wiedziałam, że mąż mój, nie chcąc nic sobie wyrzucać, posłał był cesarzowi takie podanie w swoim imieniu, z prośbą o pozwolenie na ślub ze mną. Nie wspomniał mi wtedy nic o tem, nie spodziewając się zresztą przychyłnej odpowiedzi.

Już na zesłaniu, pewnego wieczora, poszliśmy we dwójkę na spacer zamarzną rzeką. Tak się jakoś złożyło, że rozmawialiśmy o naszym życiu, o perspektywach na przyszłość. Ja — obawiałam się trwania na zesłaniu, widząc, że marniejemy wszyscy w oderwaniu od treści życia. Mąż mój był przeciwny wszelkim próbom ucieczki, bo uważał, że stan mego zdrowia udaremni każdą taką próbę, a nadto może narazić mnie na przeniesienie do innej, może mniej zdrowej, miejscowości; na zasądzenie na kilka lat katongi. Mówiliśmy też o życiu wśród towarzyszy, mąż zarzucał nam, politycznym zesłańcom, dużo dziwactw, przesady, pozy, nieszczerości względem samych siebie. Trudno mi sądzić, w jakiej mierze zarzuty te były słuszne. Byłam głęboko zrosnięta z towarzyszami mocną więzią solidarności.

W trakcie rozmowy mąż mój powiedział mi o tem swoim podaniu. Uderzyło to mnie bardzo boleśnie. „Jako?! prosi-

leś cesarza?! O takie głupstwo, bez którego możemy żyć?! Dlaczegoś to zrobił?”

Pamiętam, że odpowiedział bardzo logicznie: „Ale przecież to nie ty, tylko ja, człowiek wolny; mogę porozumiewać się z każdą instancją w państwie, w którym mieszkam i z którym mam normalne stosunki!” Nie otrzeźwiło mnie bynajmniej to logiczne tłumaczenie. Może przeczuwałam, że o to posunięcie, nikomu niepotrzebne, będę miała tyle przykrości; a może poprostu — uwierały mnie, bolały i paliły wszystkie „kanty” moich więziennych, etapowych, aresztanckich walk, cierpienie i przeżyć i nie mogłam zdobyć się na objektywizm sądu.

Ażeby tu uwydatnić, jak dalece inaczej, niż wolni ludzie, reagowaliśmy na wszystko, wspomnę, że przykrość, jaką odczułam i zdenerwowanie, stąd powstałe, dosięgły naprawdę niebywałych rozmiarów: nie mówiłam już nic do męża, ale szłam przed siebie, dalej, w noc, w głąb rzeki, tak jakbym chciała uciec od niego i od wizji tego „normalnego” życia, jakie przedemną roztaczał swymi słowami: „Przecież — możemy mieć dziecko, przecie — nie chcę mieć sobie nic do wyrzucenia, chociażby wobec twoich rodziców, przecież — musiałem myśleć o tem, żeby cię zabezpieczyć, dosyć się nacierpiałas...”

Dobre te i szlachetne słowa tego wyjątkowo szlachetnego człowieka odbijały, jak piłka, od mego mózgu i serca. Szłam dalej — całkiem obca... i zatrzymałam się dopiero wtedy, gdy do uszu moich dobiegł nagle — jęk... Stałam, odwróciłam się. „Odchodzisz odemnie?” powiedział z bólem, „ale—gdzie pójdziesz? taka chora, wymęczona... Kto z nich potrafi wyprowadzić cię z tej choroby; wyciągnąć stąd...”

Otrzeźwiła mię wielka, bezpretensjonalna, głęboka szlachetność tego człowieka: swoją własną osobę — w tej całej grze

nie brał zupełnie w rachubę... Nagle spostrzegłam, że istotnie brnę w noc, w śnieg, w głąb rzeki, a przytem, że krzywdzę najlepszego przyjaciela — istotnie bez żadnej racji. Zawróciłam ze słowami: „Cóż robić... Trudno mi przestać być sobą... moja skóra więzienna jest już moją naturą... Szkoda żeś to zrobił, ale — głupstwo... Wracajmy do domu i nie mówmy już o tem!...“

Niestety, nie była to bynajmniej skończona sprawa. Po jakimś czasie męża wywołano do gminy i zakomunikowano mu, że przysłała odmowa z cesarskiej kancelarji na jego podanie. W czasie zaś kiedy mąż tam był, któryś z towarzyszy wstąpił tam również i słyszał rozmowę. Możliwość sprawdzenia, jakie, w jakiej sprawie i jakiej treści było to podanie, oczywiście istniała i jak się okazało, Iszmajew, który nadbiegł tam zaraz, dokładnie poinformował się o wszystkim. Wiedzieliśmy od Getojewa, bo ten przybiegł od razu do nas, iż Iszmajew zwołuje zaraz zebranie wszystkich politycznych; mnie zakazał wołać, bo ma być tam sprawa „wysoczajsznika“ Grabianki... Zaniemówiłam z oburzenia: „wysoczajsznikami“ nazywaliśmy pogardliwie tych spośród nas, ludzi pozbawionych praw, którzy składali „na wysoczajszeje imia“ prośbę o ułaskawienie.

Mąż mój nie był zesłańcem ani pozbawionym praw, o żadne ułaskawienie nie prosił, miał prawo pisać do kogo chciał. Rozumiałam, że samo stawianie kwestji w ten sposób było nadużyciem: Iszmajew wykorzystywał tu sposobność dla osobistych porachunków z człowiekiem, którego nie znosił.

Getojew namawiał mnie, żebym poszła koniecznie na zebranie, ale elementarna godność ludzka nie pozwoliła mi iść: zresztą, liczyłam na rozum i uczciwość tylu towarzyszy.

Tymczasem — bojkot przeszedł większością jednego głosu: Getojew, Bałman, Marusia Iszmajewa, jeszcze i inni —

głosowali przeciw. Ale Iszmajew pozyskał głosy kilku zesłańców z okolicznych wsi, przygodnie zatrzymanych w Rybnem i młodzieży administracyjnie zesłanej, nad którą w tym krótkim okresie przewodził. W godzinę po zebraniu zjawił się sam u nas w mieszkaniu, zostawiając z triumfalnym gestem na stole oznajmienie o bojkocie mego męża, z zaznaczeniem, że mnie bojkot nie dotyczy...

Nie mogę sobie darować, że nie umiałam przyjąć tej przykrości z zupełnym stoicyzmem. Pobiegłam do Bałmana, którego uważałam za najsolidniejszego z rybneńskiej ekipy zesłańców. Zastałam go w domu. Przyjął mię z niezwykłą serdecznością, był prawdziwie zmartwiony. Nawet się rozplakałam pod wrażeniem jego serdeczności. Tłumaczył, że robił co mógł, by nie dopuścić do tego kroku, że uważa to za wielki błąd i głupstwo; że będzie działał, ażeby to odwołać...

Na swe usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że uspokoiliam się natychmiast i zupełnie odizolowałam od wszystkich. Przychodził do nas w dalszym ciągu Getojew, trzech śpiewacy; później i Marusia, która jednocześnie z rąk tegoż Iszmajewa przeszła wspomniane już ciągi moralne. My wychodziliśmy tylko na brzeg, na wypadek, że przybędzie ktoś znajomy. Ale w tym samym czasie zdaleka przyjechał odwiedzić mnie mój towarzysz ze sprawy sądowej, Grzegorz Smolianskij, który nie miał wówczas na Syberji bliższego nademnie człowieka. Temu opowiedziałam wszystko i on ocenił to jako głupstwo. Ponieważ widział się i z Jermołowiczem i z Bałmanem i innymi poważnymi zesłańcami, więc może i jego opinia wywarła pewien wpływ. Potem jakoś przybyli nowi osiedleńcy, którzy — przez jakieś tam związki więzienne — nie życzyli sobie gościny u nikogo, z wyjątkiem u mnie. Przybyli też w międzyczasie zasłużeni katorżanie, towarzysze ongi bojkotowanych śpiewaków, ci przyszli odrazu do nas, dziękując memu

mężowi za obronę ich przyjaciół. Z Iszmajewym zaś, który przybiegł „odebrać“ nam tych gości — nie chcieli wogóle gadać, określając całe jego zachowanie na zesłaniu jako smarkarterję i łobuzerkę.

Zapewne — wszystko to razem sprawiło, że przed upływem miesiąca, wyznaczonego jako okres trwania bojkotu mego męża, ten sam Iszmajew przybiegł z papierkiem, odwołującym bojkot.

Ale bądź co bądź — wszystkie takie rzeczy były możliwe i istniały!

Jak już wspomniałam, wieś Rybnoje składała się z dziesięciu gospodarstw. Zapomniałam dodać, że był też jeszcze, w charakterze przedstawiciela potężnej władzy, strażnik. Do jego obowiązków należała „opieka“ nad rozproszonemi po gospodarstwach osiedleńcami. Nasz rybneński strażnik był bardzo głupi. Dozór swój ograniczał do zaglądania wieczorami w nasze okna, niby sprawdzając nas. Teoretycznie miał prawo do następowania nam na każdym kroku na pięty, przymuszenia nas do meldowania się i t. p. Nie bardzo sobie dawał, biedaczysko, radę ze swemi prawami, obowiązkami i ich wykonywaniem. Wiedział tylko napewno i twardo, że wszyscy jesteśmy „wrogiem wewnętrznym“; myślę, że to sobie wyobrażał jako wielkie, zbiorowe, szkodliwe ciało.

Nasze uprawnienia sprowadzały się, teoretycznie, niemal do zera. Bo np. nie wolno nam było wyjść poza granice wsi Rybnoje i chłopcy, odchodząc o parę kroków do lasu na polowanie, musieli o to prosić strażnika i umawiać się z nim co do czasu powrotu. Rzecz inna, że de facto taki strażnik nie mógłby nikomu z nas przeszkodzić w tem pierwszym stadjum ucieczki, które polegało na opuszczeniu wsi: zajęty własnymi sprawami, sam jeden wobec nas kilkunastu, głupi i ciemny wobec sprytnych i przemyślnych ludzi, jakimi bardzo często

bywali osiedleńcy, nie mógł tu nic poradzić ani upilnować. Ale zesłańcy rzadko uciekali z takich ośrodków jak Rybnoje. Trzeba było mieć znacznieszą sumę pieniędzy, ażeby przedostać się z takiej odległości do stacji kolejowej, zbaczać z drogi, przechowywać się u chłopów podczas ewentualnego pościgu, przebierać i t. p. Raczej, po odsiedzeniu pewnego czasu w takim Rybnem, osiedleńiec starał się uzyskać prawo przeniesienia się do ośrodka, zbliżonego do kolei, — wogóle do miejsca, skąd ucieczka dałaby się wykonać z mniejszą stratą sił i środków.

Na czem naogół polegało życie zesłańców w takim Rybnem? Oczywiście — nie mogło być innego życia poza wegetacją. Wegetacją w najbardziej deprimującym, znaczeniu tego słowa.

Ludzie się spotykali, ażeby zamienić ze sobą parę słów. W długim, wspomnianych już okresach, kiedy ustawała wszelka komunikacja, można było mówić tylko o przeszłości, więzieniu, przebytej pracy w konspiracji, bo o rzeczywistości, losach wojny, nastrojach w kraju, nie wiedzieliśmy nic. To były te najcięższe okresy w „ssylce“. W takich okresach niektórzy straszliwie pili.

Zwyczaj, — repertuar wizyt, rozmów, wrażeń, któreśmy wzajemnie wymieniali pomiędzy sobą, niesłychanie szybko się mechanizowały, normalizowały. Miałam takiego towarzysza, nazwiskiem Pawlenkow, eserowca, pochodzącego z nad Wołgi, zdaje mi się — w poprzednim życiu nauczyciela. Ten mieszkał o kilka kilometrów od naszej wsi (zdaje się — o 12 kl.) i przychodził parę razy w tygodniu do nas na herbatę. Jak tylko postać jego, niewielka, o żółtej twarzy, w okularach, wsuwała się na próg mieszkania, wiedzieliśmy, że zapyta: „No co? czy można będzie u was dziś popić herbatki?“ Jeżeli było jakoś weselej lub lżej na duszy, wstawał mój mąż lub ja,

albo nasz współlokator Pawluczenko i zabieraliśmy się do postawienia samowaru. Jeżeli się nikt z nas nie ruszył, zabierał się do tego sam gość. Mieliśmy tylko malutki samowarek na 3 szklanek, posiadający tę zaletę, że w parę minut bywał gotów. Pawlenkow wypijał nieodmiennie trzy takie samowarki, przeważnie — sam. Z 24 szklanek, na które liczył, wypijaliśmy poza nim 3—4. Rozkładał przy tej operacji na kolanach wielki ręcznik, po który zawsze sam chodził do miejsca, gdzie był zawieszony; ręcznikiem tym ocierał sobie dokładnie całą twarz, zdejmując z nosa okulary, — a szczególnie długo i pracowicie czynił to po wypiciu zawartości trzeciego samowaru. Humor mu przytem służył i zawsze niezmiennie mawiał przy końcu: „no, dziękuję wam... Zupełnie wystarczająca porcja!“, przyczem uśmiechał się dobrodusznie. W przerwach zaś pomiędzy szklankami zamienialiśmy zaledwie parę słów: po paru miesiącach wszystko już było tak przegadane, że wzaajem nie mieliśmy już nic z siebie do wyciskania. Był to, dodam, zupełnie inteligentny i myślący człowiek, ale takie było to życie.

Do wspomnień więziennych zresztą nie powracaliśmy chętnie. Były to niewątpliwie często rzeczy obolałe, które się chętnie przykrywało na zesłaniu zapomnieniem, albo przynajmniej — świadomem milczeniem: niech umierają, zatrą się, — ostre, ciężkie przeżycia. Ożywały one i wybuchały ze zdwojoną siłą w dniach, kiedy łódź przywoziła nam nowych towarzyszy... Wtedy, wieczorem, zbierała się wraz z nowymi cała polityczna „ssyłka“: my, kobiety, pietrasiłyśmy ze wspólnych środków jakieś wspaniałe kotlety, lub pieczeń, moc kartofli, kapusty; — dostawialiśmy wódkę; — wygłodzeni „etapnicy“ zajadali, nasi śpiewacy robili dla nich improwizowany koncert, śpiewając i grając na bałałajce, zwykle zapożyczonej od kogoś z miejscowych miłośników muzyki... Czułość

i miłość pomiędzy ludźmi (mężczyznami!) wyrażała się często w takich zewnętrznych przejawach, że ktoś, kto spotkał bliskiego druha z katorgi, przez cały wieczór potrafił przesiadzić z dłonią na jego kolanach, lub obejmując go za plecy, wpatrując się w twarz, w swych rysach i załamach jeszcze pełną więziennych wyrazów, grymasów, bólów i myśli...

Wtedy, jak powiedziałam, panowały tematy więzienne. Towarzysze z więzień przynosili nam wiadomości o więziennych konfliktach, utarczkach z administracją, zdobyczach (rzadkich w tym czasie) i stratach... Przynosili też wiadomości o załamaniach, upadkach, zdradach towarzyszy... Czasem — bywało to zgoła niespodziewane... Tak np. dowiedzieliśmy się, że jeden z byłych katorżan, który wraz z Iszmajewym prowadził specjalną nagonkę przeciw trzem śpiewakom, w więzieniu skompromitował się, wyłamując się z głódówki politycznej i korząc się przed naczelnikiem więzienia... Trzej śpiewacy, którzy, jak się okazało, solidarnie stawali w katordze w każdej akcji zbiorowej, mieli tę silną wolę niewspominania o tym fakcie aż do czasu, jak został wspomniany i stwierdzony przez nową ekipę autorytatywnych towarzyszy z tych wspólnych przeżyć więziennych.

Długo w noc przeżywaliśmy w takie wieczory, powrotną falą, całą skalę przeżyć więziennych...

Niewątpliwie, wspólność naszego, osiedleńców politycznych położenia, była jakby przesłanką, przesądającą o dalszym układzie stosunków. I dalej idąc — pozbawieni praw (liszency), mieliśmy wzajem do siebie bardziej decydujące zaufanie, niż do braci administracyjnie zesłanej, jakkolwiek z wartością ideową, rewolucyjną, ludzką i t. d. bywało nieraz lepiej u administracyjnych niż u liszenców, poddawanych przez długie lata destrukcyjnym wpływom więzienia. Zapewne, ta okoliczność, że mąż mój był wolnym człowiekiem, miał

swobodę ruchu, inne ubranie, inną postawę, świeższy i bliższy kontakt ze światem, wywoływała podświadomą nieufność, stwarzała obcość. Niewątpliwie — w poszczególnych wypadkach nieufność i obcość budziła ta okoliczność, że był polakiem, no i bezwzględnie, to, że pochodził ze szlachty, z ziemiańskiej rodziny. Nic to nie przeczy, że naogół rosjanie doskonale stosowali się do polaków, przyjmujących udział w ruchu rewolucyjnym. Mąż mój, jak wspominałam, tkwił bardzo poważnie w ruchu rewolucyjnym lat — 1905 — 1906, a później, w r. 1919, brał czynny udział w pracach bolszewickiego „Socobiezu“ (Wydziale Opieki Społecznej) w Odesie i w walkach z niemieckimi kolonistami ze wsi pododesskich. Temniemniej — na zesłaniu — jako człowiek wolny, niezależny, odcinał się znacznie od naszego tła „ssylki“ i dopiero rewolucja r. 1917 zniwelowała tę jego odrębność.

Zresztą i w naszym życiu „liszenców“ bywały różne niekonsekwencje... Zdawałoby się np., że nie powinniśmy naprawdę znajdować nic miłego w jakimś obchodzeniu świąt Bożego Narodzenia, jako żeśmy się składali w 90% z ludzi zupełnie niewierzących, a w przeważającej ilości — z ludzi pochodzenia robotniczego, chłopskiego, wogóle — z biedoty, która nie miała nawyknień do rytuałów świąteczno-rodzinych, praktykowanych w wyższych, zamożnych warstwach społeczeństwa. To też gdy przyszły święta Bożego Narodzenia, kryłam się z ogromną chęcią urządzenia sobie choinki, uważając, że będzie to całkiem nie na miejscu. Mąż mój, o intelekcie dużo mniej pryncypjalnym, stanowczo przeforsował, że urządzimy sobie choinkę, wystąpił też z propozycją, że zaprosimy do siebie na choinkę wszystkich towarzyszy: twierdził, że każdy z nich, robotnik, chłop, czy żyd z pochodzenia, z wielką przyjemnością posiedzi sobie przy choince, gdyż to wywoła w każdym jakieś miłe, dzieciinne, wspomnienia. Tak się

też okazało. Przyszli gromadnie, zaproszeni na choinkę, — spędziliśmy ten wieczór nad wyraz mile i wszyscy nam bardzo dziękowali. U ludzi, którzy w dzieciństwie, w domu rodzinnym, miewali do czynienia z ubraną i oświetloną choinką, wywołało to miękkie, wesołe i miłe wspomnienia dzieciństwa, — ci zaś, którzy osobiście nigdy się z tem w życiu nie stykali, orzekli, że stwarza to miły i pogodny nastrój. Opłaciło się tedy sprowadzenie sobie zdaleka choinkowych świeczek i drobiazków. I takie więc bywały wśród nas sprzeczności...

W zimie r. 1916 mąż mój udał się do Irkucka, po przeprowadzonej uprzednio korespondencji z kuzynem Sewerem Grabianką i p. generałową Heleną Karłowiczową, przyjaciółką moich rodziców, która poleciła mu udać się w Irkucku do inżyniera Ignacego Rogali-Sobieszczańskiego z prośbą o pomoc w staraniach o moje przeniesienie. Z podróży tej wynikało później pozwolenie na przeniesienie się moje do wsi Pieriewoz, pod samym Kańskiem: „ambitniejsze“ plany mego męża — na przeciągnięcie mnie do Irkucka, lub co najmniej — do Krasnojarska — spaliły oczywiście na panewce. Nie wątpię, że p. Sobieszczański, który przyjął mego męża i wogóle świadczył co mógł zesłańcom - polakom, miał najlepsze chęci, — ale wcale nie było możliwym uzyskiwanie tak zawrotnych polepszeń w sytuacji osoby, pozbawionej przez sąd wszystkich praw. Wspominam tu o tej podróży dlatego, żeby uwydatnić, jak wielkiem zdarzeniem w życiu naszym była taka podróż.

Przedewszystkiem trwało to około trzech tygodni, obrócić do Irkucka i zpowrotem. Część drogi bowiem — około 700 kl. trzeba było zrobić koźmi. Nie były to przytem „konie“, tylko — koń; mąż mój umówił się odbyć tę podróż z jednym z rybneńskich gospodarzy, mającym sprawy handlowe do nawiązania. Doskonale pamiętam, jak wyglądał powrót. Nie spo-

dziewałam się męża żadnego określonego dnia, bo, oczywiście, o korespondowaniu nie było w tych warunkach mowy. Pewnego wieczoru położyłam się już spać, kiedy mąż przyjechał. Nastraszyłam się, tak był zmieniony! Wychudzony, szerniały, miał odmrożony koniec nosa i brody oraz miejsca w środku policzków. Opowiedział mi, że ostatkiem sił dobrnął już do Rybnego. Mróz dosiędął w tych dniach prawie 50 stopni i potęgował się jeszcze bardziej przez rzadkie w tej części Syberji wiatry. Wieczorami, w nocy, chłód stawał się nie do zniesienia. W nocy też normalnie nie odbywano podróży, z obawy przed zamarznięciem, ale tego dnia mąż pragnął bardzo dotrzeć już do domu i skłonił swego towarzysza podróży, ażeby się zgodził jechać po zachodzie słońca. Jednakże, jak się okazało, był to pomysł całkiem ryzykowny. Koń, marznąc niepospolicie, ledwo się włókł, okryty wszystkim co wogóle można było nań włożyć. Mąż mój — przez ostatnie kilkanaście kilometrów, mijanych już popołudniu i wieczorem, szedł piechotą, gdyż uczuł na wózku, że zasypia i bał się przenieść do wieczności w ten niezauważalny sposób. Pamiętam, że określił wtedy oryginalnie to uczucie zamarzania, zapadania w sen na mrozie, jako słodkawe i straszne. Dużym wysiłkiem woli poderwał się więc z wozu i szedł przy koniu, — bez przekonania jednak, że dojść do celu potrafi. Sybirak, z którym odbywał tę podróż, niezwykle filozoficznie odnosił się do perspektywy zmarznięcia; nie mówił nic, prawie że nie odpowiadał na pytania, a gdy już się zbliżali do Rybnego, nagle z ożywieniem oznajmił, że dużo ludzi zamarza w podobne mrozy, przy dłuższych podróżach i że niema w tem nic dziwnego. A muszę jeszcze dodać, że mąż mój był doskonale ubrany, miał ciepły kozuch, odpowiednie buty, a na głowie futrzaną czapkę z uszami.

Na wiosnę r. 1916 i ja odbyłam długą podróż do wsi Pie-

riewoz, pod Kańskiem. Było to już zapewne koło kwietnia, ale leżały, oczywiście, olbrzymie śniegi i pod śniegiem stała tajga, przez którą wiozły nas sanie. Byłam już zdrowsza, mrozy były w tych dniach niewielkie (czekaliśmy na spadek mrozu), ale pomimo to podróż była bardzo uciążliwa. Temniemniej wrażenie niewypowiedzianego piękna tajgi pod śniegiem wraziło się nazawsze w pamięć. Niestety, nie potrafię słowami oddać tego skomplikowanego czaru, złożonego z posępnej uroczystości nastroju w uśpionej tajdze, ogromnej różnorodności i, nie bacząc na zimę, bujności form, kształtów, powiązań wśród kolosów tajgi.

Wraz z wyjazdem ze wsi Rybnoje skończył się pierwszy i najcięższy etap w moim życiu na zesłaniu.

Ze wsi Pieriewoz wkrótce udało się mi przedostać do samego Kańska, a tam — niedługo już zastała nas rewolucja.

VII. R E W O L U C J A !

W lutym r. 1917 mieszkałam już wraz z mężem w powiatowym mieście Kańsk (Jenisiejskiej gubernji). Dostałam od władz pozwolenie przeniesienia się do Kańska ze wsi Pieriewoz, położonej pod tem miastem. W Kańsku mąż mój dostał lekcje w żeńskim gimnazjum (wykładał matematykę), ja — pracę buchalterki w jednej z aptek. (Przygotowywał mię do tego, całkiem obcego mi fachu, jeden z towarzyszy-zesłańców, z zawodu buchalter). W aptece, prócz mnie, pracował, jako chemik w laboratorjum, gruzin, esdek, również „liszeniec“ — nazwiska jego zapomniałam. Właścicielem apteki był Polak, a raczej — rzymski katalik polskiego pochodzenia: z katolicyzmem miał jeszcze dużo wspólnego, ale z polskością się już mniej afiszował. W moich uszach jednak zdradziła go odrazu wymowa w języku rosyjskim: sztywne, specyficzne wymawianie słów. Był to nijaki człowieczek, ot sobie tchórz i zjadacz chleba. Rzadko zresztą rozmawialiśmy, bo on był w aptecę przy ekspedycji, — my w tylnych pokojach za apteką przy swojej pracy. Mój gruzin, starszy, już, siwawy człowiek o rudawej brodzie i wąsach, o zakrzywionym, krogulczym, czerwonym nosie, rzadko szpetny, dość kostycznego usposobienia, cenił się bardzo zwysoka jako chemik, a poza pracą spędzał czas z gruzinami. Ja — ceniłam siebie, jako buchalter, bardzo nisko, bo istotnie nie miałam o buchalterji ścisłego pojęcia: przy każdej bardziej skomplikowanej pozycji wolałam notować w księgach ołówczkiem, a w domu, korzystając z obecności współlokatora-buchaltera, otrzymywałam decydujące wyjaśnienia, jak mam postąpić; gdy mi się zdarzyło w biurze coś naplątać, kochany Paweł, flegmatyk

z usposobienia, dobry i serdeczny chłop, zawsze mnie poratował.

Tak, bez żadnego dopływu większych wrażeń, ze szczupłą ilością wiadomości ze świata, przeważnie — z nędzą i biedą — upływało życie zesłańców politycznych w Kańsku. Niektórzy nie wytrzymywali tej szarzyzny i jednostajności życia, tembardziej, jeżeli w poprzednich etapach życie było barwne i tem więcej, o ile posiadali większą wrażliwość. Pamiętam dwóch towarzyszy w Kańsku, którzy byli już dawno na zesłaniu, eks-katorżnicy; pracowali w jakichś biurach, ale co pewien okres zapijali się tem rosyjskiem, „śmiertelnem“ piciem. Byli to bardzo sympatyczni i wartościowi ludzie: Sergjusz Popow, eserowiec, Piotr Kuźmin, esdek; w ostatnich miesiącach przed rewolucją przyłączał się do nich również Piotr Iljin, eserowiec, dopiero wypuszczony z katorgi na osiedlenie. Wyglądało to dość straszliwie: zbierali się w mieszkaniu Sieroży Popowa, który miał dwa pokoiczki z kuchenką; tam się zaczynało i tam, po 3—4 dniach, kończyło takie picie. Kończyło się dość smutno, bo jeden lub drugi zapadali już w t. zw. „delirium tremens“: halucynacje, szal, potem długotrwała choroba. Raz trafiłam, nie wiedząc o tem, na taki seans. Miałam interes do któregoś z tych trzech towarzyszy, z którymi doskonale się żyło, bo byli to mili i koleżeńscy ludzie. Długo dzwoniłam, kołatałam do drzwi, nie otwierano mi; — tymczasem rozróżniałam wyraźnie w mieszkaniu jakieś szurganie nogami, cichy śmiech i dziwne mruczenie. To mruczenie szczególnie intrygowało mię: co u licha, kolonja kotów, albo co?

Jednak drzwi otworzyli: był to Popow, który długo się porał z kluczem, a kiedy już drzwi otworzył, usiadł niespodzianie na podłodze i tak siedział, patrząc na mnie oczami, pozbawionemi już wszelkiej barwy i blasku. Próbowałam go namówić do wstania, sądząc w swej naiwności, że mnie rozumie;

zostawiłam go w spokoju, gdyż wydawał jedynie owo dziwne mruczenie, które dochodziło mię z za drzwi. Miałam interes do Kuźmina, ale ten był już całkiem niedostępny, gdyż leżał jak długi na łożku, z twarzą nieprzeniknioną i nic nie mówił. Jedyne Iljin, człowiek na trzeźwo niezwykle dowcipny i „wersalski“, pełen uprzejmości dla kobiet, trzymał się jeszcze jako tako we względnej formie: ten się ze mną (z biedą) rozmówił. Całość tworzyła jeden z obrazków życia przedrewolucyjnego na zesłaniu. Zaznaczę odrazu, że po rewolucji ani Iljina, ani Popowa nie widziałam pijanymi; z Kuźminym, o czym dalej wspomnę, bywało gorzej.

Wiadomości z Rosji w końcu lutego zaczęły wyglądać jakoś dziwnie. Było nas w Kańsku około 40 zesłańców politycznych; — normalnie — otrzymywaliśmy regularnie gazety i listy w dość pokaźnej ilości. W ostatnich dniach lutego poczta przestała nam dopisywać: utknęły gdzieś gazety, nie przychodziły pieniądze; — w listach zaś, które w tych dniach nas doszły, zjawiły się jakieś dziwaczne wzmianki o rozpoczynającej się w stolicy ruchawce. Reklamowaliśmy na pocztę, dlaczego nie dostarczają nam gazet? bezskutecznie! W pierwszych dniach marca — ten i ów dowiedział się przez miejscowe stosunki, że poczta dostała mnóstwo depesz do politycznych: reklamowaliśmy zbiorowo i pojedynczo, urzędnicy bardzo uprzejmie — negowali, nie dawali nic. Nie wiedzieliśmy, nikt z nas nie wiedział (może prócz konfidentów i prowokatorów, których kilkunastu było wśród nas w Syberji), że to już w dn. 26 lutego zaczęła się Wielka Rewolucja Rosyjska.

2-go marca zaczęliśmy się schodzić i rozmawiać o tem, co się musi teraz dziać w Rosji. Mój towarzysz — gruzin z apteki, człowiek przemyślny, miał jakąś drogą wiadomość, że w Rosji dzieją się niestworzone rzeczy, w Dumie, na ulicach stolicy i t. p. 3-go marca, popołudniu, zebraliśmy się wszyscy

w mieszkaniu jednego z towarzyszy, o ile pamiętam, w mieszkaniu młodego esdeka, nazwiskiem Kantor. Był to człowiek małego wzrostu, o ciemnych długich włosach i brodzie, cudownych oczach i uśmiechu, o twarzy prawdziwie chrystusowej. Małe jego mieszkanie było przepełnione ludźmi. Nie pamiętam, czy byli tam ci ludzie, których po paru dniach znaleźliśmy już jako prowokatorów, ale wątpię: ci musieli się już orjentować w sytuacji, położenie ich każdej chwili mogło się stać bardzo niekorzystne. Zresztą w samym Kańsku nie było prowokatora w paczce zesłańców, utrzymujących między sobą żywsze stosunki; okazał się taki śród dawno już osiedlonych.

Pamiętam, że esdecy byli tymi, którzy mieli lepsze informacje o wypadkach w Rosji. Na zebraniu mówiło się, iż rewolucja w Rosji jest już faktem dokonany, że tu na zesłaniu naszym obowiązkiem jest przyłączyć się do ruchu rewolucyjnego, pociągnąć za sobą miejscową ludność i żołnierzy rozkwaterowanego w Kańsku pułku; utworzyć Radę Delegatów Żołnierskich i Robotniczych. Uważaliśmy to — bardzo słusznie — za swój punkt honoru. Już w czasie zebrania przyszedł ktoś i przyniósł wiadomość o wszystkich ważniejszych faktach, o odmowie wojska strzelać do ludu, o roli Dumy, o rezygnacji cesarza; wiadomości zresztą były jeszcze mocno płątane, sprzeczne ze sobą i mętne. Ale fakt, że rewolucja się rozpoczęła — nie ulegał wątpieniu.

Trudno opisać wrażenie, jakie na nas wywarły te wiadomości. Było to wrażenie spadającego na nas szczęścia, niemal odbierającego świadomość. Sprawa osobistej wolności odgrywała w tem drugorzędną rolę: byliśmy przeważnie młodzi. Esdecy forsowali powzięcie rezolucji, która miała być jutro posłana do Petrogradu, do partyj, do robotników; — pamiętam, że eserowcom nie odpowiadało jej brzmienie i miała się już rozwinąć nad tem dyskusja, kiedy nagle roześmiał się ktoś i za-

wołał: „Towarzysze! mili! do stu djabłów! do cholery! czy to nie wszystko jedno wobec faktu rewolucji?!“ Roześmieliśmy się chórem, — prysły czary wczorajszego dnia... Całowaliśmy się wszyscy jeden z drugim, nawet ludzie, którzy się nie lubili: tak jakbyśmy się poznawali całkiem na nowo...

Po tym wybuchu bardzo krótko i rzeczowo załatwiliśmy całą sprawę. Nazajutrz wszyscy mieliśmy się spotkać w określonym miejscu, na placu, — skąd mieliśmy się udać do warsztatów i fabryczek, ażeby zabrać z nich robotników; potem — do koszar, podjąć żołnierzy. Po uformowaniu pochodu, mieliśmy z orkiestrą przejść przez miasto, obwieścić wszystkim mieszkańcom rewolucję, — uformować władze rewolucyjne w postaci rad delegackich i... dalej nie wiedzieliśmy już co: czekać wiadomości z Rosji?

Szczęśliwi i przejęci jutrzejszym dniem, rozeszliśmy się do domów — spać, — przed tem, co jutro wypadnie.

Nazajutrz spotkaliśmy się w umówionym miejscu z samego rana. Przedtem jednak ten i ów zabiegał na pocztę i znów... nic nie dostał. Zdobyto już zato od urzędnika poczty „poufną“ informację, że korespondencja i depesze do politycznych są, w ogromnej liczbie, ale... zabroniono wydać! Było to 4 marca! Uśmieli się z tego chłopcy serdecznie; byliśmy już wszyscy pewni, że nie na długo mogą nas pozbawić tych wiadomości. W świetnym samopoczuciu uformowaliśmy pochodzik z nas samych; — około 30 osób, o ile dobrze pamiętam; ruszyliśmy do koszar. Projekt wstępowania do warsztatów został poniechany, gdyż w istocie „wielkie miasto“ Kańsk nie odznaczało się większą liczbą zakładów przemysłowych, skupiających znaczniejsze ilości robotników. Wyciąganie zaś z małych warsztatów pojedynczych ludzi mogło nam zabrać za wiele czasu i nie dać zamierzonych skutków. Szliśmy tedy ulicą, wznosząc okrzyki na cześć rewolucji, powiewaliśmy sporządzonymi

dwoma sztandarami z napisami S. D. i S. R. i wcielaliśmy do pochodu spotykanych po drodze przechodniów (skoro się chcieli przyłączyć). Nim doszliśmy do koszar, dość odległych od miejsca spotkania, przyłączyło się do nas kilkanaście osób: robotnicy lub dawni zesłańcy i *jeden* żołnierz. Koszar nie chciano nam otworzyć. Żądaliśmy dowódcy garnizonu, żeby się z nim rozmówić. Kiedy zaś nagle brama została odryglowana, nie wiedzieliśmy wcale, co nas spotka: równie dobrze mogło być strzelanie jak solidarność. Tymczasem podoficer, który przybył do bramy, zakomunikował nam badzo poprawnie, że żołnierzy na miejscu niema; zostało kilkanaście osób do czynności porządkowych; wszyscy są na placu manewrów, na ćwiczeniach i tam jest dowódca garnizonu, pułkownik Gładston. Nikt więc z koszar nie przyłączył się do pochodu, chociaż zapraszaliśmy ich, zwracając się per „towarzysze“: było to takie nowe; legalnie, do żołnierzy; niebywałe i tak dziwnie elektryzujące! Postawa żołnierzy przy bramie robiła wrażenie niezdecydowanej: wymawiali się, że im nie wolno przyłączać się do cywilnej publiczności, że nic jeszcze nie wiedzą, — ale oczy ich błyszczały niepospolitą ciekawością.

Udaliśmy się na plac ćwiczeń. W istocie odbywały się tam ćwiczenia i wśród oficerów rozpoznaliśmy dowódcę garnizonu, pułkownika Gładstona, sztywnego, starszego oficera z niewielką brodą i świdrującymi oczami. Do niego zbliżył się nasz improwizowany dowódca, socjal-demokrata Kuźmin i w krótkich, uprzejmych, ale zdecydowanych słowach oznajmił mu, iż wobec ostatecznego zwycięstwa rewolucji w Rosji, abdykacji cesarza, objęcia rządów przez rewolucyjny Rząd Tymczasowy, — ogłosimy to mieszkańcom miasta, a w tym celu prosimy o orkiestrę do pochodu (manifestacji), proponujemy mu przyłączyć się do nas wraz z wojskiem, wojsku zaś — pragniemy zaraz sami oznajmić o tem, co zaszło.

Dużo później zrozumiałam, jak to wszystko wyglądało wtedy w stosunku do t. zw. „realnych sił“ po tej i tamtej stronie. Byliśmy garstką kilkudziesięciu nie uzbrojonych ludzi, za którymi na razie nikt nie stał, w tym mieście syberyjskiem, kupieckiem, oderwanem od żywszej informacji o wypadkach, tak bardzo odległym od istotnych miejsc rozgrywki rewolucji z reakcją. „Oni“, aparat caratu, mieli za sobą wyćwiczone, karne wojsko, utrzymywane w zupełnej niewiedzy o zdarzeniach w stolicy i w Rosji; broń, więzienia, całą przewagę techniczną-materjalną. Taki Gładston mógł nas w oka mgnieniu zmieść i zgnieść. A jednak, — nazajutrz, my byliśmy panami miasta, — oni — nie sięgnęli po żaden z dostępnych im środków obrony! Był to bowiem całkiem przegniły aparat psychiczny, ten cały aparat władzy carskiej. W stolicy, w innych miastach, sądząc z opisów, wyglądało to całkiem podobnie, jeżeli uwzględnić skalę wypadków i terenu.

A tymczasem Gładston zdawał się należeć do tych „wiernych“ synów tej parszywej rosyjskiej monarchji. Twarz jego kurczyła się, jak u psa, podczas eleganckiej przemowy Kuźmina, który zostawił mu tę furtkę „dobrej woli“. Zadał nam tylko jedno, krótkie, o historycznym sensie, pytanie: „*A jeśli ja nie sogłaszus, wospriepiatswuju?*“ (a jeżeli się nie zgodzę, przeszkodzę wam?) i szerokim gestem wskazał na ustawionych w szeregi, zastygłych, zamarych żołnierzy. Twarz jego wyrażała otwarcie wściekłość i nienawiść do nas. Na to Kuźmin spokojnie: „Tedy zaaresztuję Pana, pułkownika, imieniem Tymczasowego Rządu, a rękami...“ i tu powtórzył gest pułkownika, wskazujący żołnierzy.

Był tak dalece „wersalskim“ jegomościem, esdek Kuźmin, że nie wymówił słowa: „żołnierzy“, nie podniósł miarowo modulowanego głosu. Ale Gładston nie skutecznił swej groźby.

Musiał już wtedy, 4 marca, wiedzieć wszystko dokładnie i uznał wszelki opór za bezskuteczny. Stąd nie wynikało, żeby się nam nie starał przeszkadzać. Połknął odpowiedź Kuźmina, ale odparł: „Nie widzę powodów do robienia manifestacji; — muzyki nie dam; — nie jest to przecie żadne święto; — nie mam żadnych dyspozycji od Rządu Tymczasowego... Sam oznajmię żołnierzom...” Kuźmin nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Ktoś z nas krzyknął: „Nie pan będziesz odbierał polecenia Rządu Rewolucji!” Inny: „Nie zwracaj sobie z nim głowy!”, ale Kuźmin zrównoważył wszystko oświadczeniem: „Pułkowniku. Jest wielkie święto narodowe. Zgadzam się, żeby Pan oznajmił żołnierzom o ustąpieniu cesarza i przedstawił im nas, — resztę ja im powiem. Co do muzyki, radzę nie stawiać przeszkód“, poczem ruszył wielkim krokiem do żołnierzy; pułkownik szedł za nim;—my wśląd. Dalsze szczegóły wryły się w mózgu ze ścisłością, której już nic nie było w stanie poplątać. Gładston istotnie przemówił do żołnierzy: powiedział dosłownie im, że „*nasz miłostiwij gosudar był tak mudr i dobr*“, iż zrezygnował i oddał rządy Rosji w ręce księcia Michała, swego brata, ten zaś—ustąpił je przestawicielstwu narodu... Brzmiało to wszystko bardzo komicznie i było takie, że mogło wogóle nie być. Ale interesującą była odrazu reakcja żołnierzy. Stałam wprost kilku czterdziestoletnich chłopów wielkorosyjskich z długimi brodami, z umęczonemi, zoranemi twarzami, z oczami, które wyrażały jednocześnie: dobroć, żal i ciekawość. Zauważyłam, że po policzkach jednego z tych żołnierzy zapłynęły odrazu wielkie, perliste łzy, chowając się w szerokiej brodzie. Mało już rzeczy potem robiło na mnie takie wrażenie, jak bezgłośny płacz tego starego chłopca na wieść o zwycięstwie rewolucji. (Nie można przypuszczać, że na wieść o upadku cesarza, bo oczywiście, zawarłam sobie później znajomość z tym żołnierzem,

poznałam historję jego życia, pobytu w wojsku i stosunek jego do wypadków).

Przy ostatnich słowach Gładstona, który nakazał żołnierzom utrzymywanie dotychczasowej dyscypliny, zabraniał wchodzić w porozumienie z ludnością cywilną na wiecach i t. p., — nasi chłopcy podnieśli w górę Kuźmina, który pięknym zbiegiem okoliczności był również doskonałym mówcą. Pierwszy okrzyk jego: „Towarzysze żołnierze!“ zawierał tyle treści i wyrazu, a potem w długiej pauzie to przyglądanie się sobie: nasze i ich, żołnierzy; to porozumiewawcze, przyjazne, serdeczne przyglądanie się wzajem, — przesądziły całkowicie o naszych dalszych stosunkach. Kuźmin w krótkim, rzeczowym przemówieniu streścił im dzieje walk o wyzwolenie Rosji, nawiązał do wojny, Rasputina, wpływów niemieckich fabrykantów broni, — zapewnił ich, że rewolucja zwyciężyła ostatecznie i nieodwołalnie; — prosił o zachowanie zupełnego spokoju, pomoc w utrzymywaniu porządku i spokoju w mieście, a w tej chwili — o powszechny udział w manifestacji na cześć rewolucji. Żołnierze odpowiedzieli entuzjastycznym „ura!“; kilku młodych oficerów salutowało Kuźminowi i sztandarom, a z oczu ich było widać bardzo wyraźnie, że oczekiwali tego rozwiązania z upragnieniem. Całe bractwo z placu runęło za nami i utworzyła się samorzutna, ogromna, jak na Kańsk manifestacja, przodem której szły nasze sztandary i przyłączyła się potem orkiestra. Gładston i kilku starszych oficerów gdzieś umknęło, bardzo wielu zaś innych oficerów przyłączyło się odrazu otwarcie do pochodu i szło ramię do ramienia z żołnierzami, uśmiechając się do siebie, przygadując radośnie, wspominając, jak to było, a już nie będzie itd. Poprzez tę radość w jej dziecinnych wyrazach: drobnych śmieszek, nagłych łez w oczach, uścisków ręki pomiędzy nieznanymi ludźmi, braterskich pocałunków, — wybuchła

nagle, tam od sztandarów, z przodu, zainicjowana przez przytomniejszych, pomnych na obowiązki rytuału rewolucyjnego, pieśń rewolucyjna: „Wy żertwoju pali w borbie rokowej, lubwi biezawietnoj k narodu!“ (W straszliwej walce padliście w ofierze miłości bezkresnej do ludu...).

Oznajmiliśmy mieszkańcom miasta o zwycięstwie rewolucji...

Tegoż dnia popołudniu w radzie miejskiej zbierał się Komitet Obywatelski, powoływany przez władze miejskie Kańska w związku z wypadkami. Na zebranie to, prócz radnych miasta, przedstawiciele miejscowego kupiectwa i miejscowej inteligencji (!), został zaproszony przedstawiciel władz wojskowych w mieście pułkownik Gładston i my, zesłańcy polityczni. Nie pamiętam, czy władze miejskie otrzymały wreszcie jakieś w tej mierze polecenie; czy była to wspólna inicjatywa syberyjskich miast, czy tylko Kańska, czy była to wręcz nasza inicjatywa i presja. Zdaje mi się, że Rząd Tymczasowy nie interesował się za bardzo Syberją, a w każdym razie za cały czas swego pobytu po rewolucji na Syberji (przeszło cztery miesiące) — nie widziałam ani jednego emisariusza rządowego w Kańsku, a nie pamiętam też ich roli w większym Krasnojarsku, do którego często jeździliśmy na różne zjazdy itp. W Kańsku faktyczną władzę po rewolucji dzierżyła od pierwszego dnia Rada Delegatów Żołnierskich i Robotniczych, uformowana, zdaje się, 6 marca. Jeżeli w innych miastach Syberji taki stan rzeczy oficjalnie zapanował od końca sierpnia, po buncie Kaledina, to w każdym razie od marca już wszędzie najwięcej do mówienia miały rady. U nas zaś, w Kańsku, innego przedstawicielstwa władzy nie było poza Komitetem Wykonawczym Rady Delegatów.

Zebranie owo w pierwszym dniu prowadził prezes rady miejskiej, zamożny kupiec nazwiskiem Filimonow. Był to sybirak, człowiek niegłupi i bardzo rozgarnięty, a nawet wy-

kształcony: za dowód wykształcenia uważam, że znał np. historję rewolucji francuskiej. Oczywiście, ponieważ był to człowiek bardzo majątny i przywiązany do własności, — nie mogło być mowy o tem, żeby miał pojmować rewolucję tak, jak to obowiązywało socjalistów; tyle, że caratu nie opłakiwał i uważał się wogóle za postępowca. Poza nim i Gładstonem, ludźmi o pewnych określonych indywidualnościach, nie było w Kańsku ludzi, zdolnych do opanowania sytuacji w takich dniach, poza nami, grupą politycznych. Okazało się to bardzo plastycznie i jaskrawo odrazu na tem pierwszym zebraniu. W początku zebrania robiono nam pewne trudności; krzywiono się na nasze oświadczenie, że powstanie Rada Delegatów, upewniano nas, że Rząd centralny wolałby widzieć jakieś koalicyjne ciało władzy, reprezentujące różne żywioły społeczne, oczywiście, stojące — a jakże! — na platformie zwycięstwa rewolucji. Byliśmy w mniejszości, bo w zebraniu przyjęło udział z nas ośmiu czy siedmiu — (wybranych od „partyj“ S. D. i S. R.), zebranie zaś było liczne: Filimonow, człowiek mądry, zgromadził poddostatkiem różnych rybnych, futrzanych, tłuszczowych i t. p. kupców.

Nie długo jednak trwało ich wydziwianie się nad nami. Z ulicy dochodziły różne odgłosy, dość zresztą delikatne, ale podrywały one z miejsca to jednego, to drugiego z wysokich „ojców“ miasta. Nie łudzę się; niepokoiła ich tak nie troska o mieszkańców lub majątek miejski, ale wizje ich składów futer, sklepów z tłuszczami i drogiemi rybami, przygotowanemi na eksport i t. p. To jeden, to drugi bywał upominany przez Filimonowa. „Iks Zetowicz, — nie niepokójcie się, siedźcie, nie tam niema!...“ Ryby, futra, tłuszcze nie mogły już pilnie śledzić za przebiegiem obrad. Nagle wpadł do sali jeden z funkcjonarjuszy miejskich, zdyszany, z oznajmieniem, że „tołpy“ (tłumy) żołnierzy suną tu do Dumy, z rykiem i po-

grózkami. Trzeba było widzieć to „tableau“! Do dziś pamiętam twarz katorżnika-eserowca, nazwiskiem Załużnyj, człowieka niesłychanie powstrzymanego i spokojnego, który po prostu dławił się od śmiechu. Obok mnie siedział Mołocznikow, socjal-demokrata, urzędnik banku, zesłaniec, który śmiesznie poprawiał binokle na swych krótkowzrocznych oczach, przyglądając się popłochowi zebrania: był to miśszewik, człowiek umiarkowanych poglądów, bardzo rozumny i odważny.

Rzeczywiście, zbliżały się jakieś krzyki. Filimonow zwrócił się do pułkownika z naiwną (czy prowokacyjną?) propozycją: wyjść do żołnierzy i uspokoić ich wzburzenie! Gładston, zrzucając winę na chaos, bestjalstwo i t. d., które już (w ciągu tych paru godzin) miały opanować żołnierzy, przez nas „zachęcanych“ jakoby do łamania dyscypliny! — odmówił swej interwencji.

Okazaliśmy się tedy panami położenia. Oświadczyliśmy, że jeden z nas zlikwiduje odrazu całe zamieszanie, a posiedzenie powinno trwać dalej, gdyż teraz my mamy pewne kwestje do rozstrzygnięcia. Filimonow, rzeczywiście z wielkim szacunkiem dla naszej zimnej krwi, uroczyście prosił nas: działać („dziejstwujtie! dziejstwujtie, grażdanie!!“); rybom zaś, futrom i tłuszczom kazał położyć autentyczne futra na miejscu i zasiąść z powrotem przy stole obrad.

Ktoś z towarzyszy poszedł do okna, przemówił do tłumu i poprosił udać się do sali jednego z wielkich kin, na akademję dla uczczenia rewolucji. Pomysł był słuszny i udał się. Tłum, ani bestjalski, ani krwiożerczy, zwykły tłum ludzki, najspokojniej skierował się we wskazanym kierunku, wraz z delegowanymi przez nas towarzyszami. Całe załatwienie incydentu nie trwało dwóch minut. Kiedyśmy wrócili do stołu, musieliśmy opanować wesołość przy widoku tych

zmienionych min, wyciągniętych ku nam, uprzejmych twarzy, zabiegających słów. Filimonow powiedział coś w rodzaju, że od obywateli-politycznych, związanych z ludem „więzami serdecznej krwi, męki i ofiary“, zależy spokój i przyszłość kraju. Przynajmniej tyle zyskaliśmy, że przestali nam świecić własnymi powiązaniem z ludem!! Wszystkie sprawy zostały załatwione migiem. Postanowiliśmy od rana odwiedzić w koszarach wojsko, podzieliliśmy je między siebie; mieliśmy chodzić tam parami, członkowie owego komitetu. Gladston próbował jeszcze pouczać nas, że należy unikać krytyki cesarza i t. p., ale na to odparł mu doskonale, zdaje się, Popow: „A to może pułkownik sam podejmie się poprowadzić tę informację w pułkach? My się nie narzucamy, żołnierze nas i tak odnajdą...“ Tamten, wściekły ale bezsilny, zmilczał. Mieliśmy jutro w wojsku przeprowadzić wybory do Rady Delegatów. Nikt już nie miał żadnej, po tem posiedzeniu, wątpliwości, że Rada Delegatów z komitetem wykonawczym, w którym wezmą udział przedstawiciele „ssyłki“ politycznej, obejmie w mieście pełną władzę.

Nie pamiętam naprawdę, ażebyśmy w tych dniach sypiali w łózkach i żebyśmy coś regularnie jadal. Życie odwróciło się tak, że wszystko stało się nieważne i nieistotne, prócz tego jednego: powodzenia, umacniania, rozszerzania i pogłębiania rewolucji. Egzystowało się poprostu jakby wyłącznie w tym celu.

Nazajutrz z samego rana, o 7-ej byliśmy już w koszarach. Ja byłam w jednej z formacyj wojskowych wraz z radnym miejskim, cichym przedwojennym sympatykiem socjal-demokracji, kupcem, nazwiskiem Szworin. Był to człowiek, zdaje

się, bardzo porządny, postępowy, łagodnego usposobienia, nie-najgorszy mówca; wysokiego wzrostu, znacznej tuszy, bardzo dostatnio ubrany, miał wygląd prawdziwie „burżujski“. Weszliśmy, kiedy żołnierze siedzieli i leżeli na swoich narach, zatrzymani w koszarach do naszego przyjścia. Wprowadził nas jakiś młody oficer; Gładstona nie było. Szworin zaczął do nich przemawiać. Mówił obszernie, chcąc im wyjaśnić bieg wypadków, opowiadał ciekawe rzeczy, ale między nim a żołnierzami pozostawała jakaś ściana: później zrozumiałam, że była to ściana stroju i wyglądu i ściana tego wewnętrznego niezaangażowania w rewolucji, która go tak skutecznie od nich dzieliła. Po nim ja zabrałam głos i mówiłam im o radach delegatów, parlamentach robotniczych i żołnierskich, które mają tworzyć oni wraz z robotnikami. Możliwe, że mój wygląd, w owym czasie całkiem nie „burżujski“, przesądził, że między mną a nimi nie wyczuwało się żadnej ściany; ale może jeszcze większą rolę odgrywała tu ta okoliczność, że wyczuwali oni, doskonałą intuicją ludu, moje wewnętrzne, głębokie i nieodwołalne zaangażowanie w sprawach rewolucji.

Nagle Gładston przerwał brutalnie mowę moją; wszedł niezauważony i warknął: „Zdorowo, młodecy!“ Nie było to przywitanie takie jak wczoraj i zwykle, choć zewnątrz niczem się nie różniło od zwykłego: była to próba, czy mu odpowiedzą jeszcze tym samym zwrotem, jak zwykle. Istotnie — nastąpiła pauza. Dużo potem z rozmów z żołnierzami dowiedziałam się, że i oni intuicyjnie wyczuli wszystko: była to chęć poniżenia ich musem „rytualnej“ odpowiedzi w chwili, kiedy słuchali o radach delegatów, kiedy roztwierały się przed nimi nowe, nadzwyczajne horyzonty życia i działania, nowe zainteresowania, ludzkie ambicje, dążenia; była to chęć pokazania mi, że może przerwać bezkarnie moje przemówienie i że władza dotąd żołnierzami tak, jak władał przedtem, on-

monarchista, „staro-reżymowiec“, jakkolwiek zwyciężyła rewolucja. Odczuliśmy zgodnie te intencje, oni i ja.

Ale po dłuższej pauzie zdziwionego i nieprzyjaznego zastanowienia — oni odpowiedzieli: powolnem, mało skandowanem, takim jakby pytającym: „zdrawja żelajem“... i t .d. Nie było mu tego dość. Nie zważając na mnie, tak, jakby nas nie było, nie witając się z nami, rozpoczął swoje przemówienie. Treść jego była mniej więcej taka. „Odpowiedzieliście mi tak, jak powinniście. Mnie macie słuchać, a nie obcych ludzi, obcych wojsku, którzy tu przyszli do nas i którzy teraz będą chcieli na was wpływać. Warci jesteście coś póty, póki nie wysłżicie z dyscypliny, z tej formy, w jaką was ułożyli oficerowie. Do niczego innego nie nadajecie się!... Mielście tu dobre życie, lepsze niż w domu. Odstąpiliście od waszego cesarza bardzo łatwo, — może odstąpicie tak samo od Boga? Dokąd pójdziecie? My — mieliśmy dla was ojcowskie serca...“ Korzystając z jakiejś sekundowej przerwy w jego mowie, krzyknął z góry jakiś głos żołnierski: „Tak!! To prawda!! A powiedz nam, Wasze Wysokobłagorodje, czy to przez wasze ojcowskie serce stawaliśmy na warcie z kamieniami w tornistrach? za karę za napisanie listu do domu np.? czy to z powodu ojcowskiego serca lano mi wodę na gołe stopy w mróz? Pan tu przerywa nam, pan chce nas doświadczyć, czy jeszcze jesteśmy ci sami!... Pan mówi, że był pan dla nas ojcem? a dlaczego pan rąbnął w twarz starego żołnierza za to, że nie dosłyszał, jak pan do niego mówił?!... a dlaczego *ja* nie dałem panu w twarz, jak pan mi kazał stać z kamieniami przez dwaście godzin?...“

Głos był młody, ostry, naprężony do wysokich granic przejęcia, obrazy, krzywdy, zdenerwowania. Wypalił to wszystko (bodaj że — *dosłownie to!*) i zawisł na tem ostatniem pytaniu. Patrzyłam pilnie w twarz Gładstona, przeczuwając kata-

strofę. Odpowiedział z wielkim spokojem, ale przez ściśnięte zęby — ze straszliwą prowokacją: „Dlaczegoś ty mnie nie śmiała uderzyć? dlatego, że byłeś *wydiscyplinowany!* rozumiesz? *ot na to i potrzebna dyscyplina!*!”

Rozległo się coś, jakby długie, zbiorowe westchnienie, wciągnięcie powietrza do płuc. I zaraz potem, bez żadnego przygotowania, żołnierze poczęli chwytac co było pod ręką, zeskakować z nar... Ale tak jakoś dziwnie i złowrogo powoli, odrębnie każdy ruch, *tak, jak to narasta w filmie o zwolnionem tempie...* Temniemniej ułamek sekundy dzielił tego dra-
ba od śmierci.

Obroniłam go sama.

Szczęk ściąganych karabinów, złożenie żołnierzy z nar było tak niedwuznaczne, — jakiś pół-głośny, zbiorowy jęk, wydobywający się z ich piersi, tak wymowny, że nie wahałam się ani chwili co do ich intencji. „Towarzysze!” zawołałam „zatrzymajcie się! posłuchajcie mnie!” Musiał to być okrzyk dość energiczny, bo pomimo podniecenia, które ich ogarnęło, wstrzymali się. Gładston był już jednak otoczony zwartem kołem. Błyskawicznie przemknęło mi przez głowę, że może — on życzył sobie śmierci? i celowo parł ku niej? Ale w tej sekundzie poniechałam tej myśli, bo przyjął tę *łaskę życia* z moich rąk, z rąk wroga; stuszował się, zniknął, stchórzył...

Wzięłam żołnierzy argumentem, przekonywującym zawsze serca szlachetne. „Jesteśmy zwycięzcami! Jesteśmy tu wszyscy zgodni i wszyscy wielbimy rewolucję! Pułkownik Gładston jest sam jeden i nie ma dziś żadnego środka obrony... Od jednego waszego ruchu zależy, żeby zginął! Czy rewolucji potrzebne takie ofiary? Proszę was, towarzysze, puście go z życiem i wolno!...” Żołnierze rozstąpili się, bez entuzjazmu, ale nikt nie zaprzeczył... Puścili go.

Przyznaję otwarcie, wątpię, żebym dziś była chciała w ta-

kiej sytuacji bronić go. Zbyt wiele bólu, gniewu i nienawiści przeciw wszystkim siłom reakcji społecznej nagromadziło się w międzyczasie w mojej duszy. I zbyt wiele dobroci, zbyt wiele złudzeń naiwnych o możliwości bezkrwawego przewrotu było wtedy w naszych młodzieńczych duszach rewolucjonistów. Przez całe miesiące, a może lata uważałam tę obronę za wielkie swoje zwycięstwo i za nadzwyczajną zdobycz. W każdym razie, przez miesiące udziału w rewolucji, w rozmaitych trudnych okazjach, podnosiłam zawsze ten fakt, jako dowód „honoru“ rewolucji, jej siły moralnej, jej czystości. Było to, niestety, bardzo naiwne.

Gładston, po tym wypadku, czuł się zapewne dość bezpiecznym. Wprawdzie nie popisywał się już w środowisku żołnierskim i unikał podobno starannie wszelkiego zetknięcia z żołnierzami, ale wśród oficerów próbował nam jeszcze w tym pierwszym tygodniu zrobić poważną dywersję. Zresztą wkrótce byliśmy zmuszeni go aresztować i siedział parę tygodni. Zwolniliśmy go, znów z tych samych (nie bardzo mądrych, ale bardzo szlachetnych) pobudek: niedługo potem widziano go w Irkucku, jak jechał wojskowym samochodem, w mundurze, z innymi oficerami. Może, na obcym gruncie, potrafił się zadekować („zadiełat‘sia“) jako eserowiec lub esdek, „wierny“ rewolucji. Niestety, nie mieliśmy już później na niego oka.

Ta pierwsza faza rewolucji kosztowała w Kańsku tylko jednego życia ludzkiego. Został zabity, zlinczowany przez żołnierzy, jeden z oficerów, starszy już człowiek, pijak i okrutnik; dla żołnierzy — „zwierz“, jak to obrazowo określali sami żołnierze. Stało się to chyba jednego z pierwszych dni. Zresztą, kolejność tych ostatnich wypadków, daty, — mogę mylić.

Podobno było to tak, że żołnierze w ilości kilkudziesięciu, nieopodal koszar, słuchali przemówienia jednego z zesłańców z dalszych części Syberji, który zjechał tu wraz z rewolucją. Był to bolszewik, niejaki Koniuk, ukraińiec z pochodzenia, pół-inteligent. Człowiek ten od pierwszego dnia nie liczył się z nikim, nie chciał stosować do niczyjej opinji, rad czy wskazówek, choć powstała już Rada Delegatów. Ponieważ wśród nas byli i maksymaliści-eserowcy, i bolszewicy, i anarchiści i wszyscy działaliśmy zgodnie, sądzę tedy, że Koniuk musiał mieć nieco warcholski charakter. Ale i to może być, że poprostu wcześniej od innych bolszewików przeszedł on do agresywnej taktyki, a że nie miał większego rozumu, robił dużo niefortunnych posunięć. Mieliśmy z nim, jako Rada Delegatów, ostre konflikty i nawet siedział, przez pewien krótki okres, w areszcie, gdyż zależało nam na zupełnym posłuchu w stosunku do Rady i na utrwaleniu w masach przekonania, iż jest to istotnie jedyna władza.

W przemówieniu swem do żołnierzy w owym dniu, jak nam mówili obecni, nic szczególnego nie mówił; dość, że słuchano go spokojnie, gdyby nie sprowokowało tłumu nietaktowne zachowanie się owego oficera. Ten nadszedł niespodzianie, był podobno „pod datą“, a że był zawziętym reakcjonistą, — musiało go to mówienie rewolucjonisty i to słuchanie żołnierzy poderwać. Dość, że zaczął wymyślać żołnierzom, a że w tłumie wraz z żołnierzami było i kilka kobiet, zwymyślał od ostatnich jakąś kobietę; gdy zaś ta mu się odcieła, uderzył ją w twarz. Tego było, oczywiście, dość, ażeby został zabity na miejscu. Zbyt dużo nagromadziło się palnego materiału w tych ludziach, poniewieranych i bitych od najmłodszych lat.

Przez dłuższy czas — i zaraz po wypadku — zarzucałam Koniukowi, że do tego dopuścił. Miałam ten argument, że przecie, skoro ja mogłam wstrzymać żołnierzy... Argument był

całkiem nie na miejscu, bo wątpię, czybym co wskórała, gdyby Gładston wówczas uderzył kogo z obecnych. W każdym razie zabójstwo to przysporzyło nam wiele zamieszania. Z pogrzebu oficera nie mogliśmy pozwolić robić demonstracji, do czego parł Gładston. Na zwołanem zebraniu oficerów w kasynie (zostaliśmy zaproszeni i wydelegowano mnie i Mołocznikowa) musieliśmy stoczyć wielką batalję, ażeby neutralizować demagogiczne przemówienie Gładstona, wzywającego oficerów do obrony honoru mundura i pamięci zamordowanego i równie demagogiczną mowę jednego z młodych oficerów, niejakiego Siergiejewa, który poparł Gładstona. Tu dopiero przekonałam się, jak bajecznym mówcą był Mołocznikow. W bardzo nieprzyjemnej atmosferze zaczął przemawiać do oficerów, ale gdy, kończąc, zawołał: „Nie uwierzę wam, nie odejdziemy stąd spokojni, jeżeli nie przysięgniecie na wierność rewolucji! Kliantieś! (przysięgajcie!)“ — wszystkie szable wyleciały z pochew i wszyscy obecni oficerowie przysięgli wierność rewolucji na swój honor, wznosząc szable do góry. Większość stanowili „wojenni“ oficerzy: młodzi studenci-praporszczyki, więc mógł to być u większości gest całkiem szczerzy.

Po tej ostatniej próbie Gładston niedługo został aresztowany, gdyż go wręcz przyłapaliśmy na robocie dywersyjnej.

W tych najpierwszych dniach czekało nas jeszcze parę niepospolitych i różnorodnych wzruszeń. Pewnego wieczoru urządziliśmy akademję ku czci zabitych i umęczonych w sprawie rewolucji. Obstawiliśmy ją bardzo pięknie i ładnie się nam udawała. Tymczasem w środku akademji podano nam na podjum, do prezydjum wiecu, wiadomość, że nasz komendant dworca, esdek Kuźmin, upił się do nieprzytomności

i imieniem rewolucji aresztuje rozmaitych działaczy rewolucyjnych, trafiających mu pod rękę. Ogarnęło nas przerażenie: żyliśmy przecie pod przemożną sugestją tej myśli, że nie wolno uszczerbić niczem honoru rewolucji. Trudnej misji unieszkodliwienia Kuźmina podjęli się jego dawni towarzysze pijatyk — Popow i Iljin. Nie pamiętam już, jak potrafili zdjąć go z posterunku i uprowadzić do łóżka, ale udało się to im całkiem zgrabnie. Biedny Kuźmin nie wrócił już na posterunek komendanta dworca, ani na żaden inny w Kańsku. Szczęście i moc rewolucyjnych przeżyć nie uzdrowiły go, jak tyłu innych, a tylko oderwały na dni kilka od straszego nałogu. Wyjechał do rodziny do Rosji; przykro mu było widzieć nas potem; nie wiem, co się z nim dalej działo. Był to tęgi rewolucjonista, doskonały, subtelny, inteligentny i stuprocentowo czysty człowiek.

Drugie ciężkie przeżycie związane było ze śmiercią pewnego politycznego zesłańca, który przejeżdżał przez Kańsk do Rosji i w drodze umarł na atak serca. Jechała z nim żona i, zdaje się, syn. Chowaliśmy go z honorami, jako rewolucjonistę. W parę dni potem ogłoszono w Rosji listę prowokatorów i agentów ochrony. Był na tej liście. A myśmy pochowali z tą kanalcją nasze sztandary...

VIII. P R O W O K A T O R Z Y

Zjawisko prowokacji tak głęboko zakorzenione jest w ruchu rewolucyjnym, szczególnie podziemnym, że prawie wszyscy, którzy odbyli więzienie i brali czynny udział w rewolucji, zachowali w swych wspomnieniach sylwety prowokatorów, napotkanych i ujawnionych w tym okresie. Wstrętne to są, jakkolwiek bardzo różne, sylwety. Wspomnienia, z niemi związane, należą zawsze do najciekawszych i bolesnych. Temniemniej trzeba sięgnąć do tych wspomnień: wgląd w psychikę i dzieje tych potępionych ludzi, historia ich zdemasokwań, imiona ich wreszcie — wszystko to musi zająć swe miejsce w dziejach walk rewolucyjnych.

Osobiście zetknęłam się w okresie swej pracy rewolucyjnej z kilkoma prowokatorami. Psychika tych ludzi była również bardzo rozmaita...

Wśród nich znalazłam jedną kobietę. Nazwisko jej zatarło mi się całkiem w pamięci i tylko przypadek jakiś — ktoś, ktoby się odezwał na te wspomnienia — mógłby to nazwisko wskrzesić. Zetknęłam się z nią już po rewolucji rosyjskiej, w końcu marca 1917 roku. Prezydjum Rady Delegatów dostało meldunek z Irkucka od partji S. R., że wraca do Rosji ta osoba, co do służby której w ochronie Irkuck w międzyczasie zdobył dane z archiwum żandarmerji. Aresztowaliśmy ją na dworcu, wracała z mężem i dwojgiem dzieci w wieku szkolnym, z którymi razem mieszkała na zesłaniu. Osadziliśmy ją w więzieniu. Był to sam początek rewolucji, trzeba było zachować największą ostrożność; prowokatorzy musieli być narazie izolowani; potem zaś — i na zawsze — odgradzeni od możliwości przenikania do mas dla pracy społecznej.

Sprawa z tą kobietą była trudna. Nie wiem, czy mąż jej był wtajemniczony w jej stosunki z ochroną, w każdym razie dzieci nic nie wiedziały o tem. Była to rodzina „par excellence“ mieszczańska, zupełnie daleka od kontaktu z ruchem wolnościowym; pani ta była inteligentką; zdaje się, że była dawniej nauczycielką; mąż jej pracował gdzieś w biurze. Dzieci — pamiętam chłopczyka lat 15 — przychodziły i prosiły o uwolnienie matki, o widywanie się z nią i t. d. Bardzo trudno było rozmawiać z temi dziećmi. Osoba ta wystosowała do mnie, jako do kobiety, list z więzienia, list bardzo oryginalny, w którym usiłowała nietylko usprawiedliwić swe postępowanie, ale — zaintrygować, zająć sobą, pobudzić do traktowania jej wypadku jako odrębnego. List był w najwyższym stopniu wstrętny. Pisała, że stosunki swe z ochroną, rozpoczęte jakoś przypadkowo, utrzymywała dla sportu, jako formę bardzo ekscytującego flirtu: umiała dawać bardzo mało wartościowy materiał, a „bując“ tak, że płacono jej akuratnie — to jej dawało środki utrzymania rodziny, póki mąż nie znalazł posady; potem mogłaby się wprawdzie wycofać, ale „umysłowo“, jak twierdziła, była tak zaangażowana i zainteresowana w tej grze, uważała to za tak niepospolitą okazję ćwiczenia swego sprytu, przebiegłości, pamięci, przytomności umysłu itp., że nie chciała z tego zrezygnować. Sądziła, że powinniśmy ją zwolnić i że osobiście muszę z tem współdziałać, jako kobieta. Podnosiła, że może się przydać rewolucji ze swemi wybitnemi umysłowemi kwalifikacjami. Na list ten nie dostała odemnie odpowiedzi: nie spotkałam się już potem nigdy, nawet u prowokatora, z tak daleko idącym cynizmem. Zostawała w więzieniu przez parę miesięcy, jakie spędziłam jeszcze na Syberji. Co się dalej z nią stało, nie wiem.

Drugi spotkany przezemnie prowokator był nie mniej ni więcej, tylko pierwszym prezesem owej Rady Delegatów Ro-

botniczych i Żołnierskich. Był to żołnierz, po długiej służbie na froncie, o wielkiej wśród żołnierzy popularności. Nazywał się Paramonow, Iwan Andrejewicz. Pochodził z chłopów ze środkowej Rosji. Niemal zaraz po rewolucji, po pierwszych zebraniach organizacyjnych, przed utworzeniem Rady, zgłosił się do socjal-demokratów z tem, że podziela ich poglądy i pragnie współpracować z nimi. Deklarował się jako mieńszewik. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, blady, pochmurny, bardzo cicho mówiący, o twarzy bezbarwnej; zapalał się tylko, kiedy mówił do żołnierzy, ale linja postępowania, jaką propagował, zawsze była wybitnie umiarkowana. To nie była okoliczność, któraby mogła budzić czujność w stosunku do jego osoby. Wszyscyśmy mieli do niego zaufanie; zresztą — działalność stała się odrazu jawna, otwarta, legalna: ostrożności i obawy „podziemia“ odstawiono na bok. W prezydjum Rady znajdował się stary konspirator, eserowiec-maksymalista, nazwiskiem Zwierin, człowiek o dużem doświadczeniu; ten miał do Paramonowa bardzo głębokie zaufanie.

„Odkryliśmy“ go całkiem przypadkowo. Pewnego dnia siedzieliśmy w Radzie, w prezydjum; było nas tylko dwoje w pokoju, ja i młodzietki oficer-rewolucjonista, niejaki Dragunow. Nie było w tej chwili żadnej pilniejszej roboty i uradziliśmy wziąć się wreszcie do przejrzenia księgi „Żandarmkawo Uprawlenja“, archiwum, oddawna odebranego u żandarmów, ale dokładnie jeszcze nie przejrzanego. Wprawdzie w pierwszych już dniach po rewolucji ogłoszono w Petersburgu listę prowokatorów, zdobytą po przejęciu centralnego archiwum żandarmmerji, lecz była to lista niepełna. Trzeba było jeszcze zbadać każde lokalne archiwum. Wzięłam do ręki księgę, a Dragunow zajął się inną robotą. Obok, w zamkniętym pokoju prezesa, siedział Paramonow i — pamiętam dobrze — telefonował do kogoś, wymyślając mu za jakieś zaniedbanie.

Traf chciał, że niemal odrazu, po paru przewertowanych kartach, otworzyłam kartę, nad którą skamieniałam. Czytam: Paramonow, Iwan Andrejewicz, pseudonim — Jedenaście, uposażenie — 30 rubli miesięcznie i t. d. Pamiętam jeszcze: „Krestjanin Riazanskoj gubernji“. Nic nie mówiąc, podsunęłam księgę do Dragunowa, pociągając go za rękaw. Pamiętam, że jęknął tylko po przeczytaniu: „Och“... Położenie było niełatwe. Paramonow mógł wejść i wchodził rzeczywiście co chwila do tego pokoju, polecając dyżurującym członkom przydjum różne sprawy. Porozumieliśmy się tedy błyskawicznie. Ja z księgą idę do siebie, do domu, Dragunow natychmiast sprowadza do mnie dwóch członków przydjum, Zwierina i anarchistę Fieofilaktowa: tam poweźmiemy decyzję. Opuścimy przydjum, nie meldując się prezesowi, gdyż nie mógł nam pozwolić odejść bez zastępstwa, a nie można było zwlekać ani chwili. Dragunow miał odsiedzieć po mnie tylko pięć minut, ażeby dać mi z księgą wyjść z gmachu i odejść kawałek.

W domu czekałam zaledwie kilkanaście minut. W owym czasie wiedzieliśmy zawsze, gdzie się szukać wzajem: organizacja naszej Rady była bardzo sprężysta.

Zwierin nie chciał wierzyć, żeby to mogło być prawdą. Fieofilaktow, Dragunow i ja nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości. Zwierin wiedział wprawdzie od Paramonowa i to, że ten pochodzi z Rizańskiej gubernji, bronił go jednak powtarzaniem: „Ale przecież występuje zawsze tak umiarkowanie...“ Tylko w ostatnich dniach zdziwiło go, jak w rozmowie z nim żądał, żeby usunąć z przydjum mnie i socjal-demokratę mieniszewika Mołocznikowa, twierdząc, że za dużo w Radzie inteligentów: żołnierze sami znajdują właściwe drogi. To jedno tylko mogło nasunąć cię podejrzania. Temniemniej trzeba było działać: stanęliśmy na stanowisku, że trzeba natychmiast rzecz wyjaśnić i zakończyć, to znaczy — aresztować Paramonowa.

Sytuacja była tem poważniejsza, że był to pierwszy prezes Rady, że miał za sobą żołnierzy, zachodziła obawa oporu żołnierzy, zdarzeń, tarć pomiędzy żołnierzami a Radą, tak strasznie wówczas niepożądanych i niebezpiecznych.

Ciężkiej misji podjął się dobrowolnie Aleksy Fieofilaktow, inteligent, ex-eserowiec maksymalista, a wówczas anarchista-syndykalista; wysoki, przystojny, bardzo mądry i zdolny człowiek, o pewnem podobieństwie psychicznem do typu Borysa Sawinkowa. Wykonał rzecz doskonale, w dwadzieścia minut potem już mieliśmy jego meldunek. Czekaliśmy przez ten czas w mojem mieszkaniu, gdyż trzeba było odrazu ułożyć plan zebrań w Radzie, poinformowania pułku Paramonowa i t. p., — podzielić między sobą te czynności. Fieofilaktow załatwił tak. Wszedł do Rady, Paramonow właśnie stał już w tym drugim, wspólnym pokoju i wkładał szynel do wyjścia. Fieofilaktow podszedł do niego, z ręką w prawej kieszeni na brauningu. Powiedział: „Wy — Paramonow, Iwan Andrejewicz, z włościan Riazanskoj gubernji, pseudonim 11...” Dalej nie potrzebował mówić, Paramonow zbladł i poruszył rękami; Fieofilaktow wyrwał rewolwer z kieszeni, w przypuszczeniu, że tamten to uczyni i krzyknął: „Poddajcie się!” Paramonow skurczył się: „Nie strzelajcie... ja się przecież poddam...” Fieofilaktow sam odwiózł go do więzienia i tam postawił przy nim zaufaną straż.

Nie mieliśmy żadnych zaburzeń w wojsku, dzięki odrazu podjętej otwartej informacji. Nawet mieszczańska prasa Syberji nie mogła należycie wyzyskać tego faktu dla swoich przeciw-rewolucyjnych celów, gdyż szybkość działania i otwartość w ujawnieniu przez nas tego istotnego nieszczęścia — wyrwała żądło wszelkiej intrydze. Oczywiście, wszelkie sprawdzenie tożsamości prowokatora podjęliśmy odrazu. Po dwóch dniach mieliśmy już z Irkucka dane: działał on wśród eserow-

ców i zamieszany był w sprawie jednego z więźniów Szlisselburga, Szyszko. Na miejscu, w Kańsku, od organizacji S. R. dostaliśmy informację, że do niej się zgłosił jeszcze przed wyborem do Rady — szedł więc naprzód utartą drogą. Dlaczego potem chciał się przerzucić do S. D.-ów? Może przez ostrożność. Pewno też przez ostrożność wolał prowadzić linię umiarkowaną. Mieliśmy potem wkrótce jeszcze jedno ciężkie przejście: zebranie Rady, na które kazaliśmy przyprowadzić z więzienia Paramonowa. Mieliśmy już wtedy wszystkie dowody w ręku i przybyli ludzie, którzy go znali osobiście z tej podwójnej roli. On zaś groził, że się zabije w więzieniu, przyrzekał, że opowie żołnierzom na Radzie całą prawdę. Możliwe, że liczył jednak na swój dawny autorytet. Przyszedł pod eskortą, obrośnięty, zmieniony, okropny. Zaczął rzeczywiście bardzo patetycznie: „Ja, wasz prezes, wasz człowiek, żołnierz, — tylko wy możecie mnie sądzić, nie oni...” Występ jednakże wcale się nie udał. Prowadziliśmy tak otwarcie sprawę, że wszyscy członkowie Rady wiedzieli już do tego dnia prawie tyle, co my o zdradzieckiej działalności Paramonowa. Większość członków naszej Rady byli to żołnierze, chłopci, w małej części fabryczni robotnicy. Wielu prawie nie umiało czytać i pisać. Ale wszyscy odseparowali się od prowokatora; rozległy się głosy: „Jakie tam rozmowy, kiedy tak było!... Przyznałeś się przecie... Jaki tam prezes, kiedy zdrajca... Nie chcemy... Wdzięczność towarzyszom, że cię wykryli... Nic nie masz do gadania... Shańbiłeś honor Rady...” Paramonow próbował tłumaczyć swe motywy postępowania, ale skończyło się to bardzo prędko: nie chciano słuchać. Był to zdrowy instynkt mas: nie babrać się w paskudztwie. — Paramonow wrócił do więzienia.

Nie wiem, co się z nim dalej stało. Możliwe, że się gdzieś potem zamaskował i wcisnął do działalności społecznej w Rosji.

Trzecie moje spotkanie z prowokatorem było najbardziej

skomplikowane i związane jest ściśle w moich wspomnieniach z miłą i czystą postacią Marusi Spiridonowej, o życie której otarł się ten prowokator.

Był to tym razem — niestety — Polak, przynajmniej z pochodzenia, nazywał się Dziekoński. Pamiętam doskonale: Piotr, syn Piotra, Dziekoński, w paszporcie miał: „iz dworian Grodzieńskiej gubernji“ i „potomstwiennyj dworianin“. ¹⁾

Zetknęliśmy się już w Odesie, po moim powrocie z Syberji, we wrześniu 1917 roku. Weszłam wówczas do odeskiego komitetu partji S. R. Po kilku zaledwie dniach mej pracy w odeskiej organizacji otrzymaliśmy w komitecie wiadomość, zdaje się z Krymu, o Dziekońskim, prezesie odeskiego komitetu, że jest prowokatorem. Wiadomość była podana listownie przez umyślnego posłańca. Dziekoński był wówczas nieobecny w Odesie, nie znałam go, słyszałam tylko o nim cuda od towarzyszy: miał to być niesłychanie dzielny rewolucjonista, świetny mówca i agitator, człowiek o nadzwyczajnym uroku osobistym. Wiadomość ta zrobiła piorunujące wrażenie na członkach komitetu, którzy znali Dziekońskiego. Sziffer, wiceprzewodniczący komitetu, lewej orientacji, nie chciał wierzyć. Widać było, że jest to poprostu dla niego zbyt bolesne przeżycie; powtarzał wciąż: „Być nie może... tak dobrze wyobrażam sobie tę jego postać, to kepi na głowie, te zacięte usta, te uczciwe, piękne oczy“. Fłorowska, młoda jeszcze kobieta, mężatka, zmieniła się w twarzy tak okropnie, że zdawało się, iż traci przytomność. Dowiedziałam się potem, że Dziekoński mieszkał u niej i był jej bardzo bliski. Wogóle był to mężczyzna, który łatwo zdobywał kobiety.

¹⁾ Nie mieliśmy żadnych podejrzeń co do wiarygodności jego paszportu. W Polsce spotkałam się z rodziną Dziekońskich w Grodzieńszczyźnie, sąsiadującą z rodzinami Korzcyców i Krahelskich: nie znali owego Piotra. Wyglądał zresztą na człowieka zruszczonego.

Dowody jego winy były bezsporne, szczegółów już nie pamiętam. Radziliśmy właśnie nad tem, co teraz zrobić. Większość nas miała orientację lewo-eserowską, Dziekoński reprezentował też kierunek niezmiernie radykalny; był to więc cios dla naszego lewego skrzydła w organizacji, który odrazu mógł być wyzyskany przez prawicowców i wogóle przez siły reakcji w społeczeństwie. Kiedyśmy rozważali te wszystkie, bardzo przykre okoliczności, przyniesiono nam z miasta własnoręczny list Dziekońskiego. Dziekoński wiedział już o odkryciu i doniesieniu do komitetu, wrócił do Odesy i pisał do nas z hotelu, w którym zamieszkał. Podał nam swój adres i prosił o naszą decyzję. List ten utkwiał mi w pamięci. Zwracał się do nas, jak do towarzyszy, był napisany z wielkim talentem literackim. Opisywał dzieje swego upadku i prosił o uwzględnienie okoliczności łagodzących: młodość, nędza, długotrwałe głodowanie, pokusa, próba... wciągnięcie się... A teraz — tak nas upewniał — niema dla niego życia bez służby rewolucji, bez oddania jej wszystkich sił... Czekał na odpowiedź.

Sziffer, pochylony nad listem już przeczytanym, prawie płakał. Był to dzielny, uczciwy i czysty rewolucjonista; odczuł ten zawód, jako straszny cios. Nie myślał o żadnej tolerancji, ale nie mógł wyrwać odrazu z serca uczucia przyjaźni dla tego człowieka i cierpiał bardzo. Wszyscy zresztą jednogłośnie byliśmy zdania, że należy go natychmiast aresztować i uniemożliwić mu powrót do pracy dla rewolucji: tem bezwzględniej, im bardziej był utalentowany. Osobiście uważałam i uważam, że nie może być żadnego usprawiedliwienia, ani żadnej tolerancji, gdy się ma do czynienia z udowodnioną służbą w ochranie. Zdecydowaliśmy sami pójść do niego i aresztować go. Komitet wybrał do tego celu Sziffera, marynarza Panczenko, mnie i Szereszewskiego, eserowca o orientacji ultra-prawicowej. Pamiętam, jak mnie uderzyło, że Szere-

szewski nie okazał żadnego zdziwienia, gdy się dowiedział o tem odkryciu. Odniosłam ciężkie wrażenie, że różnice i tarcia w partji zaszły już tak daleko, iż prawicowcy niemal cieszyli się z tej kompromitacji lewego skrzydła. Poszliśmy do wskazanego hotelu i Szereszewski, który piastował w Odesie jakąś godność administracyjną, zażądał od właściciela hotelu księgi meldunkowej oraz wskazówki, gdzie szukać Dziekońskiego. Udaliśmy się na czwarte piętro, pod wskazane drzwi. Zapukaliśmy i weszliśmy.

Dziekoński siedział przy stole. Zrozumiał odrazu wszystko. Nie wstał. Sziffer siadł po drugiej stronie stołu, patrząc nań ciężkim wzrokiem. My pozostali — staliśmy. Sziffer powiedział: „Oddajcie broń, Piotrze Piotrowiczu“. Tamten odparł: „Nie mam broni. Jaka jest decyzja Komitetu?“ Pamiętam, że spojrzał przytem na nas wszystkich i wzrok jego bystrych oczu spoczął na chwilę na mojej, obcej mu, twarzy. Sziffer odpowiedział: „Aresztujemy was; rozumiecie, że to jest konieczne“. Dziekoński spytał: „Poco? komu to potrzebne? czyż niema innego wyjścia?“ Zdziwił mnie tupet i swoboda tego człowieka. Wysoki, zręczny, o bladej twarzy, męskich regularnych rysach, odrzuconych w tył włosów, robił zewnętrznie bardzo dodatnie wrażenie. Głos miał też dźwięczny, wyrazisty i bardzo stanowczy. Rzucił okiem na marynarza i zauważył: „I wy tu też, Panczenko!“ jakby z wyrzutem. Pomyślałam wtedy ze złością, jak ten łotr grał na rewolucyjnych temperamentach i odwadze marynarzy.

Sziffer wstał i rzekł: „Z wami zostaje tu Panczenko. Ja pójdę wydać rozporządzenie co do waszego aresztu. Żegnajcie“. Dziekoński zawołał: „Nic mi nie powiecie?“ Tamten odparł poprostu: „Niema już o czem mówić“. Było mu zbyt ciężko. W drzwiach odwrócił się i z olbrzymim wyrzutem dodał: „Zrobiliście partji, ruchowi rewolucyjnemu wielkie zło...“

Niestety, sprawa Dziekońskiego nie skończyła się tak prosto. Byliśmy właśnie w przededniu przyjazdu Marusi Spiridonowej. Towarzysze wiedzieli, że Dziekoński w Petrogradzie, podczas zjazdu Rad, poznał Marusię, Kachowską i inne katorżanki i pozyskał sobie szczególną przyjaźń Marusi. Sziffer zaś wyczuwał widocznie, że Dziekoński zaangażował Marusię w poważne uczucie, bo na dworcu, kiedyśmy przyjechali ją powitać, powiedział do mnie: „Nic do niej o nim nie mówcie... Ja sam... Ja boję się wstrząsu“.

Z Marusią Spiridonową było się odrazu tak, jak po latach znajomości. Wsiadliśmy do samochodu komisarza miasta, eserowca Charito, który wyjechał wraz z nami przywitać Marusię. W samochodzie byli: Charito, Sziffer, Marusia, ja i jeszcze ktoś z mężczyzn — nie pamiętam. Mówiliśmy o postronnych rzeczach, ale z twarzy jej nie schodziło napięcie i jakieś znieruchomiałe zapytanie. Sziffer zresztą nie spuszczał z niej oczu. W pewnej chwili ona, patrząc mu w oczy i uśmiechając się, zawołała: „Nie! nie! to być nie może!“ Odparł jej miękko: „Marusiu — to tak jest...“ Zaprzeczyła namiętnie: „O, uwierzyliście oszczercom, plotkom, — wroga akcja!“ „Mamy jego własnoręczne przyznanie, list...“ Krzyknęła krótko: „Tak?!... zmusiliście go?!“

W tym momencie przemknęło mi przez myśl, że Marusia może być dla nas niebezpieczna. Sziffer tłumaczył jej z wielką dobrocią: „Droga... nic podobnego... Napisał sam, pierwszy do nas... Dobrowolnie... Opisał całą historję... Przecież wszystko wam opowiem...“ Nie słuchała, tylko wyciągnęła rękę: „Dajcie mi w tej chwili ten list“. Dał jej. Rzuciła okiem. „Tak. To jego pismo“. Pochyliła głowę, doszczętnie złamana i nie

mówiła już nic; milczała przez całą drogę i później jeszcze w mieszkaniu. Zawieźliśmy ją do mieszkania, licząc na to, że omówimy z nią plan jej pobytu, wystąpień i t. p. Musieliśmy jednak zostawić ją z Szifferem, bo nie była w stanie o niczem mówić: chciała znać szczegóły sprawy Dziekońskiego.

Później był z tem wielki kram. Pierwszego już wieczoru Marusia przyszła na zebranie organizacyjne z wielkiem opóźnieniem i z miejsca, ku naszemu przerażeniu, zaczęła od Dziekońskiego. „Wracam od niego“ — mówiła — „wiecie wszyscy od kogo... Z więzienia... Znalazłam go bardzo nieszczęśliwym, bo to prawda, on był prowokatorem... Ale — drodzy towarzysze! on zachował żywą, piękną, szlachetną duszę! W imię tej duszy musimy go ratować dla rewolucji“ i temu podobne, straszliwe, ze szlachetnych pobudek mogące płynąć brednie.

Stałam zawsze, jak już wspomniałam, na tem stanowisku, że prowokatorzy — to gatunek ludzi, niezależnie od indywidualnych odchyłeń, których nie można nigdy z powrotem przyjąć do ruchu wolnościowego. Stanowisko takie miało tem więcej uzasadnienia w tym pierwszym okresie, kiedy wszystko było jeszcze tak mało ugruntowane, tyle niebezpieczeństw groziło zewsząd, kiedy tak chodziło o prawidłową orientację mas...

Wszyscy w Komitecie podzielali to stanowisko. Marusia jednak, wbrew naszej opinji, przez swe stosunki, uwolniła i wywiozła Dziekońskiego z Odesy. Słyszeliśmy potem, że przebywał gdzieś na południu, podobno nawet z nią. My ze swej strony — zrobiliśmy, co do nas należało: ogłosiliśmy o nim wszystko, ażeby ostrzec przed nim. Jednak imię i rewolucyjny autorytet Marusi Spiridonowej był tak wielki w Rosji tego okresu, że przy jej pomocy mógł niewątpliwie Dziekoński dostać się z powrotem do ruchu rewolucyjnego.

We wspomnieniach moich o ludziach z rewolucji rosyjskiej

na zawsze już przyłgnęła ta postać utalentowanego, świetnego prowokatora do ujmującej, miłej, czystej postaci Marusi, podobnej wtedy jeszcze raczej do małej dziewczynki. Była szczuplutka, drobna, z jasnymi oczami, z ustami, ułożonemi w mieszany wyraz męczeństwa, ascetyzmu i zażenowania...

Marusia Spiridonowa, jak wiemy z historii rewolucji r. 1905, przeszła niepospolitą udrękę w rękę żandarmów i w więzieniu (była zgwałconą). Wyrobiło to w niej wielkie przesubtelnienie, dużą skłonność do mistycznych prawie zagłębiań się w swoich i cudzych przeżyciach duchowych. W jej dążeniu do rehabilitacji Dziekońskiego grała rolę nietylko osobista, jak sądzę, bliskość tego człowieka, ale również ta charakterystyczna dla Rosjan sympatja dla idei odkupienia i umorzenia grzechu przez cierpienie.

Nigdy już więcej nie spotkałam Marusi Spiridonowej.

Na tem kończę swe wspomnienia o prowokatorach, napotkanych w ruchu rewolucyjnym. Te różnorodne ich sylwety, nieprzeciętne zresztą, żyją jeszcze dotąd tak jaskrawo w moich wspomnieniach, że przy poruszeniu ich w pamięci wywołują to same głębokie i jednolite uczucie, jak przed sześćnastu laty: nienawiść.

IX. RADA DELEGATÓW ROBOTNICZYCH
I ŻOŁNIERSKICH

Dla zrozumienia przeżyć człowieka, który był członkiem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, nastrojów, jakie towarzyszyły tej pracy, konieczne jest zwrócenie się ku pierwszym tygodniom i miesiącom rewolucji 1917 roku. Zasadniczym konfliktem w tych pierwszych miesiącach był konflikt pomiędzy oficjalnym rządem — rządem kompromisu z rewolucją, a nieoficjalnym — radami delegatów robotniczych, w których od samego początku tliło zarzewie rewolucji społecznej. Konflikt ten ześrodkowywał się w Petrogradzie, dzisiejszym Leningradzie, ale obejmował teren całej Rosji, całego dawnego imperjum i odpowiadał nastrojom całego społeczeństwa, coraz wyraźniej dzielącego się na dwie orientacje: za władzą rządu, przeciw władzy rad i za władzą rad, za zwaleniem rządu. Od najpierwszych dni zarysowywała się zasadnicza różnica zdań pomiędzy poglądami rządu i rad na sytuację współczesną, na perspektywy rozwojowe i misję rewolucji, na kwestję prowadzenia lub zakończenia wojny, na rozwiązanie niesłychanie ważnej dla Rosji sprawy agrarnej. Jeżeli chodzi o krótkie i syntetyczne streszczenie różnic w stanowiskach rządu i rad, da się to ująć w następujący sposób: rządowi (reprezentowanym w nim grupom społecznym) zależało na zatamowaniu, ucięciu rozwoju rewolucji poza polityczny przewrót zniesienia monarchji; radom zaś (reprezentacji nieposiadających warstw społeczeństwa, w pierwszym rządzie — nielicznej, lecz uświadomionej grupy proletariatu miast) — zależało wręcz przeciwnie — na jak najszerszem i najgłębszem jej rozwinięciu, na przeprowadzeniu do końca przewrotu społecznego.

Pierwsze posunięcia rad — ów słynny rozkaz Nr. 1 do wojska, znoszący odrębne dystynkcje dla oficerów — wskazywał na to, że rady usiłują sięgnąć odrazu wgląd zeszytniałej hierarchji społecznej, przeprowadzającej nie linię, tylko przepaść demarkacyjną pomiędzy oficerem a żołnierzem. Nie jest to wcale rzecz powierzchowna ani błaha, jakby się wydawało z pozoru i bynajmniej nie mieści się w płaszczyźnie biurokracyjno-hierarchicznej tylko, gdyż oficerami w wojsku rosyjskiem byli naogół synowie wyższych lub średnich warstw społeczeństwa (wliczam inteligencję do średnich warstw), żołnierze — w przytłaczającej większości — rekrutowali się z ludu wsi i miast.

Jak olbrzymie społecznie było upośledzenie i poniewierka żołnierza w dawnej Rosji, świadczyć o tem może chociażby taki drobny fakt, że przy wejściu do lepiej utrzymanych miejskich ogrodów zamieszczano napis: „Zabrania się wprowadzać psy i żołnierzy“. (Przytoczę dosłowne brzmienie: „Sobak i sołdat wodit' wospreszczajetsia“). W pierwszych tygodniach po rewolucji o napisie tym mówił na wiecu jeden ze starych żołnierzy, jako o charakterystyce stosunku całego „reżymu“ do żołnierza, od którego ten reżym wymagał świadczenia krwi i życia. Uderzona wymową tego faktu i trafnością przeprowadzonej przez mówcę syntezy, poszłam sprawdzić tę rzecz i przekonałam się osobiście, że nawet w Syberji (miasto Kańsk), gdzie antagonizmy klasowe były mniej ostre, nie było tradycyjn pańszczyźnianych i t. p., zamieszczano takie właśnie napisy.

Od początku też rady zdobywały się na jasność i uczciwość określania swego stanowiska w zagadnieniach polityki międzynarodowej, w stosunku do praw innych narodów, że przypomnę znane wystąpienie Rady w sprawie niezawisłości Polski. Korzystnie to odbijało od stanowiska rządu, grubo obciążo-

nego serwitutem rosyjskiego imperjalizmu. (Należy przypomnieć, że początkowo w skład rządu wchodził Miliukow, Szin-gariow, Tereszczenko, którzy w niczem nie zmienili swej postawy imperjalizmu).

Przyjazd Lenina i Trockiego, zdecydowanych w swym stosunku do perspektyw rozwojowych rewolucji, popchnął z wielką siłą dojrzewanie konfliktu pomiędzy rządem a radami. Pierwsza próba rewolucji „październikowej“ w lipcu, świadczyła już o wielkiej aktywności i agresywności sił, stojących na stanowisku władzy rad. (Pomijam już tu majowe wystąpienie rad, w wyniku którego usunięto z rządu kadetów).

Okres, który nastąpił po lipcowej porażce komunistów, zaznaczył się w dziejach Rosji jako okres wielkiego rozprężenia, ogólnej dezorientacji, coraz ostrzejszych antagonizmów w łonie rodziny socjalistycznej. Władza rządu była już wówczas gruntownie podważona w świadomości mas, w znacznej mierze była już bezsilna, gdyż opierała się o liche (wyższe) warstwy społeczeństwa, wyraźnie o reakcję (np. o Kornilowa przed jego powstaniem), no i o wojsko, zawsze niepewne, bo zrekrutowane z szerokich mas.

Może być, że w różnych częściach Rosji stan tego rozprężenia i chaosu, poprzedzającego (wbrew temu, co przez długie lata mówiono) przewrót październikowy, był różny i miał różne stopnie napięcia.

Zarys pracy w radzie miasta Kańska, który tu niżej podaję, odzwierciedla zdrową i rzeźką atmosferę poczynań rewolucyjnych w niektórych ośrodkach Syberji, gdzie władza od początku i niepodzielnie należała do rad: dopiero w parę lat później, kiedy Syberja stała się terenem walk białych z rewolucją, miały tam miejsce rzezie, gwałty i ogólne rozprężenie.

W okresie pomiędzy lipcem a październikiem 1917 roku różnica pomiędzy opisaną atmosferą niektórych ośrodków

Syberji a ogólnym stanem Rosji była uderzającą. Obserwowałam to dokładnie, bo właśnie w końcu lipca odbyłam podróż powrotną z Syberji przez Smoleńsk, Kijów, do Odesy. Bezład rządu, walki w łonie rad pomiędzy socjalistami orjentacji rządowej a lewicą delegacką, wszystko to razem przyczyniło się do nieopisanego chaosu. Wrażenie niemocy rewolucji było tak silne, że sama to przypłaciłam czasową utratą słusznej w mojem przekonaniu, pierwotnej swej orjentacji w stosunku do władzy rad: zdawało mi się przez kilka miesięcy, że istotnie w drodze tradycyji demokratycznych — zwołania konstytuanty — uda się łatwiej i prędzej opanować ogólny chaos i rozprężenie. Dopiero okres okupacji austriacko-niemieckiej na Ukrainie, postawa umiarkowanych socjalistów wobec okupacji, wobec takich „władz“ jak Skoropadski, grupowanie się dokoła idei konstytuanty żywiołów wręcz reakcyjnych — obszarnictwa, fabrykantów, dawnej biurokracji, otrzeźwiły mnie i przekonały, że Rosja nie ma innej drogi wyjścia z impasu jak przyjęcie władzy rad.

Opisując fragmenty wysiłków i poczynań Rady Delegatów w powiatowym mieście Kańsku (Jenisiejskiej gubernji), zdaję sobie sprawę z tego, że był to mały ośrodek i szczupły kąć widzenia wypadków, związanych z rewolucją r. 1917. Z rozmów z towarzyszami jednak, ze sprawozdań na zebraniach i konferencjach, wnioskuje, że w moich wspomnieniach o utrwalaniu władzy Rady w tem jednym mieście zawiera się dużo charakterystycznego dla epoki, dla psychiki uczestników rewolucji, zawiera się więc pewien drobny przyczynek historyczny.

Doświadczenia rosyjskiej rewolucji, a szczególnie okresu budowy nowego ustroju, mogą powodować dziś inne, pełniejsze naświetlenie i tamtych zdarzeń. Niewątpliwie, niejednen z członków Rady, jak Ejdeman, odgrywa dziś czynną rolę

w tej budowie, a z czasem — stworzy się pamiętnikarstwo, które podejmie wszystkie okresy i etapy powstawania władzy rad.

Gdzieś tam, wśród mozaiki fragmentów, z jakich złoży się całość obrazu, znaleźć mogą miejsce i te moje wspomnienia...

W poprzednich dwu rozdziałach fragmentarycznie wspominałam już o Radzie Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Kańsku, o roli jej, o siłach, jakie się przy niej skupiały.

Pracowałam w Radzie Delegatów przez cały czas swego pobytu na Syberji po rewolucji, to jest od marca (pierwszych dni) do sierpnia 1917 roku. Okres ten uważam za jeden ze szczęśliwszych w mojem życiu. Praca bowiem w Radzie, w redakcji pisma, jakie wydawaliśmy (organ Rady), w plenum Rady — dostarczała naprawdę bardzo wiele radości. Rada była niewątpliwie jedynym czynnikiem władzy i organizacji życia zbiorowego w Kańsku. Od pierwszych dni po rewolucji tak jakoś się stało, że innej władzy w mieście nie uznawaliśmy, nie stworzono i Rada władała bezkonkurencyjnie.

Jak wiele zadowolenia dawała ta praca rewolucyjna, można sądzić po tem, że nie odczuwało się zmęczenia, znużenia, wyczerpania, które przecież naprawdę przekraczało rozmiary prawdopodobieństwa. Samopoczucie nasze — czynnych uczestników rewolucji i Rady — miało wówczas cechy jakiejś szczególnej rzeźkości moralnej. A jak mało wrażliwi byliśmy wtedy na różne jady i trucizny kalumnij, oszczerstw, intryg, jakimi starano się poderwać nasz autorytet! Poprostu nic sobie z tego człowiek nie robił.

Pamiętam doskonale, że wypadło mi jakoś w sprawach Rady wyjechać na parę dni do Krasnojarska. Po powrocie, przeglądając prasę dla zestawienia jakiegoś artykułu, natknęłam się na notatkę w jednym z pism, wrogich rewolucji, w której

uderzyło mnie moje imię i nazwisko: Helena Sleszyńska. Pod tym tytułem: „To są ich działacze!“ pisało to syberyjskie pismo z Krasnojarska czy Irkucka, że właśnie zostało stwierdzone nadużycie pieniężne w Radzie m. Kańska, a z pieniędzmi zdefraudowanymi uciekła do Rosji Helena Sleszyńska. Pamiętam dokładnie, że notatka ta ubawiła mnie tylko. Towarzysz, współoskarżony wraz ze mną w tej notatce o to nadużycie i ucieczkę, zastanawiał się, co z tem robić, ale wnet nadeszły poważniejsze sprawy i zdecydowaliśmy, że szkoda czcionek i pracy na prostowanie tych głupstw.

Wspominałam już wcześniej o tem, że w tym pierwszym okresie pracy rewolucyjnej materialne potrzeby życia odstąpiły poprostu na ostatni plan. Dla braku czasu często wcale nie rozbieraliśmy się na noc. Chadzi Omar Getojew, który po rewolucji został w Kańsku mianowany naczelnikiem milicji, zdawało się, że się zrosł ze swemi wysokimi butami i swoim wiecznym ciemno-szarym garniturem; szerniał na twarzy, tylko małe, jasne oczy świeciły radością. Kiedyś wpadłam do niego do milicji w jakiejś pilnej sprawie i zastałam go, jak się posilał po długim niejedzeniu: przed nim na biurku leżało gotowane czy pieczone mięso, które rozrywał na kawałki palcami i pochłaniał. Innego znów ranka zastałam tego dygniarza, jak się mył w podwórku przy urzędzie milicji, obnażony do pasa. Wywnioskowałam stąd, że w mieszkaniu nie ma możliwości wygodnie się umyć, więc zaproponowałam mu przyjść z tem kiedyś do mnie. Roześmiał się dobrodusznie i odparł: „Lubię was bardzo, więc wam nie odpowiem, jak należałoby na taką propozycję. Ale czyż nie rozumiecie, że ja nie mam dziś czasu na głupstwa?“

Rzeczywiście, był to gorący czas. Musieliśmy się dzielić między dziesiątki potrzeb. Nie było to beznadziejne bezludzie, tęskne zaoranie ostatnich lat konspiracji przedwojen-

nej; ludzi było dość, ale praca i zapotrzebowania wzrastały z każdym dniem, trzeba było wszystkiemu sprostać.

Napisać artykuł, sprawdzić przygotowane do druku broszury, iść na zebranie Rady, wskoczyć na akademję, obsłużyć wieczorne zebranie żołnierzy w koszarach, posłać kogoś do młodzieży, spotkać się z członkami komitetu wykonawczego Rady, przejrzeć prasę stołeczną, i tak w kółko, co dnia, każdej nocy. Starczyło na wszystko, wszystko powinno być porządnie zrobione.

W naszym domu kipiała praca. Mieliśmy duże mieszkanie, wynajęte jeszcze przed rewolucją, złożone z czterech pokoi: przed rewolucją mieszkało nas razem cztery osoby, nas dwoje i dwu towarzyszy: wszyscy już mieliśmy pracę w Kańsku i nienajgorzej zarabialiśmy. Po rewolucji mieszkanie to mieściło dowolną liczbę osób. Przyjechała z Paryża, z emigracji, żona Zwierina, którego rewolucja zastała w wojsku w Kańsku i który został członkiem komitetu wykonawczego. Zwierin był przed wojną poważnym pracownikiem partyjnym, eserowcem-maksymalistą. Żona jego musiała w swoim czasie uciekać z Rosji. Zwierin przed przyjazdem żony zamieszkał już był u nas. Było całkiem naturalne, że żonę z dzieckiem tu przywiózł. Ale wcześniej jeszcze zabrałam do siebie małżeństwo Fieofilaktowych, z małym dzieckiem, bo nie mieli gdzie mieszkać, a Fieofilaktowa usiłowaliśmy zatrzymać, jako bardzo wartościową siłę dla Rady Delegatów. Żona jego, moja towarzyska z więzienia w Kijowie, była zruszczoną polką, nazywała się Janina Gałas; poznała Fieofilaktowa na zesłaniu i tu się połączyli. Prócz tych dwu małżeństw z dziećmi mieliśmy jeszcze stale kilku (trzech — czterech) towarzyszy mężczyzn.

Nie było mowy o tem, ażeby miało starczyć posłań: liczba łóżek i kanap była dostosowana do normalnej ilości mieszkańców. Zwierina i Fieofilaktowa, ze względu na dzieci, przesia-

dywać musiały w domu, mogły dłużej spać. Ja nie miałam dziecka, pracowałam narówni z mężczyznami, kładłam się spać po 1-ej, 2-ej. — wstawałam przed 7-mą. To też przeważnie sypiałam w tych czasach na podłodze, na czyjejs zimowej burce, ustępując łóżko tamtym kobietom, ku przerażeniu i zgorzeniu dziewczynki, która dla nas gotowała, bardzo oddanej nam Fimy. Ta zawsze straszyla mnie, że jak przyjedzie mąż, nie pozwoli na takie zwyczaje. Miała rację, bo mogłam sobie pozwalać na takie zaniedbywanie swoich sił tylko podczas parotygodniowej nieobecności męża, którego delegowano do Moskwy na jakiś zjazd.

Bardzo często bywaliśmy zajęci wieczorem w różnych miejscach i ciągnęliśmy do domu z różnych stron, o różnych porach. Kto przychodził wcześniej, dopadał pierwszego wolnego, posłanego już miejsca i zaraz spał. Na rozmyślanie i bezsenność nie było sił ani czasu. Zresztą i stan nerwów, pomimo ciągłego ich naprężenia, był doskonały, pod wpływem szczęśliwych przeżyć, związanych z możliwością szerokiej, twórczej pracy i z młodością.

Mogę przeprowadzić doskonałe porównanie pomiędzy ówczesnym a obecnym stanem własnych nerwów, porównyując swoje samopoczucie podczas fikcyjnego ataku gazowego na Warszawę w końcu r. 1933 do samopoczucia w miesiącach rewolucji. Podczas ataku ostatnie dwie godziny wieczorne, kiedy wyłączono światło, radjo i ustała wszelka komunikacja mieszkania z miastem, były dla mnie bardzo trudne do wytrzymania: dokoła mnie i dzieci moich, z którymi siedziałam w pokoju, piętrzyła się zewsząd nieprzyjazna ciemność, wyjrzenie przez okno na ulicę przyprawiało poprostu o ściskanie serca, tak przykry był zupełny brak światła; w Mokotowie, dokąd odgłosy strzałów i wybuchów słabo dochodziły, deprymowała cisza, specyficzna, dzwoniąca, pęczniejąca cisza. Mu-

siałam zebrać całą siłę woli, żeby spokojnie i pogodnie przesiedzieć ten czas z dziećmi, wyczekującymi starszego braciszka, który pełnił na mieście, jako harcerz, służbę łącznika-rowerzysty.

Tymczasem, gdy się cofnę o siedemnaście lat wstecz, do owych nocy czerwcowych i lipcowych r. 1917 w Kańsku, przypominam sobie dokładnie, że noc w noc wracać musiałam po północy, najczęściej sama — przez pusty, wielki plac, który w dzień bywał targiem. Na placu tym niejednokrotnie towarzysze bywali napadani przez rozmaite żywioły wrogie rewolucji, często takie napady mobilizowali miejscowi kupcy, od początku walczący z poczynaniami Rady, oczywiście przy pomocy kupionych ludzi. Otóż nigdy inaczej nie szło się przez plac, jak z rewolwerami w rękach, dokładnie w każdym ręku po rewolwerze, przy czem z otwartymi bezpiecznikami. Przechodziło się koło rzędu straganów, w których cieniu różne łobuzy kryły się dla zasadzki. Szczęśliwie nie wypadło mi ani razu w tej sytuacji strzelić do człowieka, ale wiele razy musiałam wystrzelać w powietrze, ażeby zniechęcić amatorów bezsennych nocy do dalszych czuwań... Trudno przypuścić, że mogły to być spacery obojętne dla nerwów. Naprężało się wzrok, słuch do ostatnich granic, wogóle — mobilizowało się całą czujność. A tymczasem — wystarczyło dojść do domu i dopaść do improwizowanego łoża, ażeby zasnąć niemal odrazu, bardzo często w obuwiu i wierzchniem ubraniu.

To samo skupienie pod jednym dachem miało tę wielką wygodę, że ułatwiało porozumienie wczesnym rankiem i w nocy, dwa momenty, kiedyśmy się spotykali. A ponieważ należeliśmy wszyscy do wykonawczego komitetu, i Zwierin, i Fieofiłaktow, i ja — więc porozumienie było konieczne.

Fieofiłaktow, anarchista-syndykalista, był niezwykle uzdolnionym człowiekiem: mógł na zawołanie napisać najbardziej

skomplikowane teoretyczne uzasadnienie polityki Rady, przeprowadzić analizę położenia gospodarczego Syberji, Rosji, równie dobrze — jak napisać rezolucję, odezwę do wojska, wystąpić z mową na zebraniu i wszystko to udawało mu się lepiej niż komu innemu. Był przytem twardy i nieustępliwy.

Zwierin znów był człowiekiem o ogromnych wartościach moralnych, o bardzo wysokiej etyce, bardzo głębokim, refleksyjnym umyśle. W początku rewolucji, w Kańsku, reprezentował on w Radzie stanowisko umiarkowane, ale gdy wrócił z pierwszego zjazdu Sowietów, na który był przez nas delegowany, uważał już przejęcie władzy przez Rady za konieczność państwową.

Jak już wspomniałam, dla Kańska było to zagadnienie tylko teoretyczne, gdyż żadna inna władza w Kańsku nie istniała (przynajmniej do mego wyjazdu w końcu lipca). Zwierin popierał swe stanowisko argumentami natury etyczno-filozoficznej, jak przystało na człowieka ze szkoły socjal-rewolucyjnej: jedynie w psychice proletariatu i biednego chłopstwa widział zadatki na tworzenie nowej etyki, nowych, słuszných norm współżycia ludzkiego, trwałych form organizacji życia zbiorowego.

Nigdy nie zapomnę, jak Zwierin rozwijał ten swój pogląd na plenum Rady, po sprawozdaniu ze zjazdu rad w stolicy. Temat, nadający się do referowania w jakimś stowarzyszeniu socjologów, został z powodzeniem rozwinięty przed audytorjum, złożonem z żołnierzy, chłopów i robotników, w owym czasie nie nawykłych do takich zajęć. Należy przytem zaznaczyć, że właściwy proletariąt fabryczny nie był najliczniej reprezentowany na tem zebraniu, gdyż znaczna część żołnierzy pochodziła ze wsi i nie znała pracy w miastach.

Niewypowiedziany dar wnikania do myśli i serc słuchaczy, jaki posiadał Zwierin (ustępował on Fieofilaktowowi w kra-

somóstwie), dostępność jego wykładu, głębokie przekonanie, że istotnie warto dogadać się tylko z robotnikiem i chłopem, wszystko to sprawiło, że audytorjum zrozumiało jego poglądy, dało temu wyraz w dyskusji i świadomie zajęło stanowisko w tej kwestji. Zabierali głos, nie krępując się i starzy, wychowani w innych pojęciach, chlōpi. W składzie Rady było nas do piętnastu inteligentów i wszyscy podziwialiśmy ostrość i jasność myśli, wypowiedzianych w niewyszukanych, często nieodpowiednich słowach przez członków Rady. Był to jeden z tych wypadków, kiedy wyszliśmy z posiedzenia z uczuciem prawdziwej dumy i pewności, że lud, podźwignięty z upośledzenia do godności władzy i twórczości, okaże się na wysokości tych zadań.

Utkwiło mi w pamięci jedno przemówienie żołnierza podczas jednego z zebrań Rady. Towarzysz Zwierin poruszył właśnie zagadnienie, najtrudniejsze do analizy w każdym środowisku: moralności seksualnej; przedstawił w krótkich, prostych słowach stan rodziny mieszczańskiej, przekleństwo prostytucji, dziesiątkującej dziewczęta z ludu, zakłamanie i zgniliznę stosunków płciowych Europy i Ameryki, całego kapitalistycznego świata. Rozwinął przytem marksistowski pogląd, że klasa robotnicza, z tytułu nieposiadania żadnego majątku, prócz własnej pary rąk, jedynie zdolna będzie przebudować i uzdrowić stosunki płci, oczyszczając je z momentów kupna i sprzedaży. I na to wstał stary, czterdziesto lub pięćdziesięcioletni żołnierz z siwiejącą brodą i — przeprasząc towarzyszy, że zabierze czas, powiedział mniej więcej tak (powtórzę to prawie dosłownie): „Rzeczywiście, paskudnie my się obchodzimy od wieków z kobietami i wielki to grzech na całym świecie. Chociażby dlatego i głupie jest też to postępowanie, że przecie kobiety rodzą dzieci, a bez dzieci niema żadnej nadziei świata. Towarzysz nasz, przewodniczący Zwierin, do-

skonałe nam tu wyjaśnił, że my robotnicy i chłopi — a ja powiem — cała pracująca biedota — musimy tę sprawę wyczyścić i wyporządkować. Cóż, towarzysze! Przyszłość już nasza i my już swoich żon i córek na te prostytutki dla burżuazji — a choćby i dla rewolucyjnej armji! — nie dopuścimy... Burżuazji nie powinno już być, albo jak bez pieniędzy będą to i prostytutki im nie potrzebne, — a co do armji, musi inaczej być z młodych lat wychowana i prowadzona. Zdrowo jest czasem i zagłębić się w duszę swoją i starać się zrozumieć, dlaczego to naprawdę lud prosty i ubogi uczciwiej i więcej po ludzku żył z kobietami. Otóż ja tak sobie myślałem, jak towarzysz Zwierin przemawiał i rozumiałem taką rzecz: to praca oczyszcza wszystko na świecie od zgnilizny i te stosunki także oczyszcza praca. Ciężko pracujący na chleb może kochać, może potrzebować kobiety, ale niema czasu na świństwa, jakie wyczynia z tą sprawą burżuazja. Tak sobie wtedy pomyślałem, że towarzysz Zwierin dobrze to wykombinował: praca uzdrowi i oczyści i tę najbardziej zachwaszczoną dziedzinę...“

Dziś, śledząc ewolucję w dziedzinie obyczajowej, jakiej już doznały stosunki w Rosji, można podziwiać słuszność tej syntezy, dokonanej w r. 1917 w umyśle człowieka, o którym nie wiem, czy znał alfabet.

I nieraz w ciągu kilkomiesięcznej pracy w Radzie Delegatów miałam sposobność stwierdzenia, jak zdumiewająco trafną bywała intuicja członków Rady w różnych zagadnieniach, z którymi spotykali się po raz pierwszy; jak trafną bywała ocena sytuacji, jak jasno i bez wahań rozstrzygali kwestję w tak skomplikowanych wypadkach, jak sąd nad własnym prezesem, żołnierzem - prowokatorem, Paramonowym...

Pierwsze i jedyne przez cały czas mego pobytu w Kańsku zabójstwo, o którym już wspominałam, było dokonane w okre-

się, kiedy Rada się dopiero konstituowała. Potem — trzymaliśmy władzę mocno w rękę i nie dopuszczaliśmy do żadnych ekscesów. Bynajmniej nie powodowała nami żadna czułośćkość czy tkliwość w stosunku do ludzi, którzy mogliby paść z rąk rewolucji za swoje przewinienia względem ludu; muszę wyznać, że nie powodował też nami wzgląd na konieczność utrzymywania prestiżu „bezkrwawej“ rewolucji. Ale sądziliśmy, że wszelkie ekscesy budzą niebezpieczny stan podniecenia, sprzyjający działaniom rozmaitych sił, zasadniczo wrogich rewolucji; podrywając autorytet władzy rad, którego kultywowanie poczytywaliśmy za swój obowiązek i istotnie za konieczność. Do utrzymywania zupełnego porządku w mieście dopomagała nam okoliczność, że Rada była istotnie jedyną władzą.

Przez cały czas od marca do sierpnia pamiętam tylko trzy wypadki masowych wystąpień, w których musieliśmy angażować wpływy i autoryt Rady. Pierwszy zdarzył się jeszcze w marcu, w dzień, kiedy tłum kobiet aresztował „głowę“ miasta (burmistrza) i prowadził go ulicami. Byłam w tym czasie na zajęciach z grupą żołnierzy w lokalu partji socjal-rewolucjonistów, gdy okrzyki, gwizdy, różne odgłosy z miasta przerwały nasze zajęcia. Wybiegłam na ulicę i dowiedziałam się, że tłum kobiet, przy udziale kilkunastu żołnierzy - inwalidów z frontu, prowadzi aresztowanego burmistrza. Szło o to, że nie wypłacił jakichś zaległości „sołdatkom“. Nie pamiętam, jak to się stało, że znalazło się nas odrazu kilku członków Rady. Zatrzymaliśmy pochód koło ganku gimnazjum, z którego można było przemówić do zebranych. Pamiętam, że prócz mnie był tam jeszcze z prezydjum Rady towarzysz Robert Ejdeman, eserowiec — Łotysz — poeta, wówczas porucznik, a dziś generał i prezes Ossoawiachimu. Był to dzielny rewolucjonista, jakkolwiek wtedy młodziutki: wielkiego wzrostu.

o szerokich plecach, miał jasną czuprynę i niebieskie oczy, różową twarz dziecka. On to wtedy przemówił do tłumu, imieniem Rady zażądał zwolnienia burmistrza i oddania w ręce Rady sądu nad jego postępowaniem. Na rozkaz Ejdemana dwóch żołnierzy odprowadziło struchlałego burmistrza do jego mieszkania. Ejdeman był w tym wypadku prosto opatrnościową osobą, bo miał posłuch i wielką miłość żołnierzy; co do mnie, to nie okazałam w tym wypadku dobrej formy. Na widok rozjątrzonego tłumu, zarysowały się nagle przedemną perspektywy najstraszliwszych rzeczy, zagrażających powodzeniu rewolucji i władzy rad; nie potrafiłam zebrać w sobie dość siły, ażeby przemówić i opanować nastrój tłumu. Patrzałam tylko na tłum i byłam bardzo bliska płaczu.

Drugi wypadek miał miejsce już w pierwszych dniach lipca, po porażce komunistów w Leningradzie. Przed gmachem kupca Gadałowa, który zajęliśmy dla celów Rady, zgromadził się wielki, parotysięczny tłum, złorzecząc Radzie Delegatów. Był to wieczór. Byliśmy zebrani na piętrze, w lokalu Rady, było nas kilkudziesięciu członków Rady i całe prezydium. Bolszewicy przegrali już w stolicy, a my tu mieliśmy powstanie prawicy przeciw władzy Rad. Sytuacja nasza była naprawdę bardzo powikłaną. Z wyjątkiem paru mieńszewików, zresztą czynnie i uczciwie z nami współpracujących, byliśmy tu wszyscy zwolennikami przejęcia władzy przez rady w całej Rosji. Mieliśmy też sporo wrogów: byli nimi pierwsi, oportunistyczni członkowie komitetu wykonawczego, którzy w międzyczasie usunęli się od pracy, nie mogąc strawić tego faktu, że Rada pozostawała w Kańsku jedyną władzą, że umacniała się właśnie jako władza. Wiedzieliśmy, że prowadzą przeciw nam skrytą propogandę w wojsku i w mieście, ale nie sądziliśmy, żeby się posunęli aż tak daleko. Tymczasem wykorzystali oni moment powstania w Rosji na tle walki

o władzę rad i o przebudowę ustroju gospodarczego, a również — okoliczność lokalną sprzyjającą, że przybył do Kańska pułk z frontu, przysłany dla odpoczynku i zamiany. Okoliczność ta rzeczywiście była dla nas bardzo niebezpieczna, gdyż żołnierze frontowi byli najmniej uświadomieni o znaczeniu rad, nie mieli żadnej dyscypliny rewolucyjnej, nie znali nas, łatwo wierzyli wszelkim bujdom; byli to ludzie wymęczeni, rozgoryczeni, zrujnowani nerwowo, w nic nie wierzący.

Siedząc w pokoju, rozważaliśmy alternatywy. Z dołu dochodziły namiętne okrzyki. Oczywiście, wypominano już nam żydów, front, owo „proliwanie krwi“ (przelewanie krwi) na froncie, niemieckie pieniądze i plomby Lenina i Trockiego, cały, znany repertuar reakcyjnych bredni, jakim zachód Europy karmiono jeszcze przez dziesięć lat potem. Towarzysz-żołnierz, wyglądający na balkon, mało nie dostał butelką od wódki, którą rzucono z dołu. Mądry ten człowiek, robotnik z fabryki Putiłowa, był zdania, że musimy wyjść na balkon i przemówić, jeżeli nie chcemy stracić wszystkiego. Butelka wódki! Uczuliśmy się tem uderzeni w najczulsze miejsce. Pilnowaliśmy surowo w Kańsku „trzeźwości“ rewolucji. Zwolennicy Rady nietylko nie pili sami w tym okresie, ale nie wzdragali się od tak niepopularnej w każdym środowisku męskim propagandy: przeciw picciu, za trzeźwością... Wrogowie nasi chwycili więc za tę broń...

Wyszło nas kilku członków komitetu na balkon. Odrazu krzyknął ktoś w ciemności: „Zdjąć ich z balkonu! Zdrajcy!“ Zauważyliśmy, patrząc w tłum, że się uwija, krzyczy i podżega były członek Rady, niejaki Danielewicz, Rosjanin - inteligent, urzędnik wojskowy, „kadet“ z przekonania.

W tym niesprzyjającym momencie zaczęliśmy mówić do tłumy. Tu i ja już nie mogłam się mazgać — zbyt poważna była sytuacja, przemówiłam między innymi, a miałam ten

szczęśliwy moment, że wśród szczególnie czynnych wrogów Rady poznałam pewną ciemną kreaturę, fałszerza weksli, którego sama przez omyłkę przed paru miesiącami wypuściłam z więzienia. Zapamiętałam go doskonale, bo miał bardzo oryginalną powierzchowność. Dostarczył mi swą osobą znakomitego argumentu dla udowodnienia, kim są wrogowie Rady i jakie mogą być ich pobudki. Ale pamiętam, że przemawiać było mi trudno i uczuwało się między nami a tymi ludźmi na dole jakąś nieuchwytną przegrodę. I znów i w tym wypadku przeważył szalę Ejdemana.

Nie był wcale najlepszym z naszych mówców, miał trochę ciężki styl i wymowę Łotysza, ale był to poeta, znający inne drogi do serc ludzkich: był to oficer, który stanął przy żołnierzach pierwszy, kiedy jeszcze nie wiadomo było, kto zwycięży... (Rewolucja zastała Ejdemana w jakimś innym mieście, o ile pamiętam). I Ejdemana znalazł te drogi. Z cudowną prostotą pochylił się nad poręczą balkonu i zaczął od tego, że odległość jest za duża między nim i zebranych, że woli zaprosić zebranych na górę do Rady, albo, ponieważ ich jest za dużo, może sam zejść... Była to oczywiście znakomita intuicja i nie wiem, czy dziś Ejdemana pamięta, jaki efekt tem osiągnął. Przed chwilą wołano, żeby nas zdjąć (sniat) z balkonu, a teraz—gdy zrobił paozę — rozległy się głosy: „Po co towarzyszu! tak nawet lepiej was słyhać“, — „Mówcie, mówcie, — wytłomaczcie nam wszystko!“

Ejdemana mówił bardzo długo i incydent został całkowicie zażegnany. Tłum rozszedł się, wznosząc okrzyki na cześć Rady, a niektórym z inicjatorów hecy poradzono prędzej iść do domu, żeby im nie policzono kości...

Dopiero następnego dnia pozbieraliśmy wszystkie nici tej awantury: wychodziły one od kupców, którzy mieli z Radą

porachunki za postanowienie kontroli nad handlem i prace przygotowawsze przed upaństwowieniem handlu.

Trzeci konflikt wynikł na tle ogólnej niechęci do wojowania. Żołnierze, załadowani już do wagonów w celu jazdy na front, zbuntowali się, powysiadali z wagonów, odmówili wyjazdu i zaczęli wymagać, ażeby ładowano tych, którzy od miesięcy stali już w Kańsku. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Nikt z nas, prócz komendanta dworca, nie był obecny przy początku zajścia: było to około 19-ej wieczór. Znajdowałam się i wtedy w lokalu partji, gdyż wieczorami odbywały się tam stale pogadanki z żołnierzami na tematy polityczne. Miałam nawet tego wieczoru jakiś referat. Prócz mnie było w lokalu kilku eserowców — członków Rady. Nagle przerwał nam dyskusję młody żołnierz, który przybiegł z dworca, żeby nam zakomunikować o tem, co się dzieje: pamiętam dziś jeszcze jego zgorzenie i przerażone oczy, kiedy opowiadał, że tam krzyczą: „precz z Radą!“

Powtórzę tu, że specyficzna sytuacja nasza wiązała się z tem, że właśnie Rada była jedyną władzą w mieście i okolicy. Nie było u nas (rzecz dziwna!) antagonizmów w płaszczyźnie różnic mieńszewickiej i bolszewickiej taktyki, gdyż hasło — władza Sowiетom — zostało tu zrealizowane. Ale zato odrazu musieliśmy przejmować na siebie niektóre mniej przyjemne konsekwencje tego, że istotnie byliśmy tą władzą. Jeżeli chodzi o naszą orientację wojenną, to zdarzyło się tak, że w tej Radzie skupili się t. zw. „porażency“, socjaliści orientacji Zimmerwaldzkiej, dawniej — zwolennicy rozgromienia carskiej Rosji. Jakkolwiek po rewolucji położenie się zmieniło, temniemniej poprzednie nasze nastawienie wpływało dalej na nasz stosunek do sprawy wojny: grubo przed zawarciem pokoju uważaliśmy, że trzeba wojnę zakończyć, prosto—przerwać. Tymczasem ekspedjowano wojska na front,

przesyłało przez Kańsk, szły dyspozycje od władz wojskowych, które musiały być wypełnione. Rada zresztą, tak jak wogóle Rady, stała w tym okresie na stanowisku nie opuszczania frontu, zamiany pułków, zasilenia zagrożonych odcinków. Tego rodzaju sprzeciw, anarchiczne wyłamywanie się, ustalanie kolejności wyjazdów na front w drodze obrad na dworcu i zmiany dyspozycji nie mogły być dopuszczane: groziło to nieobliczalnymi skutkami i zamieszaniami, gdyby nawet nie godziło wręcz w istnienie Rady.

Postanowiliśmy w tej chwili jechać na dworzec i skłonić żołnierzy do posłuszeństwa. Przyznam, że wolałabym być wolną od tej misji, bo naprawdę już wówczas wysyłanie ludzi na jatki wydawało mi się okropnie ciężkim zadaniem. Ale młody towarzysz, który był gońcem, zaproponował, żebym koniecznie poszła, słusznie sądząc, że czasem kobiecie uda się lepiej przekonać. Było zimno, więc ktoś z towarzyszy dał mi płaszcz żołnierski i czapkę i pojechaliśmy.

Kiedy przybyliśmy na dworzec i wstąpiliśmy w tłum, przedostając się do zatrzymanych wagonów, wyzbyłam się całkowicie niemiłego uczucia, z jakim wybierałam się na tę ekspedycję: zrozumiałam, że była to znów zorganizowana akcja przeciw Radzie. Dostrzegłam w tłumie kilku żołnierzy - inwalidów, wciągniętych wcześniej do opisanego powstania przeciw Radzie pod domem Gadałowa, o uszy objęły się, falujące poprzez tłum, okrzyki: „Precz z Radą! Precz ze zdrajcami! Na front Radę Delegatów Robotniczych!“ i t. p. rzeczy, w których intencji nie można było się mylić.

Dostaliśmy się do wagonu, z którego bezskutecznie usiłował przemawiać do tłumy porucznik Tiuszniakow, członek Rady, bardzo przyzwoity człowiek, ale bardzo nędzny mówca. Był przytem niepopularny wśród żołnierzy, bo reprezentował koncepcję wojny do zwycięstwa. Zdziwiłam się jego odwadze, że

sterczał na dachu wagonu, nie mając żadnego daru słowa, przyglądając się poprzez binokle wyciągającym się ze złością pięściom. Poprosiłam żołnierzy, żeby mi pomogli wdrapać się po ich rękach i ramionach na dach wagonu, wiedzona podwójną chęcią: dopomożenia Tiuszniakowowi i przerwania jego występu, który nas nie ratował, a raczej narażał. Na dachu kręcił się Dragunow, oficer, z którym znaleźliśmy w aktach archiwum prowokatora Paramonowa. Odważny, zdecydowany chłopak nie umiał mówić publicznie. Więc milczał i wściekał się, gotowy podzielić z Tiuszniakowym jego los. Spotkał mnie jako odsiecz, jakkolwiek pesymistycznie patrzył na wynik tego wiecu. „Towarzyszko Sleszyńska“, powiedział cicho, „kak pit' dat' — (napewno) ściągną nas z dachu!“, przyczem pamiętam, że pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

W tym wypadku mnie się udało załatwić konflikt. Bardzo możliwe, że zasadniczą przewagę stanowiło to, że zaczęli mnie słuchać, a to osiągnęłam dzięki przebraniu i niespodziance, jakiej doznali, dojrawszy kobietę. Pozatem intuicyjnie, jak wtedy Ejdeman, wpadłam na dobre zapoczątkowanie przemówienia. Nie zwróciłam się do nich z żadnym patetycznym okrzykiem czy wezwaniem, tylko poprostu, całkiem po domowemu, bez żadnej uroczystości zapytałam: „Co tu robicie najlepszego?“

Zaległo milczenie, tem bardziej rażące, że przed chwilą dziko krzyczeli, przerywając Tiuszniakowa po każdym słowie. Powtórzyłam pytanie raz jeszcze. I znów milczeli. A więc tak jakby sami uważali, że nie robią nic najlepszego... Wtedy, całkiem ośmielona, udowodniłam im, że działają na rzecz kontrrewolucji, że dają się wygrywać niewidzialnym sprężynom, że, nie szanując postanowień Rady, podrywają jej autorytet i t. p. Wszystko to było prawdą i to trzeba było powiedzieć w tym wypadku.

Gromiłam ich bardzo mocno. Raz tylko jeden przerwał mi ktoś, wołając, że ufają politycznym w Radzie, ale już nie ufają wybranym przez nich żołnierzom. Błogosławiliśmy w duszy tego żołnierza, bo otworzył przed nami drogę zakończenia całego zatargu. Zaproponowaliśmy przenieść we właściwe miejsce mowę o wyborze nowych delegatów, odświeżenia Rady przez udział frontowców i t. p. Sprawa była wygrana. W środku mego przemówienia nadeszli żołnierze i towarzysze z lokalu eserów, ze sztandarem, z pomocą. Ci więc stworzyli wtedy już oparcie w samym tłumie. Wygraliśmy sprawę. Zbuntowani żołnierze załadowali się do pociągu i odjechali. złorzecząc tym, co mącą wodę i działają na zgubę rewolucji.

Wyjeżdżałam do Rosji jedna z ostatnich politycznych. Było to już ku końcowi lipca. Większość zesłańców w pierwszych dniach lub tygodniach po rewolucji opuściła Syberję. Nigdy nie zapomnę serdeczności, jaką mi okazali przy pożegnaniu żołnierze. Wogóle ten wyjazd nasz z Syberji — w wagonach dekorowanych wieńcami, sztandarami, na większych przystankach orkiestrą, powitaniem różnych delegacji — rażąco odbijał od wspomnień o tak niedawnym — przed paru laty — przyjeździe.

Z Syberji pojechaliśmy do Smoleńska, żeby odwiedzić siostrę mego męża, Norę Żandrową, której mąż, Wiktor, wojskowy lekarz, stał wówczas z pułkiem pod Smoleńskiem. Tam właśnie, w Smoleńsku, zrobiliśmy całkiem niepotrzebny krok: wzięliśmy ślub, z powodu którego tyleśmy już przeżyli przykrości. Ze strony mego męża — był to, oczywiście, dowód szlachetności, wyznawał on przytem zasadę ułatwiania życia tam, gdzie się to da zrobić. Z mojej strony — zgoda na wzięcie ślubu w kościele była dowodem wzmacniających się w duszy zadatków na oportunistę. Byłam od dziecka niewierzącą, więc żadne sankcje kościelne nie były mi nigdy potrzebne.

Przeżycia rewolucji usposobiły mnie jednak pobłażliwie dla spraw, które zdawały mi się rzeczami bez większego znaczenia.

W Smoleńsku nawiązałam stosunki z żołnierzami i chodziłam do nich na zebrania i pogadanki. Było to w okresie pierwszej kontrrewolucyjnej próby Korniłowa, która spaliła na panewce. Pamiętam, że przemawiałam wtedy na dworcu do wielkiego tłumu żołnierzy o konieczności zwalczania korniłowskiego powstania; ku mojej radości, nastroje większości były zupełnie zdecydowanie przeciwne intencjom Korniłowa.

Pomiędzy żołnierzami a oficerami stosunki uległy już w międzyczasie wielkiemu nadłamaniu. Mogę zrozumieć, że zabójstwo Duchonina w obecności Krylenki, rozmaite akty samosądu nad oficerami mogły odstręczać oficerów od ruchu rewolucyjnego, ale trzeba przyznać, że w dużej mierze wpływało pewne, zgóry przyjęte nastawienie.

Doświadczyłam tego na sobie, jak wypaczone były przez oficerów moje przemówienia nie tylko w intencjach, ale i w dosłownym brzmieniu. Nigdy, przez cały przeciąg swej pracy w rewolucji, nie nawoływałam ani namawiałam do żadnych gwałtów nad ludźmi, przeciwnie — starałam się zawsze odciągać od wszelkich ekscesów, w przekonaniu, że nie masa ludzi, a władza i jej organy wykonawcze powinny interwenjować w razie konieczności czyjegós aresztowania lub uwięzienia.

Tak samo w Smoleńsku, ilekroć mówiło się o tym temacie, przemawiałam w tym samym sensie. Tymczasem już w Polsce zetknęłam się pośrednio z informacjami, pochodzącymi od jednego z Polaków - lekarzy wojskowych (notabene ex-socjalisty), jakoby miała zbierać żołnierzy i namawiać ich do zdzierania oficerom epoletów i poniewierania oficerów! Wystarczało więc, ażeby zjawił się człowiek, który chciał

obcować z żołnierzami i prowadzić pracę ich socjalistycznego uświadomienia; dokoła tego człowieka w tej chwili rozsuwano legendę o krwawych lub krwiożerczych aspiracjach.

Po krótkim pobycie w Smoleńsku pojechałam z mężem do Odesy. Tam wstąpiłam do odeskiej organizacji S. R., a po rewolucji październikowej pozostawałam jeszcze przez jakiś czas wśród zwolenników konstytuancy, t. zw. „prawych“ eserów. Byłam bowiem wtedy przeciwniczką rozłamu partji i wyobrażałam sobie, że istnieje możliwość porozumienia się z prawem skrzydłem i utrzymania ich dla pracy rewolucyjnej. Pożycie moje wśród prawych eserów było ciężkie, bo byłam, jak wiadomo, od pierwszej chwili zwolennikiem władzy rad, stałam pod wszelkimi względami na lewem skrzydle partji. Zerwałam z prawymi eserowcami po zajęciu Ukrainy i Odesy przez wojska niemiecko-austrjackie, kiedy różnice pomiędzy nami wyjaskrawiły się jeszcze mocniej. Wtedy wstąpiłam wraz z mężem do lewych eserów, organizacji znów nielegalnej. W końcu grudnia r. 1918 wyjechałam do Polski.

Jednocześnie należałam do odeskiej organizacji P. O. W., o czem dokładniej — w ostatnim rozdziale.

Miałam z okresu pracy rewolucyjnej w Smoleńsku wśród żołnierzy miłą pamiątkę. Żołnierze, z którymi prowadziłam przez miesiąc zupełnie systematyczne, codzienne zajęcia, ofiarowali mi, kupioną z własnych składek, szkatułkę ze srebrnymi przyborami do herbaty, kubkiem, łyżką, cukierniczką i imbryczkiem. Ofiarowano mi to naprawdę w rozczulający sposób, uzasadniając tem, że na zesłaniu nie miałam możliwości mieć żadnej ładniejszej rzeczy. Załączyli mi przytem listę imienną składek „ażebym się przekonała, że „nie od burżuazji“, tylko naprawdę od nich pochodzi ten podarunek: były na liście i pięcio-, dziesięcio-kopiejkowe składki... Bardzo ceniłam sobie tę pamiątkę...

Interesujące jest, w jaki sposób zginęła mi. Zabrali ją z mego mieszkania „biali“ oficerowie, kiedy robili u nas w Odesie rewizję w r. 1919, po zajęciu Odesy przez Denikina. Ja byłam już wtedy w Polsce; mąż mój, którego osoba spowodowała rewizję, bo był za bolszewików czynnym pracownikiem „Socobiezu“ (Wydziału Opieki Społecznej), ukrywał się i nie był w mieszkaniu. Dowiedział się więc tylko za pośrednictwem naszej dawnej służącej, młodej sybiraczki Fimy, że oficerowie ci przerzucali wszystko, klnąc i pomstując na nieobecność gospodarza mieszkania; nic nie zabrali w wyniku rewizji, bo zresztą — nasze książki i listy — nie interesowały ich. Zabrali z sobą tylko ten dar żołnierski, to srebro, uskładane z groszowych, żołnierskich danin...

X. POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA
W ODESIE (R. 1917—1918)

Działalność Polskiej Organizacji Wojskowej ma już dość bogate oświetlenie w naszej literaturze współczesnej. Przyczynki do historii P. O. W. pisali jej kierownicy, organizatorzy, założyciele i władze tej sprężystej, zwartej, mocnej organizacji.

Pewne przyczynki mamy już i dla P. O. W. Wschód, na terenie której — drobnym odcinku — wypadło mi pracować. Praca moja w P. O. W. była bardzo krótka — niewiele ponad rok czasu, pomiędzy powrotem z zesłania syberyjskiego a wyjazdem do Polski. Jeżeli jednak nie ograniczam się tu do wzmianki, że należałam w tym okresie do P. O. W., a pragnę poświęcić temu kilka kart tej książki, czynię to dlatego, że pracowałam w P. O. W. w pewnym okresie przełomowym i na odcinku współdziałania P. O. W. z rewolucjonistami rosyjskimi na Ukrainie, po którym — w r. 1919 — nastąpił okres narastających antagonizmów i ostrej walki, znaczonych śmiercią wielu peowiaków. Otóż—odcinek ten, na którym pracowałam w P. O. W. grupa osób, jakby oderwał się od jej historii, co psychologicznie uzasadnione jest przez ostrość powstałych później antagonizmów, przez bolesność wspomnień o poległych; o odcinku tym znajdujemy tylko drobne wzmianki.

W uzupełnionem wydaniu pracy Ignacego Ziemiańskiego o kobietach w P. O. W. Wschód znajdujemy (na str. 79) wzmiankę, że w okresie okupacji austriacko-niemieckiej K. N. III przystąpiła do akcji dywersyjnej, powołując łączników dla kontaktów z organizacjami rewolucyjnymi, które stały na stanowisku walki czynnej z okupacją.

Wcześniej, w wydanej w r. 1925 jednodniówce, poświęconej wypadkom z r. 1918 p. t. „Przełom“, Krzysztof Siedlecki pisał o P. O. W. nad czarnym Morzem i tam znajdujemy bliższe określenie wspomnianego etapu w działalności P. O. W.

Wyjmuję z tego studjum odnośny wyjątek: „W tym chaosie coraz to nowych i niespodziewanych wydarzeń, dotrwała komenda odeska do austriacko-niemieckiej okupacji Ukrainy. Wypadki rozwijały się z zawrotną szybkością: rozwiązanie oddziałów polskich na południu, Kaniów, rozbrojenie I-go korpusu — spowodowały one tworzenie nowych planów, sposobienie się do nowych operacyj ze strony P. O. W. na Ukrainie. Przystąpiono do prac przygotowawczych w kierunku mobilizacji peowiackiej, restytuowano nadwyrężone składki broni i amunicji, planowano akcję dywersyjną przeciw okupantom. W lecie r. 1917 przybył z Kijowa oficer legionowy ś. p. ob. Mielecki, „Lebiocki“ lub „Miernicki“ i objął kierownictwo nad działem pracy dywersyjno-wywiadowczej.. Jednym z naczelnych zadań było poderwanie siły bojowej wojsk okupacyjnych, zrewoltowanie polskiego składu jednostek bojowych armji austriackiej, tam stacjonowanych. Odgłos wybuchów składów, mostów kolejowych i innych obiektów, przede wszystkim transportu, dochodzący z północy terenu ukraińskiego, znalazł echo na obszarze Czarnomorza. Do ogólnego planu akcji wywiadowczej szły regularnie z komendy odeskiej mapy dyslokacyjne, arkusze O. B. i inne materiały, i to nietylko już z jednej Odesy, lecz ze stale funkcjonujących placówek okręgu, z Mikołajewa, Chersonia, Krymu“. (To samo patrz w dziele „Polska Organizacja Wojskowa“, szkice i wspomnienia, str. 232—233).

O genezie tej samej akcji w K. N. III znajdujemy również u Ignacego Ziemiańskiego, Zarys historii P. O. W. na Wschodzie, l. c., str. 219).

Niewątpliwie — kontakty P. O. W. z rewolucjonistami rosyjskimi zasługują na uwzględnienie w historii rozwoju organizacji P. O. W. i przedstawiają interesujący fragment.

Stosunek do rewolucji rosyjskiej i do form współdziałania z ruchem rewolucyjnym w Rosji od początku był niejednorodny nawet w łonie polskich organizacji socjalistycznych i wogóle wśród Polaków - rewolucjonistów. Jeżeli chodzi o Polską Partję Socjalistyczną, to stanowisko frakcji w Petrogradzie było niedwuznacznie przychylnie dla przewrotu październikowego: opowiedziano się za popieraniem przewrotu, za udziałem w budowie nowego ustroju. Świadczy o tem fakt udziału wielu partyjnych pepesowców w Leningradzie, a również i w innych ośrodkach Rosji w październikowej rewolucji i następnie, w urzędach. Na południu natomiast, na Ukrainie orientacja P. P. S. nie była tak wyraźna. Wprawdzie pepesowcy wchodzili np. w Odesie do Rady Delegatów przed i po przewrocie, ale zastrzeżenia, obawy i wątpliwości powstawały wśród pepesowców na długo jeszcze przed październikową rewolucją. Przypominam sobie zebranie u Marjana Scheitza, związane ze zbliżającym się obchodem 25-lecia istnienia P. P. S. (obchodzonego potem uroczyście i publicznie w Domu Polskim 10.XII.1917 r.), na którym zarysowały się duże różnice w ustosunkowaniu się do rewolucji, w ocenie jej wartości dziejowej i społecznej, jej widoków rozwojowych, wpływu jej na sprawę Polski i t. d. Zebranie to miało miejsce jeszcze przed przewrotem październikowym, a różnice zarysowały się nietylko pomiędzy stanowiskiem socjal-demokratów Polaków (i członków P. P. S. lewicy) a pepesowcami „frakami, ale również — pomiędzy poszczególnymi „frakami“, w niewątpliwiej zależności od stopnia kontaktu psychicznego i faktycznego z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, od stopnia udziału w pracy socjalistycznej, a nawet — od stopnia oder-

wania od życia przez dłuższe siedzenie w więzieniu. Pamiętam, że Marjan Scheitz, kierownik P. P. S. Frakcji i jednocześnie P. O. W., zgłaszał już wtedy bardzo daleko idące zastrzeżenia w stosunku do rewolucji rosyjskiej, duży stopień nieufności w stosunku do Rosjan - rewolucjonistów, niewiarę w powodzenie zamierzeń przebudowy ustroju, które głośno już proklamowali wówczas bolszewicy; natomiast kilku nas z katorgi i zesłania nawoływało do współdziałania z ruchem rewolucyjnym i do pogłębiania rewolucji. Na zebraniu tem pamiętam, prócz Scheitza z żoną, Zygmunta Bohuszewicza, Kazimierza Pużaka, Antoniego Wąsika, Józefostwa Sleszyńskich, Janostwa Chmielewskich, Henryka Nowickiego, Krzysztofa Siedleckiego, Jerzego i Helenę Wiewiórskich, Edmunda Zacharzewskiego, Marję Chońską, Karola Kirsta i jeszcze kilka osób. Byli to więc częściowo członkowie P. P. S., częściowo — goście, przeważnie wszystko socjaliści.

Te moje subiektywne wspomnienia potwierdza i proklamacja P. P. S. (Centralnego Komitetu Wykonawczego Sekcji Polskiej Partji Socjalistycznej w Rosji), wypuszczona przed wyborami do Konstytuanty, a więc przed przewrotem październikowym ¹⁾. Z wyjątku, który przytoczę dosłownie podług tego dokumentu, wynika, że centralne władze partji w Rosji najbliżej się łączyły z partją ludowych socjalistów (t. zw. „narodnyje socjalisty“), umiarkowaną secesją partji S. R., odszczepioną od partji na kilka lat przed rewolucją, na zasadzie negowania przez secesję taktyki terroru i koncentrowania wysiłków w płaszczyźnie pracy legalnej: „...wzywamy wszystkich towarzyszy i towarzyszeki nasze do wytężenia całej

¹⁾ Korzystam z tego dokumentu oraz innych ze spuścizny po Marjanie Scheitzu, łaskawie wypożyczonej mi przez p. Annę Scheitzową dla celów tej pracy.

energji, aby ani jeden głos broniący ich nie przepadł oraz do popierania całkowitego listy naszej lub narodowo-socjalistycznej“. (Oczywisty błąd: narodowo zamiast ludowo, jak należało przetłómaczyć). Przytaczam to dla udowodnienia, że P. P. S. w tym okresie widziała się bliższą partji najumiarkowańszej z socjalistycznych, jakkolwiek cała ta proklamacja zawiera sporo sprzeczności i stanowi dowód wielkiej dezorientacji Polaków: ²⁾ wysuwa bowiem, np. między hasłami, „natchmiastowe zawarcie pokoju bez aneksji i kontrybucji, zarówno jawnych jak i ukrytych“: cóż z tem wspólnego miało stanowisko ludowych socjalistów w kwestji pokoju! Hasło natchmiastowego zawarcia pokoju wysuwali jedynie bolszewicy z ówczesnych partyj rosyjskich.

Wstąpiłam do P. O. W. w Odesie we wrześniu r. 1917, wraz

²⁾ Nie wynika stąd bynajmniej, żeby Scheitz — człowiek rozumny — nie umiał widzieć poza dzień dzisiejszy i nie był zdolny do obiektywnego sądu o tem, ku czemu szła Rosja. Świadczy o tem wiele myśli, rozsiażanych po jego notatkach i nie drukowanych artykułach, a również — listach do żony. Tak więc np. 16.11.1917 r. pisał on pod wrażeniem okrutnej rozprawy marynarzy odeskich z oficerami i rozmaitych innych ekscesów, wypadków, zdarzeń często okropnych: „Morze krwi. Bratobójcza walka. Grabież, morderstwo, ześcierwienienie...“, ale dalej: „Wiem doskonale, że okropności te są tylko etapem do uporządkowania przyszłego życia państwowego Rosji.“ Później, bo już w dn. 29.8.1919 r., po ustąpieniu bolszewików z Odesy, dawał znów wyraz całkiem obiektywnej oceny ich działalności na gruncie opieki nad dzieckiem, gdy pisał o konieczności przejęcia niektórych bolszewickich instytucyj co następuje: „Jak słyszałem, kolonje“ (letnie dla dzieci, przypisek mój) „były prowadzone wzorowo, a zatem należałoby je zatrzymać“, i dalej, mówiąc o stanie finansowym społeczeństwa polskiego w Odesie: „czy będziemy w możności utrzymać w przyszłości to, co było dobrem i pożytecznem?“ (Chodziło tu o instytucje opiekuńcze dla dzieci polskich, prowadzone przez bolszewików w okresie ich władzy w Odesie w pierwszej połowie r. 1919).

z mężem, wkrótce po przybyciu z Syberji. Stało się tak, że zaprosił nas do siebie Marjan Scheitz, z którym, jak już wiadomo, wiązała nas wspólna należność do P. P. S. w latach przedwojennych, mnie zaś nadto — wspólna praca w Domu Polskim. Okazało się, że Marjan wezwał nas w tym wypadku jako komendant odeskiej organizacji P. O. W. i zaproponował nam wstąpienie do organizacji. Wiedział najdokładniej o naszych związkach z ruchem rewolucyjnym rosyjskim i z partją S. R., ale to w owej chwili nie było uważane za żadną przeszkodę. Wszyscy, jako Polacy, uważaliśmy już swój pobyt w Rosji za czasowy, a przystąpienie do zakonspirowanego rewolucyjnego porozumienia w sprawach polskich — za naturalne.

Oczywiście, że w naszym wypadku sprawa mogła być traktowana nieco indywidualnie, bo, jak wiadomo z poprzednich rozdziałów, mąż mój należał do pierwszej piątki pepesowców w Odesie; ja również byłam człowiekiem, doskonale znanym w tem środowisku. Składaliśmy przysięgę na ręce komendanta Scheitza w obecności członków organizacji P. O. W.: brata mego Józefa; wspomnianego już Edmunda Zacharzewskiego, członka rady Domu Polskiego; zdaje mi się, że był jeszcze przytem ktoś trzeci i sądzę, że to musiał być Henryk Nowicki, pepesowiec (obecności tego ostatniego nie jestem pewna). Było więc to znów prawie identycznie to samo grono osób, co w latach 1908—1911, w organizacji P. P. S.

Odrązu zostało ustalone, że ja się przydam do wiązania stosunków pomiędzy P. O. W. a rewolucyjnymi partjami Rosji i Ukrainy (ich oddziałami) w Odesie.

Do tego też ograniczyła się praca moja w P. O. W. Raz tylko jeden wypełniłam polecenie innej natury. Mianowicie, komendant Scheitz kazał mi wystąpić z przemówieniem w dniu 5.XI 1918 roku, gdyż w dniu tym zorganizowano w podwórzu koś-

cielnem, po nabożeństwie, wiec w nawiązaniu do dwuletniej rocznicy wymienionej daty. Przemawiał prof. Hryniewicki o znaczeniu aktu 5 listopada, a ja miałam za zadanie oświetlić tę sprawę z ramienia i ze stanowiska P. O. W. Dostałam więc polecenie zabrania coûte que coûte głosu i wskazania roli walki czynnej o Polskę, Legjonów i Józefa Piłsudskiego.

Oczywiście, było do przewidzenia, że do takiego przemówienia nikt nas nie będzie w ówczesnych warunkach zapraszać. Prof. Hryniewicki mówił bardzo długo i bardzo uroczyście, wspominał nawet przelotnie o Józefie Piłsudskim i na tem miał się wiec skończyć. Tymczasem przygotowaliśmy to z peowiakami tak, że wyskoczyłam niespodzianie po prof. Hryniewickim i zaczęłam przemawiać. Kilku panów z kolonji polskiej usiłowało przeszkodzić nam i jeden z nich (nie żyje już, więc go nie nazwę!) kazał grać orkiestrze, uświetniającej tę uroczystość, żeby zagłuszyć moje słowa. Ale tu podskoczyli młodzi peowiacy (pamiętam, że był wśród nich Dębicki), uspokoili zapał owego pana i kategorycznie poradzili orkiestrze zmlknąć. Udało mi się też wypowiedzieć całą przygotowaną, krótką, mowę, streszczającą się, rzecz oczywista, w tem że nie żadne akty darowizny, tylko nasz własny wysiłek i czyn może zdobyć istotną niepodległość Polski.

Po mnie chciał wystąpić jeszcze Stefan Matusik, pepesowiec z katorgi, pragnąc uwypuklić rolę P. P. S. Niestety tego nie przewidzieliśmy i nie było to uprzednio przygotowane: udało się więc gorliwym „patryotom“ (prawdopodobnie dziś legitymującym się zasługami dla spraw walki o niepodległość), przeszkodzić Matusikowi...

Mąż mój miał w P. O. W. jakieś inne zadania i potem, już w okresie okupacji, zastępował przez jakiś czas Scheitza, przyjmując emisariuszysy P. O. W. z innych ośrodków i zała-

twiając bieżące sprawy. Złożył z siebie tę godność, kiedy kierownictwo P. O. W. w Odesie stanęło na stanowisku, że równorzędna należność do rosyjskiej organizacji rewolucyjnej może wchodzić w kolizję z kierowaniem działań w P. O. W. ³⁾).

Osobiście dla mnie był to, jak już wspomniałam, okres ciężki. Rosja i Ukraina — w porównaniu do stanu rzeczy w Syberji — przeżywała czas wielkiego rozprężenia. W partji S. R., do której odeskiej organizacji automatycznie weszłam, ścierały się różne prądy i bardzo silne antagonizmy, o których wspominałam w rozdziale o prowokatorach, w związku z wykryciem prowokatora Dziekońskiego w Odesie. Ten właśnie wypadek — ów Piotr Dziekoński, jaskrawy przedstawiciel najradykałniejszego kierunku i „entuzjasta“ władzy rad, spowodował w mojej psychice jakieś odstręcenie się, czasowe zniechęcenie i odejście od aktywniejszego udziału. Nie było to rozumowo uzasadnione, ale psychologiczne, emocjonalne uzasadnienie łatwo tu znaleźć.

Po oderwaniu się od partji S. R. jej lewej części, stojącej na platformie władzy rad, niedługo mogłam się utrzymać w partji, t. j. wśród t. zw. „prawych“ eserowców, gdyż z tymi istotnie nic już mnie nie łączyło. Obawiałam się, że rozrukowanie żywołów, rozprężenie, chaos oddać mogą rewolucję pod but jakiegoś Bonaparta i widziałam w Konstytuancie ewentualny czynnik opanowania chaosu, — oni — poprostu byli przeciwni zmianie ustroju kapitalistycznego, pragnęli

³⁾ Nie mogliśmy nie uznać słuszności tego stanowiska: kierownictwo P. O. W. musiało przewidywać ewentualność zmiany stosunków z rewolucyjnymi organizacjami.

Co do mnie natomiast — w mojej wykonawczej i technicznej pracy — nie tylko nie było zastrzeżeń w stosunku do związku mojego z partją S. R., ale przeciwnie — ta okoliczność właśnie kwalifikowała mnie do pożytecznej dla P. O. W. pracy.

się ograniczyć do zaprowadzenia demokratyczno-parlamentarnych porządków.

Nigdy nie zapomnę, jak w okresie, poprzedzającym zwołanie (a właściwie — skasowanie) Konstytuanty, musiałam przemawiać na wielkim wiecu, urządzonym przez partję S. R. (prawych) w ogromnym cyrku odeskim. Występowaliśmy za Konstytuantą. Wiec zgromadził ogromne tłumy i wielu mówców spośród publiczności występowało przeciw naszym przemówieniom, za władzą rad. My, organizatorzy wiecu, przemawialiśmy z góry, z łoży. Po Dziekońskim, który był podobno znakomitym mówcą, nie było już w partji wybitniejszych sił w tym względzie: Sziffer, bardzo zdolny mówca, odszedł z secesją lewych. Korzystając z mojej przyrodzonej łatwości słowa, kazano mi przemawiać. Przemawiałam za stanowiskiem partji. Oczywiście, wolałam nawiązywać do tradycyj i walk S. R. w przeszłości, niż brnąć w aktualje, które pętały mnie po nogach Sawinkowym, Korniłowym i t. p. argumentami nie do wybrnięcia. Rozwijałam tedy przed słuchaczami wspomnienia o szeregach katorżan, idących na Sybir, katorgę i śmierć za ideę Konstytuanty. Słuchano mnie nienajgorzej... Ale wtem spojrzałam wdół i zobaczyłam, zamiast argumentu, wymierzoną wprost w twarz łufę rewolweru. Mały żołnierz, w poszarpanym szynelu, wpatrywał się we mnie z pasją i dokładnie wymierzył mi w usta, żując przytem smakowitą połajankę... Przyznam, że nie uczułam w tej sekundzie żadnego polotu bohaterstwa i pragnienia śmierci za ową Konstytuantę, tylko przykre zażenowanie: co z tem począć? Wcale nie chciało mi się odbierać tej kuli, ale nie mogłam się przecie ukryć w głąb łoży, kiedy spełniałam obowiązek przemawiania imieniem partji, której rewolucyjne zasługi dopiero co sławiłam! Żołnierz zaś, bawiąc się mojem zmieszaniem, pytał: „Przestaniesz, czy nie- bo...“ i t. d.

Przyglądało się tej barwnej scenie chyba ze dwa tysiące ludzi... Uratowało mnie to moje (wymuszone!) trwanie pod lufą „na posterunku“, gdyż wzruszyło to widać jednego z marynarzy, ludzi zazwyczaj istotnie mężnych. Marynarz stał w ławce na poziomie naszej łoży; należał widocznie do partji S. R. (Nie znałam go przedtem). Dość, że musiał też dopiero spostrzec wymierzoną we mnie lufę. Wyciągnął własny rewolwer, wymierzył w żołnierza i zasyczał: „Spróbuj tylko!! Nim strzelisz, rozłożę ci głowę na drobne kawałki! Schowaj rewolwer! Milcz!!...“

Marynarze w Odesie i wszędzie w Rosji, mieli, jak wiadomo, szczególną opinię męstwa i sławę wielkiego oddania rewolucji. Żołnierz cofnął się, pomimo że w gruncie rzeczy nastroje większości wiecu odpowiadały niewątpliwie jemu, nie mojej mowie. Dogadałam swoją mowę do końca, ale czułam, że nie odpowiada ona wcale nastrojom większości.

Najciekawsze, że po skończeniu mojej mowy wywołał mnie z łoży ów marynarz—mój wybawca. Powiedział mi tak: „Bardzo was, towarzyszek, szanuję, ale muszę wam powiedzieć, że nie liczcie więcej na mnie, bo mam już dość tych oportunistów („sogłasziatelię“) i przechodzę do lewych!“ Uścisnęliśmy sobie bez słowa ręce. Mądry ten człowiek dodał mi na pożegnanie: „Dość ciężko wam było to wszystko gadać...“ Nie widziałam go więcej i nigdy się nie dowiedziałam, jak się nazywał. Nazwiska były wtedy bez znaczenia.

Był to zresztą jedyny mój taki występ.

Do lewych odeszli żywi i zdolniejsi ludzie. W partji została notoryczna prawica społeczna, ludzie z rady miejskiej, z różnych administracyjnych porewolucyjnych urzędów. Tu też był wtedy stary, ślepy narodowolec Kulabko-Korecki, który, zdaje mi się napisał jakieś wspomnienia o tym okresie (już nie żyje); wtedy — był bardzo umiarkowanej orientacji, ale

czuł się na tyle Rosjaninem i przyjacielem ludu, że pomimo różnic w zapatrywaniach z komunistami nie wyemigrował z Rosji, a może — po czasie — zasymilował się z nowym kierunkiem myślenia.

Na prawicy znalazła się i znana już z moich wspomnień więziennych, wieczna buntowniczką Ewa Falkner, i mój towarzysz z ruchów akademickich r. 1911, Grzegorz Gold. Do partji należało w Odesie sporo oficerów, z których przytłaczająca większość przymknęła po rewolucji, a część — szukała w partji S. R. placówki do walki z komunizmem, bolszewizmem, przewrotem społecznym, aktualnie zaś — z ideą bezwzględnego zakończenia wojny. Ta dygresja w stronę partji S. R. potrzebna mi jest, ażeby zobrazować nastroje, z jakimi miało się wtedy do czynienia w środowisku rosyjskich rewolucjonistów.

Kiedy dostałam od komendanta Scheitza polecenie komunikowania wydziału wojskowego odeskiej P. O. W. z czynnymi rewolucjonistami, był to już okres okupacji na Ukrainie (początek r. 1918) i chodziło o kontakt z elementami, zdolnymi do czynnego oporu, czynnej dywersji w stosunku do wojsk okupanckich. Kierownikiem wojskowej pracy był wtedy właśnie Miernicki - Lebiódzki, poległy później pod Mikułincami z Rybińskim.

Dla ludzi, którzy znali blisko Tytusa Bobrowskiego z Bojowej Organizacji P. P. S., Lebiódzki był do niego podobny. Nie było to podobieństwo form zewnętrznych, bo Lebiódzki był daleko bardziej miękki, względny, tolerancyjny w obcowaniu z ludźmi, ale było niewątpliwie podobieństwo w psychice i w sposobie ujmowania zagadnień walk o niepodległość Polski. Zachowałam o tym człowieku najlepsze wspomnienia. Był tak nadzwyczajnie obliczalny w całej pracy, tak dobrze umiał oceniać sytuację, łączył stanowczość i inicjatywę z umie-

jętnością liczenia się z cudzym zdaniem, że praca z nim mogła rozwijać się bardzo łatwo.

Miałam przez pewien przeciąg czasu ściśle ograniczony zakres pracy dla P. O. W. do kontaktu z samym tylko Lebiódzkim i wtedy spotykaliśmy się niemal codziennie. Rzadziej przychodziłam do mieszkania Marjana (Lebiódzki tam stał) lub on przychodził do mnie, — częściej — dla oszczędności czasu — spotykaliśmy się na mieście, w ogrodzie, w kawiarni. Musiałam wybierać z rewolucyjnych organizacyj rosyjskich i stykać z Lebiódzkim ludźmi, którzy mogliby z nami współdziałać w robocie dywersyjnej, a więc — zaopatrywać nas w materiały wybuchowe lub broń, udzielać nam informacji o wojsku, wspólnie przygotowywać jakąś akcję.

Kiedy Marjan Scheitz przedstawił mnie Lebiódzkiemu, powiedział, że może polegać całkowicie na mojej znajomości rosyjskich rewolucjonistów, gdyż tkwię w tym ruchu oddawna i mam bardzo wypróbowane stosunki. Dlatego więc Lebiódzki aprobował jakby zgóry mój wybór ludzi. Naturalnie, w warunkach konspiracyjnej pracy nie ma nigdy żadnej gwarancji bezpieczeństwa i pewności, ale traf chciał, że ludzie, z którymi był w kontakcie przezemnie Lebiódzki, nie sprawili żadnego zawodu i byli przydatni. Lebiódzki bardzo lubił dostać uprzednio szczegółową charakterystykę osobnika, z którym miałam go zapoznać i potem komunikował mi swoje spostrzeżenia. Miał świetną cechę nie dramatyzowania żadnej sytuacji, stale dobry humor, — doskonałą „formę“ w tej pracy.

Początkowo zaczęliśmy z partją S. R. (prawych), w której jeszcze wtedy tkwiłam. Wyczuwałam, że lepsze możliwości mielibyśmy u lewych, ale nie należało nic zaniedbać. Skomunikowałam Lebiódzkiego z dwoma oficerami, których nazwiska pamiętam: Szatow, Gruzin, Ranow, Rosjanin.

Ten ostatni był synem wysokiego oficera, zdaje się generała w carskiej armji i był paniczykiem, sympatycznym, ale nie głębokim. Z jakiego powodu tkwił przy partji S. R., nie wiem, w każdym razie nie dla celów, zawartych w tej pierwszej liście: z socjalizmem nie miał nic wspólnego. Zresztą wychowanie jego, atmosfera domu, przeszłość służby wojskowej — wszystko to ograniczało jego rewolucyjność raczej do granic — sprzeciwiania się wrogom Rosji, a więc idea walki z austro-niemiecką okupacją była mu niezawodnie sympatyczną. Poszedł też z otwartem sercem na współpracę z wojskowym oddziałem P. O. W. Oczywiście, nie mam zamiaru pomniejszać tu jego zasług: niewątpliwie ryzykował i — jako wojskowy — ciężko ryzykował w tych stosunkach z nami. Drugi, Szatow, był człowiekiem starszym i o psychice bardziej skomplikowanej. Ten tkwił w partji S. R. dawniej, jeszcze przed rewolucją. Ale i dla niego partja S. R. była przedewszystkiem w owym czasie wałem ochronnym przed przewrotem społecznym, którego (syn ubogich rodziców) dlaczegoś się obawiał. Szatow miał niepowstrzymany temperament Gruzina i był uciążliwy w stosunkach: nierówny, histeryczny, podejrzliwy, potrzebował wielkiego nakładu wysiłków i umiejętności z naszej strony, ażeby mógł być nam naprawdę pożyteczny. Ci dwaj mieli dostęp do amunicji i mogli nam oddać niepoślednie przysługi.

Lebiódzki miał ostre oko i rozróżniał doskonale wartość ludzi dla rozmaitych celów. Lubił Ranowa, bo był dobry chłopiec i orał, jak wół roboczy, żeby spełnić wszystko, czego się podjął. Cenił Szatowa, bo ten był bystrzejszy, doświadczeńszy i miał większy temperament rewolucyjny. Ale męczyło go poranie się z tym Szatowym. Tu więc, przy całej serdeczności naszych stosunków, prowadziliśmy ze sobą trochę podwójną grę: Lebiódzki, człowiek bardzo delikatny, dobrze wychowa-

ny i kulturalny, wmawiał we mnie, że w moim ręku Szatow jest nam pożyteczniejszy, że muszę się nim sama zajmować; ja — nie celując w grze dyplomatycznej — prosto mówiłam Lebiódkiemu, że cierpię od kontaktu z tak wybuchowemi naturami jak Szatow, łatwo tracę cierpliwość i zniechęcam go do służenia naszej sprawie; że to właśnie on, Lebiódzki, dzięki swej angielskiej rezerwie, wersalskiej uprzejmości i t. p. i t. p. W końcu kończyło się na śmiechu i na uczciwym podziale tego obciążenia — porówno...

Kontakt z Szatowym i Ranowym rozpełzł się z mego powodu. Przy okazji jakiejś debaty u eserów oni dwaj i Kulabko - Korecki zdradzili taką głębię rosyjskiego imperjalizmu w najdosłowniejsem znaczeniu tego słowa, a przytem nienawiść ich do komunistów tak mi zalatywała klasową podszewką, mimo powoływań się na humanitaryzm i t. d., że straciłam do nich całe zaufanie. Tembardziej muszę tu zaznaczyć, że z całej uprzedniej współpracy z nami wywiązywali się całkiem poprawnie i lojalnie.

W okresie pogorszenia w zdrowiu Marjana Scheitza wspominałam już, że mój mąż pełnił jego zastępstwo. Wielu peowiazków przeszło wtedy przez nasze małe mieszkanko w przedłku Ewangelickim, w willi Krzeczkowskiego. Niestety, nie pamiętam ich nazwisk, a może i nie zawsze znałam te nazwiska, raczej — może znałam przybrane i te poumykały z mojej pamięci. Już w Polsce, w r. 1919, zgłosił się do mnie inżynier Kobyliński, który odszukał mnie w inspektoracie pracy, w dawnym lokalu M. P. i O. S. przy ul. Rysiej. Był to jeden z ludzi, których znałam z nazwiska i który miał do czynienia z moim mężem właśnie w okresie jego komendantury. Niestety, zgubiłam i tego człowieka i dziś, kiedy chciałabym odświeżyć wspomnienia z tej pracy w P. O. W., nie wiem gdzie go szukać.

Liczę na to chyba, że żyją gdzieś w Polsce rozsiani ludzie, którzy w tym czasie pozostawali z nami w kontakcie. Szczęsem — przystąpią i oni do opisania tych przełomowych, a interesujących momentów w działalności P. O. W.

Lubiódzki niedługo był w Odesie, gdyż wyszedł z oddziałem peowiaków pod przywództwem Rybińskiego, skąd już nie wrócił.

Poza nim najbliższą styczność w tych sprawach miałam z Maksymiljanem Kamskim, dziś pułkownikiem wojsk polskich, dla którego spełniałam analogiczne polecenia. Niestety tu jest jakaś luka w mojej pamięci i nie potrafię bliżej opisać, co to było. Były to już w każdym razie kontakty z lewymi eserami i bolszewikami.

Pułkownika Kamskiego Odesa poznała w dwu postaciach.

Pierwszy raz przeszedł przez Odesę i przez moje mieszkanie w przebraniu rosyjskiego żołnierza, pod nazwiskiem Kozłowski, wraz z towarzyszem, nazwiska którego i dziś nie znam. Dłuższe wtedy odbyliśmy rozmowy o pracach bojowo-wojskowych, zamierzonych na czas najbliższy. Wspomnienia o tej wizycie nie pozbawione są wesołości, gdyż wzbudzili oni niepokój w mojej teściowej (p. Łucji Grabianczynie), która się obawiała rewolucjonistów: wypytywała nas, kto są ci panowie, ubrani jak żołnierze, bo ręce ich zdradzają, że pochodzą z wyższych warstw społecznych...

Po raz drugi zobaczyliśmy Kamskiego już w mundurze oficera armji Żeligowskiego, kiedy przybył wraz z nim do Odesy.

Podobnie Władysław Ziemiański, dziś major W. P., był w tym czasie w Odesie dwukrotnie, a zawsze w postaci marynarza.

Aż do wyjazdu do Polski pełniłam te same funkcje łącznika do spraw dywersyjnych. Niestety, nie pamiętam żadnych szczegółów akeyj, wykonywanych w tym czasie z polecenia P. O.

W. Zapewne w pamięci mojej zatarły się te rzeczy wskutek nadmiaru różnych przeżyć w tym okresie.

Jak przez mgłę pamiętam jedynie trochę szczegółów z jednej akcji. Zamierzone było wysadzić warsztaty kolejowe w Odesie, względnie — zniszczyć maszyny, żeby uniemożliwić na czas dłuższy wszelki remont pociągów i lokomotyw.

Trzeba dorzucić, że stan dróg komunikacyjnych równie jak wszelkich środków komunikacji był już wogóle opłakany. Może dlatego lepiej pamiętam tę akcję, że kosztowała nas ona długie, żmudne i niebezpieczne przygotowania. Niepodobna było bowiem przeniknąć odrazu do warsztatów z wielką ilością materiałów wybuchowych i przeprowadzić za jednym zamachem taką rzecz, jak unieruchomienie warsztatów: dworzec był strzeżony przez wojsko okupacyjne; ludzie, przybywający w takim celu zostaliby schwytani, nim mogliby przystąpić do akcji. To też trzeba było przygotować rzecz zupełnie inaczej. Dzięki kolejarzom, uczestniczącym w tej akcji, pozyskaliśmy w warsztatach kolejowych sprzymierzeńców wśród robotników i oni stopniowo skutecznie psucie maszyn w warsztatach oraz parowozów, odstawionych do remontu. Stopniowo również i małymi częściami przynoszono do warsztatów dynamit i chowano go umiejętnie oraz przygotowywano do podłożenia w odpowiednich miejscach. Nie potrzebuję dodawać, jak bardzo i jak stale ryzykowali ludzie, przyjmujący bezpośrednio w tem udział.

Jako kobieta, do warsztatów przeniknąć nie mogłam; do obowiązku mego należało codzienne stykanie się wieczorem w mieście z uczestnikami planowanej akcji i dostarczanie im potrzebnych rzeczy. Parę tygodni trwało, nim przygotowaliśmy całą akcję dość porządnie, tak iż można było liczyć na jej powodzenie. Co dnia też ludzie liczyli się, spotykając dla informacji, przy oddawaniu materiałów wybuchowych, pie-

niędzy i t. p. Codziennie mogliśmy się spodziewać wsypy lub zdrady i przerwania naszego szeregu oraz łańcucha naszych żmudnych wysiłków. Dzień akcji wyznaczaliśmy na niedzielę, kiedy w warsztatach nikt nie pracował: chodziło nam o najmniejszą liczbę ofiar wśród ludności. W tym dniu, w oznaczonej porze do warsztatów weszło trzech spiskowców, dla wykonania ostatecznych posunięć. O ile pamiętam, poprzedniego dnia zepsuli oni umyślnie coś w maszynie i meldowali, że muszą przyjść w niedzielę dla jej naprawienia. Przyjście dwu stałych bywalców warsztatów (trzeci uszedł w tym wypadku za nadprogramowego ślusarza czy innego rzemieślnika) nie zwróciło niczyjej uwagi.

Aktu tego dokonało grono osób, w skład którego wchodzili i peowiaci i rosyjscy rewolucjoniści. Nie byli to już „prawi“ eserowcy, gdyż w międzyczasie, po owej utarczce w partji z Kulabko-Koreckim i innymi, przeszliśmy już wraz z mężem do lewych. Ci stali na stanowisku czynnej pracy dywersyjnej w stosunku do okupacji i tu najłatwiej było im zadzierzgnąć węzły współpracy z P. O. W. Spotkaliśmy się więc znów, jak za przedwojennych czasów, w prawdziwym „podziemiu“. Z nazwisk uczestników opisanej akcji pamiętam ukraińca podoficera Nowickiego, lewego eserowca; z polaków współdziałał tu z nami Jan Kotowicz, kolejarz, jeżeli dobrze pamiętam.

Akcja się nam udała: część maszyn w warsztacie zagwoźdzono i zepsuto, a część warsztatu wraz z maszynami wysadzono w powietrze. W każdym razie w transporcie nastąpiła dłuższa, dotkliwa dla okupacji, przerwa.

Straciliśmy przytem jednego towarzysza, Rosjanina, komunistę, który brał w tem udział. Został schwytyany na miejscu z dowodami „winy“ i widocznie na miejscu został stracony. Nie można było bowiem znaleźć żadnego po nim śladu: nie

wrócił już z tej akcji. Żadnego z Polaków-uczestników tej akcji nie spotkałam nigdy w Polsce.

Zdaje się, że mogły być i były jeszcze w tej bojowo-dywersyjnej robocie i inne fakty, zasługujące na opis. Ale niestety, oderwane tylko strzępy wspomnień utrzymały się w mej pamięci i nie podaję ich, bo boję się nieścisłości tych wspomnień. Rzeczy te przebiegały w warunkach tak ścisłej konspiracji, że poza meldunkiem o wykonaniu takiej akcji nic nie pozostawało. Naprężenie zaś nerwów bywało czasem, jak widać, tak silne, że wszystkie szczegóły zacierały się w pamięci...

XI. D R O G A D O P O L S K I

Wyjazd nasz do Krakowa został postanowiony w połowie grudnia r. 1918, a 20-go grudnia już wyruszyliśmy oboje z mężem w drogę. Nie był to wyjazd w sprawach publicznych i nie miał to być ostateczny powrót do Polski, jakkolwiek, jak wspominałam, uważaliśmy już swój pobyt w Rosji za czasowy. Dla ostatecznego wyjazdu mąż mój musiałby zlikwidować swoją pracę pedagogiczną w polskim gimnazjum, gdzie wykładał, trzeba byłoby rozporządzić się naszymi rzeczami, rozmaitego rodzaju spuścizną. Tymczasem — zbliżające się wakacje szkolne umożliwiały czasowy wyjazd mego męża, który doszedł do przekonania, że obowiązkiem jego jest odwiedzić mnie do rodziców w Krakowie. Nie lubił patetycznych słów, więc całkiem prosto oświadczył mi pewnego dnia, że musimy się postarać o zobaczenie z rodzicami, że matka moja jest chora i może nie doczekać zobaczenia się ze mną, jeżeli będziemy zwlekać. Powstanie Petlury, które się już szerzyło na Ukrainie, mogło, zdaniem mego męża, ułatwić, nie utrudnić przejazd do Polski. Postanowiliśmy pojechać na dwa tygodnie i mąż mój wziął urlop z gimnazjum.

Trudno było przewidzieć, że w Krakowie rozchoruję się i że mężowi wypadnie wracać samemu — dla likwidacji swych zobowiązań; jeszcze trudniej było wiedzieć, jak potoczą się wypadki, że mąż mój nie będzie mógł przyjechać do Polski aż dopiero w końcu października r. 1918, że w ciągu dziesięciu dni umrze tu na tyfus plamisty. Moja zaś choroba, która nas rozłączyła, sprawiła, że już w końcu lutego 1919 roku wstąpiłam do inspektoratu pracy w Warszawie i przez długie lata potem pracowałam w Polsce w tej dziedzinie.

Wyjeżdżaliśmy z Odesy do Krakowa prawie tak jak staliśmy, bez żadnej walizki. Strój nasz był mieszaniną wojskowo - sportowo - rewolucyjną, bardzo w tym czasie rozpowszechnioną. Mieliśmy oboje t. zw. frencze, identyczne z wojskowymi, mąż — spodnie do długich żołnierskich butów, ja — krótką sportową spódniczkę i buty. Wszystkie rzeczy swoje mieliśmy w dwu plecakach. Pozatem mąż mój miał uwieszoną na szyi latarkę elektryczną i brauning w kieszeni, ja — drugi. To był cały nasz ekwipunek.

Zasadniczą rzecz stanowiły w tem wszystkim dopiero dokumenty. Co za coctail tworzyła zazwyczaj ta dokumentacja osobowości w tym okresie. Czasem zaopatrywanie się w dużą ilość różnych zabezpieczających dokumentów mogło kosztować życie człowieka, jak to było w Kijowie z Leonardem Boczkowskim, który miał w kieszeni dwie legitymacje i w chwili legitymowania go przez patrol bolszewicki, wyjął nieodpowiednią. Rozstrzelanie jego było tembardziej straszne, że chłopak ten (pierwszorzędnej wartości i tężyzny moralnej) był najszczerzym i najskrajniejszym rewolucjonistą i że odpowiadała mu naprawdę ta druga, niewyjęta legitymacja...

Nasze dokumenty zresztą nie były tego rodzaju. Na wypadek jakiejś przeprawy z władzami okupacji (które się już znajdowały raczej w rozsypce), mieliśmy tylko swoje dowody osobiste (co prawda, niesłychanie prowizoryczne); głębiej schował mąż nasze dowody rewolucyjne, legitymacje partji lewych eserów; mieliśmy pozatem jakieś zaświadczenia od Komitetu Wykonawczego połączonych polskich organizacyj.

Wiedzieliśmy, wybierając się w drogę, że komunikacja kolejowa pomiędzy Odesą a najbliższą wielką stacją — Raddielnaja — jest całkowicie zerwana. Bardzo przyjemnie było to stwierdzić osobiście, gdyż, jak wiadomo z poprzedniego

rozdziału, braliśmy pewien udział w tej robocie. Dworzec odeski był to w istocie płaczący widok. Pociągi odchodzić nie mogły — z powodu popsucia ogromnej ilości parowozów oraz z powodu popodrywanych szyn pomiędzy Odesą a najbliższymi przystankami aż do Razdzielnej. Trzeba zaznaczyć, że już w listopadzie, kiedy powstanie na dobre poczęło się szerzyć w Kijowszczyźnie, cała ludność zaczęła dopomagać w owej pracy dywersyjnej, jaką zaczęliśmy w zakonspirowanych kółkach P. O. W. i partyj rewolucyjnych. W niszczeniu toru i komunikacji kolejowej pomiędzy Odesą a Razdzielną brało już w tym okresie udział tak wielu robotników i chłopów w drodze samorzutnej akcji rewolucyjnej, że przybierało to już charakter naprawdę masowej akcji.

Drogę od Odesy do Razdzielnej przebyliśmy w części pieszo, w części na chłopskich wózkach. Cała ludność włościańska okolic Odesy miała tak określony stosunek do okupacji, do rządu Skoropadskiego i wszelkich innych sił, sprzyjających reakcji społecznej, że tu porozumienie było niezwykle łatwe. Mąż mój, jako człowiek urodzony na Ukrainie (Podolu), posiadał znakomicie język ukraiński i doskonale się mógł porozumieć z chłopami.

W Razdziejnej pociągi już jako tako chodziły, to znaczy — z tej stacji wyprawiano już pociągi dalej, w kierunku Żmerynki i Kijowa. Oczywiście, ani godzina odejścia nie obowiązywała, ani można było przewidzieć, kiedy wysłany pociąg dobrnie do mety. Przykładając miarę normalnych nerwów i normalnych wymagań, taka podróż mogła być uważana za katusze.

Podróż nasza od Odesy do Krakowa trwała jedenaście dni. 31-go grudnia 1918 roku, późnym wieczorem, wysiedliśmy w Krakowie.

I znów — przeżycia tej podróży, zmiany położenia, zajścia,

jakich się było świadkiem lub uczestnikiem, następowały po sobie w tak kalejdoskopicznej szybkości, że odtworzenie całego przejazdu w jakiejś odpowiedzialnej kolejności i ścisłości faktów — jest wykluczone.

Podam więc tylko parę oderwanych momentów, tak jak się utrwaliły w mojej pamięci, ze względu na ich charakterystyczność dla danej epoki, dla psychiki ludzkiej w tym okresie, dla prawie nieograniczonej jej wytrzymałości.

Jechaliśmy pociągiem. Było to po dłuższym czekaniu na pociąg, minęliśmy, jak się zdaje, Fastów. Wszystko już tu było w ręku sił powstańczych. Było to już o zmroku, a więc — około piątej popołudniu. Nagle pociąg zatrzymano. Rewizja publiczności. Rewidują rewolucyjni żołnierze. Nie mieliśmy powodu obawiać się ich. Wtargnęli do naszego wagonu, w którym jechało moc przeróżnej zbieraniny ludzkiej różnej narodowości, stanów, orjentacyj. Żołnierze, nastawieni na łamanie i tępienie sił wrogich rewolucji, nie rozpoznawali bliżej tych rzeczy: przemęczeni, schrypnięci, ostrzy, załatwiali przegląd bardzo szybko, nieprzyjaźnie, hałaśliwie. W mroku źle oświetlonego wagonu — jeden z nich nagle złapał mego męża za elektryczną latarkę na piersi. „A to co?!“ wykrzyknął podejrzliwie. Mąż mój siedział na ławce i odpowiedział spokojnie: „Latarka“. Ale żołnierz, opanowany jakimś podejrzeniem, zaświecił mu w oczy i spytał: „Latarka? Zobaczmy jaka to latarka!“ Mój mąż odczuł w tem nieufność i odparł jeszcze chłodniej: „A to patrz sobie!“ Wtedy żołnierz wybuchnął: „Oficerem jesteś!! przebrany!“ — „Mylisz się, bo jestem tylko nauczycielem“ — odpowiedział mój mąż, wciąż siedząc i uśmiechając się pogardliwie. Jak się dowiedziałam później, irytowało go niepotrzebnie — grubijańskie przeprowadzanie tej rewizji, na terenie już opanowanym; zresztą rewizji powierzchownej, w istocie pozbawionej głębszego celu. Był

też zdenerwowany w tej podróży i igrał wtedy z niebezpieczeństwem: wystarczyło pokazać swój dokument rewolucyjny. Prosiłam go też o to, starając się jednocześnie przekonać żołnierzy, że naprawdę nie powinni widzieć w nas wrogów. Nie to nie pomogło. — „Zabieraj się z nami!“ krzyknął żołnierz — tam za wagonem zobaczymy, co ty za ptaszek! Tam będziesz chciał gadać!!“

Wyszli z wagonu, uprowadzając mego męża i jeszcze jednego pasażera — starszego człowieka, żyda, jakiegoś kupca, który się im wydał podejrzany. Siostra tego człowieka, czepiając się go oburącz, krzyczała i prosiła, żeby go zostawili. Ja — nie wykonałam ani jednego ruchu. Złodowaciałam z przerażenia, że właśnie w ten sposób i tak bez sensu może ten człowiek stracić życie. Cóż było robić?

Zdawało się, że to trwa strasznie długo, ale pewno tylko jakieś minuty upłynęły, nim wbiegł do naszego wypełnionego wagonu jakiś człowiek, wołając, że tam już strzelali! Niezszczęśliwa żydówka zakrzyzczała nieludzko i jęła zawodzić bez przerwy. Ja — stałam w tem samym miejscu. Pamiętam, co myślałam: wysiądę zaraz z wagonu, nigdzie dalej nie pojedę, — ale tam nie podejść, — nie podejść...

Nagle w tem odrętwieniu posłyszałam wyraźne głosy i... głos mego męża, sprzeczący się z kimś. Wszedł do wagonu, tak jak był i z latarką na piersi, a żołnierz, ten sam, który prowadził go na śmierć, wyrzucił mu z pewnem zażenowaniem:

„Cóż ty, towarzyszu, jak dureń, nie pokazujesz odrazu dokumentów... Nie wyciągałbym ciebie!... A tak — patrz — mały włos mogłem ciebie rozstrzelać...“ Mąż mój — już udobruchany, certował się jednak z uporem: „Gdybyś ty odrazu nie jechał na mnie, tobym ci pokazał; a tobie się chciało straszyc... to zobaczyłeś, że się nie boję...“ Trzymałam męża za

rękę, jeszcze nie wierząc, że jest. A żołnierz zwrócił się do mnie: „Wasze to szczęście, towarzyszeko, że coś mnie tknęło! Kazałem mu stanąć pod drzewem, a on uśmiecha się... Tknęło mnie, że śmieje się. Pytam: czego zęby szczerzysz? A on do mnie: bo ty durny, sprawdź lepiej kto ja jestem; bo ciebie ręce świerzbią do strzelania... Wziąłem dokumenty, ale myślę: czas chce wygrać... A tu widzę, prawda, swojego chciałem rozstrzelać...“ Zaśmiał się i dodał: „A wy drugi raz, towarzysze, od razu pokażcie jak jest... Niebezpiecznie!...“

Tamtego rozstrzelali. Znaleźli przy nim dolary w dużej ilości, które chciał ukryć i których nie chciał oddać na cele rewolucyjne.

Oczywiście, było to najstraszniejsze z przejść w tej podróży. Zresztą była pełna podobnych wrażeń.

Na innym odcinku, w nocy, jechaliśmy znów w wagonie pełnym żołnierzy, którzy — po jakiejś ciężkiej przeprawie — byli za blisko składu monopolowego. I to była dość straszna noc. Pijani żołnierze nastawiali na kobiety; jak umiałam — starałam się z nimi przyjacielsko postąpić, ażeby nie wywołać starcia z mężem, któryby niezawodnie przypłacił życiem. Nie wszyscy byli jednakowo pijani, było zresztą kilku całkiem trzeźwych i kilku całkiem świadomych, tęgich rewolucjonistów: jedni i drudzy dopomagali mi w moich wysiłkach.

Zawarliśmy wtedy przymierze na śmierć i życie z tymi dobrymi i dzielnymi ludźmi. Była noc i wagon był nieoświetlony: wszyscy leżeliśmy pokodem na podłodze (podróżowało się przeważnie wagonami czwartej klasy). Fikcyjnie tedy przechodziłam z rąk do rąk, a dzięki pomocy tych pięciu czy sześciu żołnierzy i zgodnie z ich własnym pomysłem — odzywał się na reklamacje wciąż inny głos: „Czekaj ty cholero! Ona u mnie! Towarzyszowi żałujesz?“ ...i dalej wszystko, co im podpowiadała ich inwencja, kierowana dobrocią, szlachetno-

ścią i poczciwością. Pamiętam wszystkie najdrobniejsze szczegóły tej nocy, tych paru godzin, w ciągu których trzeba było grać tę komedję, póki wszystko nie usnęło doszczętnie; zachowują w pamięci i głosy i twarze tych ludzi nieznanych, którzy osłonili nas taką z bezinteresownością i szlachetnością. Leżałam w środku pomiędzy mężem i jednym z tych żołnierzy; był to przekonany rewolucjonista; tak jak my — bolał nad każdym wykoszlawieniem i wypaczeniem dróg rewolucji; wyznawał, jak my w Kańsku, zasadę „trzeźwości“ rewolucji.

Jestem najzupełniej pewna, że człowiek ten, z którym pozegnaliśmy się nazajutrz i którego imienia nawet nie znam, gotów był nawet zginąć w naszej obronie, gdyby wtedy stała się nam jaka krzywda. Utkwiła mi też pamięci niesłychana delikatność tego chłopskiego syna. W pewnej chwili ktoś chciał zapalić ogień. Wtedy mój żołnierz objął mnie ramionami, szepcząc do ucha: „Tak teraz trzeba, — że niby sobie odpoczywam przy was...“

Oczywiście, nie spaliśmy ani chwili przez całą noc, bo pijani przez sen zrywali się, klęli i zdawało się, że każdej chwili mogą sobie przypomnieć o swych zamiarach. Ale zrana, kiedy się pobudzili wytrzeźwieni, rozbroili mnie całkiem swą poczciwością. Jeden szczególnie, widocznie sensat z natury, ubawił nas niepospolicie. Wziął na osobność mego męża, zapalił z nim papierosa i powiada: „Ty nie obrażaj się, ale czy tam twojej po nocy krzywdy nie zrobiliśmy? To wiedz, że nie ze złości, tylko trochę za dużo użyliśmy wódki... Ty tam do niej nic nie możesz mieć zato, bo może nawet i nie chciała, — tylko wiesz — nas dużo!...“ Mąż mój poprosił tego żołnierzyka o imię i nazwisko, bo niesłychanie się mu podobał.

Inny fragment, który zapamiętałam, dotyczy opowiadania o egzekucjach nad „białymi“ oficerami jednego z żołnierzy, który jechał wraz z nami do Kijowa. Nie będę tu przytaczać

całego opowiadania, bo niema w niem nic szczególnego, wyróżniającego z wydrukowanych na tysiącach stron po rewolucji rosyjskiej. Przytoczę tylko pewien ustęp. Żołnierz opowiadał mi o utarczce swej i towarzyszy z tymi oficerami z jakiejś białej rosyjskiej formacji, w jakiejś miejscowości na Ukrainie. Oficerowie ulegli; przewaga liczebna była po tamtej stronie. „Musieliśmy ich rozstrzelać“ — opowiadał żołnierz — „przeprowadziliśmy tedy do nich popa. Wołali, że proszą o taką rzecz. No, odmówić tego nie można. Przyszedł pop, zaczął ich spowiadać, jednego po drugim. My czekamy. No, trudno, taka sprawa! A tu tak długo to robią, że aż strach. I to nie szeptem, a tak na cały głos! I takie doprawdy opowiadają głupstwa: jak tam ojcu zataił, że jakieś długi komuś miał do oddania; a inny znów — że w swoją żonę wątpił, czy sprawiedliwie z nim tylko żyje. No i takie różne, całkiem fałszywe już rzeczy, kiedy przecie jak nie mają żyć, to nie ważne już takie głupstwa wymyślać... Zaczęli my jeden drugiego łokciem szturchać, że to tylko takie przewlekanie, że widać pomocy spodziewają się, a pop, pewno, z nimi::: Przerwaliśmy więc jednemu — piąty był czy szósty — a było ich jedenastu; — mówimy: Dość już tego, — to wy tylko żeby przewlekać! Popa na bok i skończyliśmy z nimi. Takie sprawy“.

Siedziałam przy tem żołnierzu i przyglądałam mu się przez cały czas tego opowiadania. Miał tępawy wyraz twarzy, dobre oczy, — dwadzieścia parę lat. Opis tej egzekucji napęłnił mnie wstrętem. Zapytałam, dlaczego nie mieli cierpliwości wyczekać tej godziny czy dwóch, kiedy to było ostatnie życzenie ludzi, którzy mieli stracić życie. Odpowiedział mi znów: „A bo to było tylko poto, żeby przewlekać...“ Ale zaraz zadał z wielkiem ożywieniem pytanie: „A czy jesteście za burżuazją?“ — Odpowiedziałem mu, że napewno nie jestem za burżuazją, ale że nie widzę celu okrucieństw. Wtedy mi opo-

wiedział zdarzenie, znane zresztą na Ukrainie, którego nigdy nie zapomnę.

Poprzedził też to opowiadanie wstępem, który mi się też głęboko wraził w pamięć. „E“, powiedział, „bo takie macie ręce jakieś białe i delikatne, to już trudno wam całkiem zrozumieć naszą stronę... A może mieliście gdzie majątek z mężem? Nie? Wróciliście z Syberji? polityczna? A, to my bardzo szanujemy!... No, to wam opowiem, jak to u panów robią, żeby wam nie było tak przykro z powodu naszego okrucieństwa...“ Zaśmiał się dobrodusznie i dodał: „Nie, ja was nie podejrzewam, ale jak wy z nich pochodzicie, to wam trudniej tamte grzechy dopatrzeć.

Otóż w jednej wsi było tak: trzech synów było za rewolucją, z czerwonymi bili się, z czerwonymi odstępowali. A stary ojciec, bardzo stary, już z nimi chodzić nie mógł. Zostawiali go w domu. Ale jaki był dumny z synów! Zawsze mówił o nich — moje sokoły. Sam stary żołnierz. Zawsze powtarzał, że synowie ze skóry się dadzą obedrzeć za rewolucję, za naród, za to, żeby biedocie lepiej było żyć... żeby skończyło się panowanie ludzi nad ludźmi... Bardzo z nich był dumny i ile mógł pomagał im... A jak odstąpić musieli ze swoimi, to tylko stał i stał przed chatą, tylko wypatrywał za tymi synami swoje stare, spracowane, blade oczy, czy wrócą? kiedy wrócą? Otóż przyszli biali. Skoropadski nastał w Kijowie, a obywatele ziemscy zaczęli zjeżdżać i ziemię odbierać, a chłopów ćwiczyć, a aresztować, a nasyłać wojsko na wsie...

Ot żebyście wtedy tam byli, toby was serce nie bolało tak, że teraz rewolucja musi przez krew iść... Przyjechał do was ich pan, pomieszczyk. Rozglądał się tylko, co komu zrobić. I kazał wołać do siebie całą wieś. Ten i drugi — buch jemu w nogi... Wiadomo — przecie wojsko za nim. Swoje robi. A stary, trzech synów baćko, ani drgnie! Stoi prościusieńki.

A ten już wszystko o nim wiedział od swoich sług, bo to, wiadomo, szpicle. Powiada tak, bawiąc się: A ty co? nie prosisz? — Stary odetchnął głęboko i mówi: Ja stary. Nic już nie chcę. A tu ktoś podlatuje: Jego synki — pierwsze bolszewiki na powiat... a on — tylko za nimi oczy swoje wypatruje, kiedy wróca!... — Powiało jakimś mrozem na ludzi od tych słów. A dziedzic tak powiada powolutko: Wypatrujesz za nimi oczy? I językiem im pomagasz? wieści umiesz przynosić? Tak? — Stary milczał. — No, to wzięć go. Wymierzmy jemu sprawiedliwość za tych synów — hajdamaków — bolszewików, — za tych hadów... Nic mu więcej nie zrobimy niż zasłużył: tylko oczy mu wyjmemy, żeby już nie wypatrywał ich, — język mu zabierzemy, żeby nie pytłował, bolszewickiej agitacji nie nosił... A tak — będzie żył, będzie jadł, spał, bolszewickim męczennikiem będziesz!! Czy sprawiedliwie? Milczał stary, schwytyany już pod rękę i milczał tak do końca... Ale znaleźli się i tacy, co zakrzyknęli: Sprawiedliwie, sprawiedliwie! Mało z jego synów przyczyny dobrych ludzi zamordowano!

Teraz, jak już na naszą stronę szczęście przeszło, powiozą nasi tego starego, niemowę i ślepcę, na wielkie wiece, do Odesy, do Kijowa, żeby naród widział ich, panów dobroć, ich litościwość!... Mogę wam i to powiedzieć, jaka to wieś, i czyj majątek, i kto był ten pan...“

Podjeżdżając do Polski, jechaliśmy w wagonach, zupełnie pozbawionych szkieł w oknach, z porąbanymi ławkami, obdarciem sukna w dawnych przedziałach pierwszej i drugiej klasy. Coprawda takie same wagony były już potem i po polskiej stronie.

Chłód, kilkunastostopniowy mróz sprawiał, że jazda ta w nocy była trudna do zniesienia.

W Kowlu siedzieliśmy kilka lub kilkanaście godzin w ocze-

kiwaniu na pociąg. Siedzieliśmy wszyscy, całą wielką gromadą, nieznaną sobie rodziną pasażerów — na podłodze, przy rzeczach. I tam rozgrywały się dramaty; poszukiwania zaginionych, spotkania...

Kraków był też czujny. Szliśmy plantami dokoła miasta, bo nie pamiętałam, jak przejść bliżej do Zwierzynieckiej, Wołskiej, bliżej Wygody, przy której mieszkali moi rodzice. Szliśmy przez puste ciche miasto. W końcu jakiś młody chłopczek, pod bronią, tak jakby starszy harcerz, wskazał nam drogę do ulicy Wygoda.

Przy ulicy Wygoda 7, od stróżki Michałowej, dowiedzieliśmy się, że rodzice moi żyją i zdrowi. Przeszliśmy na pierwsze piętro. Zastukaliśmy do drzwi. „Kto tam?“ rozległ się głos mego brata Józefa, który już dawniej, latem 1918 roku, wyjechał z żoną i córeczką do Krakowa. „To my, — przyjechaliśmy z Rosji“... „Warjaci!!“ krzyknął brat, otwierając drzwi. „W jaki sposób?!“

Z A K O Ń C Z E N I E

Tym fragmentem, opisem powrotu do Polski — zamykam swój pamiętnik. A raczej — zamykam tę część pamiętnika: wspomnienia rewolucjonistki, ażeby otworzyć go, gdy podam — już z terenu Polski — wspomnienia inspektorki pracy. Druga ta część będzie więc dotyczyła bliższego okresu życia i musi spełnić zadanie dokładnego oświetlenia warunków pracy, tembardziej, że będzie to dwugłos: z kart pamiętnika przemawiać będą, prócz moich, wspomnienia inspektorki pracy Marji Kirstowej - Chońskiej, której nazwisko figuruje nie raz i na stronach tej książki.

Zastanawiałam się nieraz w życiu nad tem, jakie czynniki sprawiają, że człowiek staje się rewolucjonistą, o ile nie pochodzi z proletariatu. Altruizm? zdolność do poświęcenia? Tak brano te rzeczy kilkadziesiąt lat temu, pod wpływem romantycznych pojęć o człowieku i życiu. W bardzo młodym wieku odrzuciłam takie interpretowanie pobudek czynnego udziału w rewolucyjnej pracy. Tak bliskie i swojskie dla rosyjskiego cierpiętnictwa określenie: „cierpienie za naród“ (stradajetie za narod) wprawiało mnie od najwcześniejszej młodości w grube zażenowanie: przecież чуłabym się nie-szczęśliwą, upośledzoną, nie wartą, gdybym nie mogła brać udziału w pracy rewolucyjnej! Więc to nie. Uświadczenie społeczne? poprostu — wiedza? rozgarnięcie, wyrobiony pogład na życie, na stosunki ekonomiczne, społeczne, sprawiedliwość społeczną? I to nie, bo przecie każdy z nas znał i zna bardzo dużo ludzi o wyrobionym i zakończonym światopogładzie socjalistycznym, marksistowskim, rewolucyjnym, którzy nigdy i ani na moment nie przystąpili do czynnej walki i wogóle — nie byłiby do niej zdolni.

Całkiem niewątpliwe jest dla mnie, że pewien układ i charakter psychiki sprawia, iż człowiek, obcy z pochodzenia klasie robotniczej, staje się rewolucjonistą. Większa aktywność, większe zdecydowanie, pewna bezkompromisowość, pewna ruchliwość umysłu — to są cechy psychiki, które określiłabym jako bardziej charakterystyczne dla rewolucjonisty. Zadatkami tych cech w najmłodszym wieku sprawiają, że dziecko czuje się niedobrze, nieswojsko w ramach spokojnego, oportunistycznego życia, bez elementu walki, ryzyka, ruchu. Jeżeli do tego dołączy się przyjęcie socjalistycznego światopoglądu lub też czynny udział w walce ekonomicznej, wielkie zżycie się ze środowiskiem robotniczym, z rewolucjonistą może się rozwinąć socjalista.

Jeżeli idee socjalistyczne nie są gruntownie przetrawione lub też są podmywane i zatapiane przez cechy psychiki, zbyt ciężkiej obciążonej pochodzeniem szlacheckim lub mieszczańskim, wtedy może pozostać tylko wieczny malkotentyzm („buntarstwo“), łatwo asymilujący się z faszyzmem, hitleryzmem i t. p.

Chodzi mi o podkreślenie, że temperament, charakter, cały układ psychiki decydują o wejściu jednostek z warstw mieszczańskich na drogę rewolucji, na drogę czynnej walki o zdobywanie nowych form życia zbiorowego. Skoro zaś tak, to każdy naród i każde społeczeństwo zainteresowane jest we współdziałaniu z powstawaniem, kształtowaniem tego typu psychiki, który właśnie umożliwia czynną postawę człowieka wobec zagadnień społecznych.

Wyznaję ten pogląd, że zmieniające się stosunki gospodarcze wpływają na zmiany również i w psychice, jak we wszelkich przejawach życia i współżycia ludzi. Ale pewien udział ma w tem i świadoma wola człowieka, pewną rolę może odegrać kierunek wychowania. Wychowanie może współ-

działać z powstawaniem kompleksu cech, składających się na aktywność natury; powodować, że bierny stosunek do życia, do jego form, do przemian społecznych będzie zanikał lub narastał — u dziecka, u młodzieży... Trzeba przytem pamiętać, że w stosunku do młodzieży, urodzonej w Polsce Niepodległej, nie działa już czynnik wychowawczy, który wyrastał z konieczności walk o niepodległość.

Najbardziej obawiałabym się dla Polski wychowywania w psychice młodzieży bierności i obojętności dla spraw życia zbiorowego, dla bolączek społecznych, dla kierunku, w jakim powstają społeczne przemiany...

I oto jedna, bodaj najważniejsza przyczyna, dla której publikuję niniejszy pamiętnik.

SPIS RZECZY

Parę słów wstępu	5
I. Polska Partja Socjalistyczna w Odesie (r. 1908 — 1911) .	9
II. Pierwsze więzienie	33
III. Socjal-rewulucjoniści w Kijowie (r. 1912 — 1913) . . .	47
IV. Węzienie w Kijowie	77
1) Zdrada	79
2) Szare dnie więzienia	95
3) Kobiace typy z za kraty	109
4) Sąd	128
V. Podróż etapem	141
VI. Życie na zesłaniu	163
VII. Rewolucja	191
VIII. Prowokatorzy	21
IX. Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich	227
X. Polska Organizacja Wojskowa w Odesie (r. 1917 — 1918)	253
XI. Droga do Polski	273
Zakończenie	287

MARJA LEITNER

KOBIETA DEMASKUJE SWIAT

Autoryzowany przekład z niemieckiego
JERZEGO KAMIŃSKIEGO

Marja Leitner stworzyła nowy typ powieści reportażowej. W przeciwieństwie do reporterów, którzy niejako „z okna wagonu“ obserwują i dzielą się z czytelnikiem swymi często powierzchownymi spostrzeżeniami, Marja Leitner, pracując jako „automat wśród automatów“, jako kelnerka, służąca u przemytnika alkoholu, pokojówka w wielkich hotelach New-Jorku, w pałacach finansjery, jako robotnica w fabryce czekolady, przedziałniach, plantacjach bawełny, często zmieniając zawody i miejsce pobytu — odsłania nam istotne oblicze Ameryki oglądanej „z dołu“.

Autorka dotarła do francuskich kolonii karnych — kraju, gdzie nie stanęła dotychczas stopa dziennikarza, i ukazuje czytelnikowi piekielne katusze zesłańców, ich dziwne, wykołejone żywoty.

Podróż odkrywczą do Gwinei Brytyjskiej, życie w dżungli, praca kopaczy diamentów, walki powstańcze ludów środkowo-amerykańskich, walki wielkich trustów o złoża diamentowe i naftowe — to dalsze rozdziały wędrówki Marji Leitner. Spostrzegawcza obserwatorka, rozwiewając czar romantyki podzwrotnikowej, śmiało odsłania ropniejące rany na olbrzymim cielsku Ameryki. Powieść reportażowa Marji Leitner żywo przemawia do czytelnika, który z niesłabnącem zainteresowaniem śledzi bieg akcji. Jest to namiętny akt oskarżenia, który wstrząsnął sumieniem cywilizowanego świata.

DR. FANNINA HALLE

KOBIETA W ROSJI SOWIECKIEJ

Przekład z niemieckiego

DR. MARJI BALSIGEROWEJ

Książka p. Halle stanowi obszerny przyczynek do wielkiego twórczego wysiłku nowej Rosji w dziedzinie wyzwolenia kobiety. Autorka widzi w rozwiązaniu zagadnienia współczesnej kobiety rosyjskiej najmłodsze ogniwo w łańcuchu wielowiekowego rozwoju życia rosyjskiego.

Zagadnienie współczesnej kobiety w Z. S. R. R. poprzedza krótki zarys dziejów kobiety w dawnej Rosji, oraz opis położenia kobiety w epoce przedrewolucyjnej; poczem następuje analiza wpływu rewolucji październikowej na wyzwolenie kobiety, charakterystyka nowej etyki seksualnej i położenia matki i dziecka. Dalsze rozdziały poświęcone są zagadnieniom miłości, prostytutce, małżeństwa i rodziny w Z. S. R. R., wreszcie opisowi nowego bytu kobiety rosyjskiej, przenikania i oddziaływania jej indywidualności na nowe dziedziny życia.

Dzieło dr. Halle, autorki prac z dziedziny historii sztuki rosyjskiej, napisane ze znajomością rosyjskiej kultury i jej odrębności, stanowi rezultat źródłowo opracowanych, wnikliwych badań na różnych terenach kraju, stąd jego wartość jako sądu wypowiedzianego na podstawie bezpośredniej obserwacji. Znakomitem uzupełnieniem książki, a zarazem jej urozmaiceniem, są liczne, odpowiednio dobrane ilustracje.

EGON ERWIN KISCH

O B L I C Z E A Z J I S O W I E C K I E J

Przekład i słowo wstępne

WACŁAWA ROGOWICZA

Czytelnik, dla którego teren rozważań ekonomicznych może być mało dostępny, w opowieści Kischa, niezmiernie żywej i po wschodniemu kolorowej, znajdzie nieraz jakgdyby opowieść z tysiąca i jednej nocy, odwróconą do góry nogami; opowieść tem ciekawszą od arabskich bajek, że mówiącą o autentycznej rzeczywistości.

W swym obrazie dzisiejszej Azji Centralnej Kisch pokazuje ogromne bogactwo faktów, naocznie skonstatowanych — i ta metoda nadaje jego relacji wartość informacyjnego dokumentu. Powstrzymywanie się od wniosków ostatecznych i proroctw podnosi znaczenie jego reportażu — czy dotyczy to zmian socjalno-cywilizacyjnych czy ekonomicznych.

Autor pracy o zmieniającem się obliczu Azji Środkowej posiada dar przystępnego i barwnego przedstawiania różnych tematów, — czy będzie mówił o bawelnie, czy o walkach wojsk sowieckich z oddziałami niepoddających się nowym władcom plemion górskich. Jest równie interesujący, malując portret duchowy Tamerlana przy zwiedzaniu jego grobowca w Samarkandzie, jak kiedy opisuje nowe miasto przemysłowe Stalinabad, lub stawia czytelnika na przełomie dwóch epok w zdumiewających go nieraz scenach z dzisiejszego życia mieszkańców tej sławnej w dziejach średniowiecza krainy.

Książka Kischa mieni się kolorami, jak bajka wschodnia — bo autor łączy w sobie trzeźwość obserwatora z temperamentem artysty. To czyni z niej lekturę, od której trudno się oderwać.

WYDAWNICTWO M. FRUCHTMANA — WARSZAWA

IGNAZIO SILONE

FONTAMARA

Pierwsza włoska powieść o kraju faszystów napisana przez młodego emigranta włoskiego

Autoryzowany przekład z włoskiego LUDWIKA SAWICKIEGO
GŁOSY PRASY:

„*NEUE WELTBÜHNE*“

Książka ta jest zarówno manifestem walki, jak i wielkim dziełem sztuki. Silone w języku *cafoni* (biedoty chłopskiej) opowiada o ich walce o ziemię, walce z miastem, o tem, jak faszystom, obca, niepojęta władza przenika do ich zapadłej wioski i ciemięży Fontamarę.

JAKÓB WASSERMAN:

Ponura i wstrząsająca książka. Pełna jest homeryckiej prostej i wspaniałości, dzięki czemu element dziennikarski nabiera powszechnego, nader ważnego dla współczesności znaczenia.

LEW TROCKI:

Niezwykła książka! Od pierwszej do ostatniej strony zwraca się przeciw reżimowi faszystowskiemu w Italji, przeciw jego kłamstwom, przeciw jego gwałtom i okrucieństwu. Fontamara nie jest jednak tylko książką namiętnego oskarżenia, jej rewolucyjny temperament wznosi się do wyżyn, które tylko dzieło sztuki jest w stanie osiągnąć.

...Silone niczego nie ukrywa, niczego nie oszczędza, widzi życie takim jakim jest. Przy pomocy metody marksistowskiej uogólnia wydarzenie, by przelać je wreszcie w wysoce artystyczną formę...

Książka ta utoruje sobie drogę do szerokich mas.

„*AVANTI*“

Fontamary nie można znaleźć na żadnej mapie ale dzięki powieści Silone staje się symbolem ludzi ciemionych...

15 czasopism w 15 językach drukowało w odcinku powieść Silone „Fontamara“...

Kilka miesięcy po ukazaniu się oryginału włoskiego w wydawnictwie emigracyjnem w Szwajcjarji „Fontamara“ przetłumaczona została na język francuski, angielski, niemiecki, hiszpański, rosyjski, szwedzki i t. d.

